



ROMANSE



Heather Graham
Pozzessere

*Między jawą a
snem*

Prolog

Był zimny, deszczowy dzień. Wiatr z furją napierał na postrzępione skały nabrzeża. Jego upiorne zawrodozenie przywoodziło na myśl lament potępionych dusz, samotnych i udręczonech. Mimo przygnębującej aury Kit niestrudzenie podążała wzdłuż klifu. Nie widziała w swoim uporze niczego niezdrowego, co często zarzucał jej Justin. Czuła, że w ten sposób jest blisko Michaela.

To był jeden z tych dni, kiedy miała wrażenia, że ktoś ją obserwuje. Ostatnio często się to zdarzało.

Minęła chatę ukrytą na szczycie wśród wysokich traw, które teraz wiatr kładł niemal całkiem płasko, odsłaniając nagie, zimne skały. Wiele metrów niżej rozszalałe fale z hukiem roztrzaskiwały się o skały. To miejsce nosiło nazwę Czarciego Zęba. Kit zerknęła w dół. Wiatr porwał kosmyk jej długich, kasztanowych włosów i bawił się nim, oplątując go wokół jej twarzy. Czuła silną więź z naturą, czuła więź z Michaelem. Pamiętała, jak pierwszego dnia ich wspólnego życia beztrasko śmiał się i żartował. Ten jedyny dzień, gdy była jego żoną... Opowiadał o skrzatach, duchach i bóstwach starszych niż czas, starszych niż żywioły.

Niepokój powrócił: znów odniosła wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Obejrzała się, ale w pobliżu chaty zobaczyła tylko to, co zawsze - leśną gęstwinę: zieloną i bujną, ciemną i tajemniczą. Drzewa zdawały się mieć oczy, przywoływały ją skinieniem, szumem, szelestem, jękiem szarpanych wiatrem gałęzi.

Gdzieś tu zmarła ta nieszczęsna dziewczyna, przemknęło jej przez głowę. Podobnie jak Michael...

On nie spadł. Była pewna, że nie spadł sam. Tuż przed śmiercią, gdy trzymała go w ramionach, ostatkiem sił wykrztusił słowo: Kayla.

Wiatr wył z niespotykaną dzikością. Jego zawodzenie przywodziło na myśl lament banshees, zjaw, których płacz zwiastował śmierć. Kit zacisnęła palce na amulecie, który nosiła na piersi: celtyckim krzyżu, ostatnim podarunku od Michaela.

Podjęła męczącą wędrówkę w kierunku chaty. Wkrótce miał przyjść Justin. Zapowiedział, że wpadnie na kolację. Jak to O'Niall. Z tych O'Niall'ów. Nie czekał na odpowiedź: mówił coś i przyjmował, że wszyscy gorliwie podejmą jego propozycję.

Justin był kimś o wiele ważniejszym niż zwykły lord, pomyślała z żalem. Nazywano go Królem High Hill, a pozycja jego rodziny wywodziła się z czasów pierwszych chrześcijan. Justinowi wpojono wiarę we własną wyższość, sprawiał wrażenie osoby nieświadomej realiów dwudziestego wieku. Nikt zresztą nie zamierzał zmieniać takiego stanu rzeczy. Wieśniacy cieszyli się, że mają w nim przywódcę.

- Przesądni głupcy - powiedziała sama do siebie, szybko jednak zawstydziała się własnych słów. Skruszona, musiała przyznać, że nie kto inny, lecz właśnie Justin po śmierci Michaela podał jej pomocną dłoń. Cały czas był dla niej bardzo miły - choć ta uprzejmość w żaden sposób nie mogła zamaskować jego arogancji.

Justin O'Niall. Władza, którą miał, zbliżała go do bogów, a on sam był tak pogański i pierwotny, jak lodowate, smagane wiatrem urwiska. Niespotykany wzrost i wyraziste, niebieskie oczy upodobniały go do starożytnego boga. To niespodziewane skojarzenie rozbawiło ją, lecz zaraz przypomniała sobie opowieści Michaela o druidach, którzy kiedyś rządzą na tych ziemiach, o kulcie Bala, rogatego bóstwa, człowieka w kozłej masce na twarzy, który zapewniał obfite żniwa w zamian za ofiarę.

Kit zadrżała.

Justin chciał, żeby wyjechała, i właśnie dlatego nie mogła mu okazać, jak bardzo jest samotna. Mimo jego nalegania nie potrafiła opuścić Shallywae, miejsca, w którym był pochowany Michael. Nie żył od trzech miesięcy, a ona nadal nie umiała uwierzyć w jego śmierć; nie potrafiła wyjechać.

Szybkim krokiem doszła do chaty. Położyła rękę na klamce i nagle się zawahała. Drzwi były otwarte. Mogłaby przysiąc, że je zamykała.

Chwyciła opartą o próg miotłę i ostrożnie weszła do kuchni. Nerwowo przeszukała salon, sypialnię i łazienkę, wreszcie z uczuciem ulgi odstawiła broń z powrotem w kącie. Widocznie zapomniała zamknąć drzwi. Zeszła na dół i zasunęła zasuwę - tak na wszelki wypadek.

Przemarzła, więc nastawiła wodę na herbatę, włączyła piecyk w łazience i napełniła wannę. Zaparzyła herbatę i zaniósła filiżankę do łazienki, by sączyć gorący napój w kąpieli.

Gdy skończyła pić, wyciągnęła się wygodnie w wannie. Pierwszy raz od wypadku nie czuła bólu. Gorąca woda i bąbelki masujące ciało wprowadziły ją w prawdziwy błogostan. Wiatr szalejący za oknem brzmiał jak muzyka.

Czuła się... wspaniale.

- Naprawdę wspaniale - powiedziała na głos i zaśmiała się. O to właśnie chodziło. Czuła się jak po zażyciu jednego z tych środków, które doktor Conar dawał jej dla uśmierzania bólu po śmierci Michaela.

Czyżby ktoś wrzucił coś do herbaty? Ogarnęła ją obezwładniająca senność. A tak bardzo chciała rozkoszować się bąbelkami masującymi jej skórę! Woda drażniła ciało tak delikatnie, tak zmysłowo...

- Za oknem szaleje burza - szepnęła. Czuła ją przez skórę: tę siłę wiatru, która doprowadzała do szaleństwa bezmiar morza. Wyobrażała sobie huk fał, rozbijających się o granitowe urwiska.

Ktoś wołał ją po imieniu. Słyszała słowa, lecz nie umiała zareagować. Czuła się całkowicie bezwolna: powieki ciążyły, myśli uciekały. Nie przestawała się uśmiechać.

- Kit! - Głos stał się znacznie bliższy. Zmusiła się do otwarcia oczu.

Na progu łazienki stał Justin. Miał na sobie gruby, wełniany płaszcz, narzucony na czarny garnitur.

Mężczyzna nie ukrywał irytacji, Czy on musi zawsze tak ją traktować? Przecież nie jest już dzieckiem...

- Kit, co się z tobą dzieje! Wołam i wołam, w końcu musiałem wyłamać te cholerne drzwi.

Nie odpowiedziała. Chciało jej się śmiać, tak zabawnie wyglądał: taki mokry i ponury, niczym chmura gradowa.

Zrzucił płaszcz i zbliżył się do wanny. Przyklęknął i chwyciwszy Kit za ramiona zaczął nią lekko potrząsać.

- Piłeś czy co?

- Nie bądź głupi!

- No to co się z tobą dzieje?

Spojrzała na niego rozbawiona. Gdy tak mu się przyglądała, niespodziewanie ogarnęło ją pożądanie. Siedziała wpatrzona w niebieskie, pełne magnetycznej siły oczy, okolone ciemnymi, gęstymi rzęsami, podziwiała mocne kości szczęki i delikatne dołeczki na policzkach. Nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi, jak zmysłowe są jego usta.

Mokrą dłonią dotknęła jego twarzy. Pod palcami czuła ciepłą, gładką skórę.

- Justin... - westchnęła, zanurzając się głębiej i wybuchając szaleńczym śmiechem.

- Muszę cię stąd wyciągnąć. Nie utop się! - rzucił, wybiegając z łazienki.

Wrócił chwilę później - już bez płaszcza, marynarki i koszuli. Nachylił się nad wanną i wziął Kit w ramiona.

Szorstkie włosy porastające jego tors drażniły jej nagą pierś. Całym ciałem czuła grę jego mięśni. Odrzuciła głowę do tyłu i powiedziała:

- Justin...

Spojrzał w jej oczy. Ależ on jest niesamowicie męski, pomyślała i znów się zaśmiała.

- Kit, do diabła, ty chyba naprawdę jesteś pijana.

- Nie jestem!

Ułożył ją na łóżku, lecz gdy próbował wstać, jej włosy, oplatanie wokół jego ręki, uniemożliwiły mu swobodne ruchy. Nachylił się, usiłując się uwolnić.

- Justin... - szepnęła i ich spojrzenia się spotkały. - Justinie, proszę! - Drżała, miała wilgotne oczy. Objęła go ramionami i przyciągnęła ku sobie.

— Kit - wymamrotał. - Do diabła, nie jestem ani święty, ani z kamienia! Przestań! Znienawidziłabyś mnie za to.

- Znienawidzić? Ciebie? - Wiedziała, że nie jest sobą, że przeistoczyła się w jakąś inną kobietę, która mogła drwić z mężczyzny, robić z nim, co tylko sobie zamarzy; była postacią z jakiegoś odległego świata. - Znienawidzić ciebie? Jak mogłabym nienawidzić króla High Hill? Samego O'Nialla, wielkiego O'Nialla! Och, Justinie! Jesteś taki zabawny! Przygarnąłeś nieszczęśliwą dziewczynkę pod opiekuńcze skrzydła tylko dlatego, że jej dramat rozegrał się na twoich królewskich wzgórzach... - Znowu się roześmiała.

Nie odpowiedział na zaczepki. Rozzłościła go, ale nic sobie z tego nie robiła.

Delikatnym, lecz zdecydowanym ruchem wyzwolił się z jej uścisku.

- Zrobię herbatę - mruknął.

Wyszedł ale Kit rzeczywiście nie zwracała na niego uwagi. Mogła powiedzieć i zrobić absolutnie wszystko. Czuła się wszechmocna. To było wspaniałe: zupełnie jakby wiatr dawał jej swoją siłę. Na dworze szalała burza, a ona była jej częścią.

- Masz, maleńka, wypij to.

Znów był obok niej. Pomógł usiąść, podał herbatę. Słyszała, że sam także pije. Czuła go. Jej włosy gęstą, bezładną falą opadały na jego tors. Bił od niego żar, mięśnie zdawały się prowokacyjnie prężyć; nie umiała oprzeć się Justinowi: to było tak niewiarygodnie zmysłowe!

Usłyszała, jak mamrocze sam do siebie jakieś niezrozumiałe słowa. Drżał. Obróciła głowę, przywierając policzkiem do jego nagiej skóry. Wysunęła język, by ją delikatnie drażnić.

- Kit, przestań! Kit... - Głos Justina załamał się, niemal równocześnie rozległ się brzęk filiżanki upadającej na podłogę.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i razem osunęli się na łóżko. W spojrzeniu, jakim ją obdarzył, płonęła namiętność. Wsunęła dłoń w jego włosy i zdecydowanym ruchem przyciągnęła go do siebie. Musnęła ustami jego wargi. Poddał się i objął ją silnymi ramionami. Cudownie było tak leżeć: dwa nagie, splecione ciała, usta na ustach...

Dzięki niezwykle wyostrzonym zmysłom każde dotknięcie dawało jej rozkosz. Justin pieścił jej kształtne piersi, a ona wiła się i drżała. Gdy zaczął drażnić brodawki, nie umiała powstrzymać jęku. Pocałunki wyzwalaly w jej ciele żar. Jego ręce wędrowały coraz niżej, pieściły biodra i brzuch, by w końcu spocząć między udami.

Miał takie ciepłe dłonie! Pod ich dotykiem jej ciało topniało. Miejsca, które ominął, zdawały się błagać o chwilę pieszczoty. Wiedział, czego Kit pragnie: każdy jego ruch był pewny i pełen namiętności. Bezustannie powtarzała jego imię; pokryła pocałunkami jego ramiona. Upojona rozkoszą wsłuchiwała się w wycie zimowego wiatru za oknem.

Jestem wiatrem - marzyła - i żarem, z którego buchają płomienie. On jest silny i niezłomny niczym skaliste wybrzeże; nigdy nie przeżyła uniesień równie magicznych jak te, doznawane w jego ramionach. Ciche pojękiwania przeszły z czasem w niepoahamowane, dzikie jak burza okrzyki ekstazy. Gdy wreszcie, wyczerpana, opadła na poduszki, natychmiast zmorzył ją głęboki sen.

We śnie powrócił prześladowający ją koszmar, a wraz z nim dobrze znane zdania wypowiedane głosem Michaela.

- Przychodził druid... To jemu oddawano dziewicę... W następnym roku zostanie złożona w ofierze... Żniwa... Poderznął jej gardło... Krew, no wiesz...

Śmiał się i drażnił z nią; Michael, ten niezwykle znawca historii Irlandii.

A jednak tym razem było inaczej niż zazwyczaj. Nie śmiał się. Był na skałach. W jego oczach dostrzegła oskarżenie.

- Kayla - wybełkotał ochryple.

Szedł ku niej, poważny, niemal uroczysty. Nagle zrozumiała, że człowiek, który się do niej zbliżał, nie jest Michaellem. To był Justin. Muskularny, postawny. Nagi. Szedł ku niej. Chwilę później już nie był nagi, a jego ciało okrywał długi, czarny płaszcz. Na twarzy miał maskę.

Maszkę rogatego kozła.

Kit obudziła się z nieznośnym bólem głowy i z uczuciem śmiertelnego strachu. Wydarzenia minionego wieczora pamiętała jak przez mgłę, niewyraźne, rozmyte. Brała kąpiel, potem trzymał ją w ramionach, potem...

Nadal czuła go obok siebie. Jego ręka niedbale spoczywała na jej piersi.

Otworzyła oczy. Leżał obok, ciemna głowa koło jej ramienia. Nagi, muskularny, w jej łóżku - ciało obok ciała. Z trudem powstrzymała okrzyk grozy, nie potrafiła jednak opanować drżenia rąk. Co się stało? Co ona zrobiła? Nie potrafiła uwierzyć w to, co podpowiadały jej strzępki pamięci.

Bliska hysterii uwolniła się z objęć Justina. Roztrzęsiona, nerwowo szukała swoich ubrań. Zbiegając na dół, niezgrabie wciągała dżinsy i narzucała sweter. W chacie było zimno i ponuro; samopoczucie Kit pasowało do otoczenia. Nigdy nie przeżyła

podobnego upokorzenia. Michael nie żył od tak niedawna, a ona już zdradziła jego pamięć.

Jak mogło do tego dojść? Z gardła wyrwał jej się rozpaczliwy jęk. Nic nie rozumiała. Ścisnęła złoty krzyż celtycki, swój amulet. Amulet Michaela, który cały czas miała na szyi.

Nigdy nie czuła się równie zagubiona. Tutaj umarł Michael. Wszyscy uznali, że to był wypadek, ale przecież tylko ona pochyliła się nad nim, tylko ona słyszała to jedyne słowo, które zdążył wyszeptać przed śmiercią. A ta nieszczęsna dziewczyna, zamordowana tej samej nocy? Sekrety teraźniejszości mieszały się z tajemniczą przeszłością tych ziem. Tylko tu miewała sny. I to jakie! We śnie nawiedzało ją kozłogłowe bóstwo, kapłani i składane na klifie ofiary.

I Justin. Była przesiąknięta jego zapachem. Śniła o Justinie, spała z nim... A Michael.

Musiała uciekać. Pośpiesznie narzuciła płaszcz. Przeklinając, drżącymi rękami założyła buty. Chwyliła torebkę i kluczyki do wynajętej toyoty.

W drzwiach zatrzymała się. Nie chciała, by jej szukano. Napisała liścik:

„Justinie, postanowiłam usłuchać twoich sugestii i wrócić do domu. Muszę wymazać to miejsce z pamięci”.

Podeszła do drzwi, Nie oglądając się za siebie, ruszyła do samochodu. Do domu.

Z dała od Irlandii. Od O'Nialla.

ROZDZIAŁ 1

Kit powinna się domyślić, że tego sierpniowego poranka wszystko się przeciw niej sprzymierzy.

Z okna swojego mieszkania, na wschód od parku, obserwowała dzieci, bawiące się wśród drzew. Sączyła kawę tak zamyślona, iż wydawało się, że właściwie nie widzi rozhulanych maluchów. W końcu wróciła do kuchni i ponownie wbiła wzrok w leżącą na stole gazetę.

Irlandczyk nieczęsto pojawiał się w rubryce towarzyskiej „New York Times'a”. Teraz jednak był - dokładnie taki, jakim go zapamiętała. Mimo skroni nieznacznie przyprószonych siwizną, Justin O’Niall wyglądał niemal identycznie jak osiem lat temu.

- Powodzenia, przyjacielu - szepnęła czule.

Naprawdę życzyła mu jak najlepiej. Wspomnienia owego, jakże niedługiego, irlandzkiego etapu jej życia nigdy Kit nie opuściły. Tym, co pamiętała najwyraźniej, było niezwykle uczucie zagubienia i straty. Cóż... i nie tylko to. Na myśl o Justinie serce biło mocniej. Nic wielkiego, naturalnie. Minęło przecież osiem lat. A jednak serce zabiło jej mocniej.

Justin O’Niall, zaprzysiężony kawaler, właśnie się zareczył, jak donosił „Times”, z Susan Accorn, dziedziczką jednego z największych producentów jednorazowych pieluch dla dzieci. Cóż, pomyślała Kit filozoficznie, kiedy - jeżeli w ogóle - Justin i Susan zdecydują się na dzieci, oszczędzą krocie na kupnie pieluszek.

Odłożyła gazetę. Zamyślona, machinalnie bawiła się krzyżem, który nadal nosiła na piersi.

Spojrzała na wiszącą nad stołem tablicę pełną najróżniejszych notatek i wycinków. Odsunęła jedną z karteczek, by raz jeszcze przeczytać to, co sama nabazgrała na jakimś świstku: Kayla.

Zastanawiając się, nie odrywała wzroku od kartki. W końcu wzruszyła ramionami. W college'u poznała profesora, który znał gaelicki, ale nawet on nigdy nie słyszał tego słowa.

Odeszła od stołu, by z okna zerknąć na bawiące się dzieci.

Mike był wśród nich. Wszyscy chłopcy mieli takie same, granatowe koszulki, ale ona rozpoznawała go bez trudu. Jego jasne włosy, w słońcu nabierały złotego odcienia. Kiedyś matka wspomniała, że w dzieciństwie i Kit miała takie włosy, które dopiero później ściemniały i nabrały orzechowej barwy.

Kit uśmiechnęła się, jak zawsze pełna obawy o syna. Chłopcy wyrzucili piłkę na ulicę. Mike pobiegł za nią, stanął na krawężniku i obserwował, jak wtacza się pod zaparkowaną po drugiej stronie ciężarówkę. Potem, zgodnie z jej przewidywaniami, zadarł jasną głowę i spojrzał w kierunku okna.

Mike dawał jej wiele powodów do dumy. Wiedziała, że jest piękny, co do tego nie miała cienia wątpliwości. Jego oczy nie były ani zielone, ani brązowe, nie były nawet orzechowe. Pasowały idealnie do koloru włosów, przepełnione niepowtarzalnym blaskiem, Kiedy się uśmiechał, na policzkach tworzyły mu się śliczne dołeczki.

Miał odrobinę za długie włosy, ale Kit to się podobało. Bywał zadziorny, ale nigdy złośliwy. W kwestiach naprawdę ważnych - takich jak nieprzebieganie przez ulicę -bardzo posłuszny.

Gdy Kit otworzyła okno. Mike uśmiechnął się szeroko i pomachał.

- Poczekajcie, chłopcy - zawołała - zaraz pójde po piłkę!

Zamknęła okno, wyszła ze swojego mieszkania na drugim piętrze i szybko zbiegła na dół. Uśmiechnęła się do -chłopców, poczochnęła Mike'a po włosach i ostrożnie przeszła na drugą stronę szalonej, nowojorskiej ulicy. Wyciągnęła piłkę spod ciężarówki i rzuciła dzieciom. Jej matczyne serce zabiło mocniej, gdy syn zwinnie podskoczył, by ją złapać.

Zapowiada się na dobrego piłkarza, pomyślała.

- Dzięki, mammo! - Wysilek został nagrodzony szerokim uśmiechem.

- Nie ma sprawy. Nie zbliżajcie się więcej do ulicy, dobrze? Mike skinął głową i pobiegł do kolegów.

On także, przeszło jej przez głowę, będzie w przyszłości łamał serca. Ludzie - nauczyciele, sąsiedzi, inne dzieci - niemal zawsze zauważali jego wspaniałe, złote włosy.

Kiedy stanęła na pierwszym stopniu, usłyszała dzwonek telefonu. Zatrzymała się na chwilę, nasłuchując. To w jej mieszkaniu. Pędem pokonała schody, lecz gdy podniosła słuchawkę, połączenie zostało przerwane.

Była zła i gdy jej wzrok padł na paczkę papierosów, nie umiała sobie odmówić. Próbowwała rzucić palenie, ale ten telefon zdenerwował ją do tego stopnia, że musiała się uspokoić. Zapaliła i mocno się zaciągnęła.

Zerknęła na papierosa z wyrazem niesmaku na twarzy. Nawet w szkole średniej nie paliła, jako jedna z nielicznych. Zaczęła dopiero po powrocie z Irlandii.

Wszystkiemu winne były sny. Nie umiała się z nich otrząsnąć. Psychiatra nie widział w nich nic nadzwyczajnego: przecież straciła męża, długo przebywała daleko od domu, w obcym kraju, no i była bardzo młoda. Zapewniał, że z czasem koszmary przestaną ją dręczyć.

Być może dlatego, że nie przedstawiła całej historii. Jej rodzice płacili temu człowiekowi bająnskie sumy, a ona nie mogła się zdobyć, by powiedzieć mu całą prawdę. Nie potrafiła opowiedzieć o tym, do czego doszło między nią a Justinem zaledwie trzy miesiące po śmierci jej męża, ani o snach, w których Michael stapał się z zamaskowanym Justinem.

Psychiatra pewnie by osądził, że jest szalona. W najlepszym przypadku określiliby jej problemy jako paranoję, zwłaszcza gdyby wyjawiała, że tej nocy podano jej jakiś narkotyk. Zrezygnowała z wizyt, gdy zrozumiała, że nie mają one najmniejszego sensu.

Kiedy telefon ponownie zadzwonił, Kit natychmiast podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Cześć, kochanie. To ja, twój zapracowany i genialny agent.

- Robert! No i co?

- Go powiesz na lunch?

- Robert - Kit udąa zniecierpliwienie - po prostu mów, co ci powiedzieli. Zgadzą się czy nie?

- To nie takie proste. Lunch?

- Musiałabym zabrać Mike'a. Szkoła zaczyna się dopiero za tydzień.

- Wiesz, że go uwielbiam, ale spróbuj znaleźć jakąś opiekunkę na te parę godzin. Powinniśmy podjąć pewne decyzje.

Coś musiało się za tym kryć. Robert lubił Mike'a i gdyby chodziło o zwykłą rozmowę, nie przeszkadzałaby mu jego obecność. W pierwszej chwili pomyślała, że może szuka okazji, by się z nią umówić, ale szybko uznała, że chodzi o coś zupełnie innego.

- Umówmy się w tej włoskiej restauracji na Madison.

- Oddzwonię do ciebie, Robercie.

Odłożyła słuchawkę, zawahała się i zatelefonowała do sąsiadki. Ona sama często zajmowała się jej synem, Todem, więc Christy powinna bez oporów przygarnąć Mike'a na kolację.

Rzeczywiście, Christy spontanicznie wyraziła zgodę. Gdy Kit skończyła rozmawiać, podeszła do okna i zawołała:

- Michael!

Przerwał zabawę i osłaniając oczy, spojrział w jej kierunku.

- Muszę się spotkać z Robertem. Będiesz grzeczny dla mamy Toda?

Przytaknął i nie zwlekając dłużej, wrócił do tego, co było naprawdę ważne: do piłki i gry.

Kit zadzwoniła do Roberta, przebrała się i zamknęła mieszkanie. Ucałowała syna, pomachała pozostałym dzieciom i odeszła.

Nagle Mike ją zawołał. Zatrzymała się.

- O co chodzi, Mike? - spytała, gdy syn się zbliżył. Zawahał się, potem wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od chodnika.

- Mike?

Nie wyjmując rąk z kieszeni, wreszcie na nią spojrzął.

- Nie wyjedziesz znowu, prawda, mamó?

W zeszłym roku w maju przyjęła zlecenie na Karaibach. Mike miał szkołę, więc postanowiła go zostawić pod opieką babci. Był jedyńkiem, bardzo wrażliwym dzieckiem. Wiedziała, że bardzo mocno przeżył to rozstanie.

- Nie - odparła zdecydowanie. - Nie zostawię cię znowu, Dickensie. Obiecuję.

Uśmiechnął się i pobiegł do kolegów.

Kit zamierzała wziąć taksówkę, ale pytanie Mike'a wprowadziło ją w nostalgiczny nastrój. Korzystając z ładnej pogody, postanowiła zrobić sobie mały spacer i nawet się nie zorientowała, a już była w połowie drogi do restauracji, cały czas nieświadomie bawiąc się celtyckim krzyżem. Gdy doszła na miejsce, zaledwie kilka minut po czasie, Robert Gruyere już stał przy jednym z nakrytych kraciastym obrusem stolików.

Pośpieszyła ku niemu, nadstawiła policzek na powitanie i zajęła miejsce na krześle.

- Robercie, brak pewności mnie zabije. Mamy kontrakt czy nie?

- Wino białe czy czerwone?

- Robercie!

- Białe czy czerwone?

- Białe.

Robert przywołał kelnera i zamówił butelkę białego wina. Kit hamując irytację, czekała, aż kelner napełni jej kieliszek.

- Robert, czy coś świętujemy?

- To zależy od ciebie.

Robert był agentem Kit od czasu, gdy cztery lata temu przyjechała do Nowego Jorku. Nie miała nic poza dyplomem i wiarą w sukces. Robert, najmłodszy członek pewnej renomowanej agencji, dostrzegł Kit. Nie wzbogaciła się zbyt, ale też nie miała problemów finansowych. Zajmowała się książkami podróżniczymi i w swojej dziedzinie zdołała sobie wyrobić niezłą pozycję.

- Co masz na myśli?

- Heinze i Brintz rzucili pewien pomysł.

Spuściła wzrok i sięgnęła po wino: nie chciała okazywać rozczarowania. Heinze i Brintz byli nowi na rynku, wydawali książki w twardej oprawie, które już zdążyły wzbudzić krytykę ze względu na jakość publikacji. Zainteresowali się pracą Kit, a ona pozwoliła sobie pomarzyć o roku pracy tutaj, w mieście - bez konieczności rozstawania się z Mike'em. Potrzebowała też pieniędzy.

- Dlaczego mi tego od razu nie powiedziałeś? - zapytała, sięgając po papierosa.

Robert podał jej ogień.

- Bo oni chcą, żebyś zrobiła dla nich książkę. Kit zaciągnęła się, patrząc na niego podejrzliwie.

- O czym?

- O Irlandii.

- O Irlandii!

Musiła zblednąć, bo Robert pośpieszył z wyjaśnieniami.

- Wiem, że twój mąż zmarł w Irlandii, ale, na litość boską, to się stało osiem lat temu! Poza tym, nie możesz sobie pozwolić na odrzucenie takiej propozycji.

Z roztargnieniem strzepnęła popiół.

- A co z Mike'em?- szepnęła.

- Weź go ze sobą, jeśli tak się o niego martwisz.

- A szkoła?

- Wynajmij prywatnego nauczyciela.

Podszedł kelner, aby przyjąć zamówienie. Gdy Robert zwrócił się do Kit, ręką dała mu znak, by zdecydował za nią.

- No i? - zapytał, gdy kelner odszedł.

- Nie wiem.

- Jak możesz nie wiedzieć? Większość pisarzy sprzedałaby duszę za podobną propozycję. Chyba nie muszę ci przypominać, że nie jest łatwo wydać książkę.

- Wiem, Robercie.

- Słuchaj, Kit, mam wrażenie, że suma, którą oferują za tego rodzaju książkę jest mocno przesadzona. Zatrudnili nowego redaktora naczelnego, którym okazała się jedna z tych fanatycznych Amerykanek irlandzkiego pochodzenia. Ona chce czegoś nie tylko o kraju jako takim, ale także o jego legendach, dawnych zwyczajach i tak dalej. Przynajmniej z nią porozmawiaj.

Kit skinęła głową. Gdy kelner postawił przed nią talerz, zaczęła jeść automatycznie. Dopiero po chwili dotarło do niej, że Robert zamówił ośmiornicę: nienawidziła kałamarnic.

Odłożyła widelec i się zamyśliła. Robert mówił. Ona przytakiwała.

W końcu kelner zabrał talerze i zamówili kawę. Robert wyciągnął długopis i zaczął ją kusić sumami zapisywanymi na serwetce.

- Nie musisz jechać tam, gdzie umarł twój mąż.

- Wiem - bąknęła. Zarumieniła się i spuściła oczy. Delikatnie ścisnął jej dłoń, jakby próbując dodać odwagi.

- Wyrzuć to z siebie.

- Co? - Nie kryła zaskoczenia.

Oparł się wygodnie, cofnął rękę i unikając jej wzroku, zaczął:

- Opowiedz mi o tym. W porządku, najpierw ja powiem, co wiem o tobie. Po maturze wyszłaś za Michaela McHennessy'ego, który właśnie obronił pracę magisterską z literatury na Uniwersytecie w Princeton. Miodowy miesiąc mieliście spędzić w Irlandii, ale

pierwszego dnia Michael zginął. Spadł ze skał. To była prawdziwa tragedia, przyznaję, ale to nie powód, by nienawidzić całego kraju.

- Mylisz się. Ja kocham Irlandię.

- A więc...? Wzruszyła ramionami.

- Powiedz mi, co się wtedy stało. Czemu nie wyjechałaś od razu? Czemu zostałaś tam tyle czasu?

- Ja... - Załamała ręce. - Ja... ja nie wiem! Kłamała; a przecież należało mu się jakieś wytłumaczenie. Ciężko dla niej pracował. Nie mogła mu powiedzieć całej prawdy, ale postanowiła podać parę szczegółów. Westchnęła.

- Michael wychował się w amerykańskim sierocińcu - zaczęła, nerwowo zapalając kolejnego papierosa. - Miał jednak swój akt urodzenia, zgodnie z którym przyszedł na świat w Irlandii, w Shallywae, na południowo-zachodnim wybrzeżu. Chciał tam wrócić. - Uśmiechnęła się na wspomnienie pierwszych godzin ich małżeństwa.

- Całą drogę opowiadaj mi) skrzatach, zjawach, zwiastujących śmierć i druidach. - Nagle jej uśmiech zgasł, głos stał się matowy.

Spojrzała na Roberta niemal błagalnie, jakby to on miał jej coś wyjaśnić. - Michael studiował stare pisma w języku gaelickim. Pamiętam, że kiedy dotarliśmy do naszej chatki, zaczął buszować po okolicy. Opowiedział mi też o tym, jak w czasach przedchrześcijańskich ludzie czcili mieszkającego w morzu boga płodności. Nazywali go Bal, człowiek z kozią głową. Michael opowiadał, że raz w roku poświęcali mu dziewicę i...

- Jakiego typu to była ofiara?

Kit uśmiechnęła się smutno, wspominając roziskrzone oczy pochłoniętego opowieścią Michaela.

- Zbierano się w Halloween, w wigilię Wszystkich Świętych i najwyższy kapłan dostawał dziewicę.

- Aha! I potem ona już nie była dziewicą.

- To nie jest śmieszne, Robercie.

- Rany boskie, przecież rozmawiamy o zamierzonych czasach!

Kit zignorowała uwagę.

- Dziewczyna miała urodzić syna, który byłby potomkiem „boga”. Potem dokonywano rytualnego mordu.

- Kit, ale co to ma wspólnego z Michaeliem? Powiedziałaś mi, że on spadł ze skał.

- Wiem. - Zgasiła papierosa i uniosła kieliszek z winem. - Tyle że tej nocy, kiedy zginął Michael, została zamordowana - parę godzin po wydaniu na świat syna - niejaka Mary Browne.

- Myślisz, że coś łączy te dwie śmierci?

- Tak. Nie. Jezu, nie wiem! Nigdy, nie zrozumiałam, co się wtedy wydarzyło. Na pogrzeb Michaela przyszli wszyscy, nawet matka tej nieszczęsnej zamordowanej dziewczyny. Cały czas powtarzała, że nasze życie należy do naszej ziemi. Nie wiem. Może byłam zbyt młoda i zbyt łatwo ulegałam wpływom. Moi rodzice też byli wtedy w Europie, ale nie mogłam się z nimi skontaktować. Musiałam zwrócić się do Justina O'Nialla i to także było dziwne, zważywszy, że poznałam go tamtej nocy, gdy błądziłam po okolicy, szukając ...

- Justin O'Niall? Ten Justin O'Niall? Znasz go? Kit zdziwiła się.
- Jaki ten?
- Ten architekt!
- No tak, on jest architektem.
- Ten, który żeni się z dziedziczką „Love Buns”?
- Tak.
- Znasz go? - Głos Roberta załamał się lekko.
- No cóż, znałam go - odparła niechętnie. - To on jest sławny?
- Lepszy jest tylko Frank Lloyd Wright. O'Niall jest wspaniały!

Był tu jakieś trzy lata temu. Boże, mogłaś nas poznać ze sobą!
Shallywae, tak! Wiedziałem, że on pochodzi z jakiejś małej wioski!
Jest lordem, czy kimś w tym rodzaju.

- Tak, rzeczywiście, niezły z niego lord - szepnęła Kit gorzko.
Spuściła głowę; nie zamierzała mówić całej prawdy. - Minęło wiele lat, Robercie. Ludzie... są na każde jego skinienie. Tamtej nocy Michael siedział w salonie. Myślę, że zobaczył lub usłyszał mordercę. Wybiegł z domu bez płaszcza, bez niczego. Gdy wróciłam z kuchni, jego już nie było. Wyszłam na dwór, szukałam go po wybrzeżu i wtedy właśnie natknęłam się na Justina O'Nialla. Pamiętam, że z dolin dochodziła muzyka, w oddali jaśniały ogniska. Zgubiłam się i byłam przerażona. O'Niall obiecał, że mi pomoże odnaleźć męża, i był przy mnie, gdy to nastąpiło. Znalazłam Michaela. Leżał na dole... zbiegłam do niego po skałach i...

- I co?

Potrząsnęła głową.

- Wykrztusił jedno słowo i zmarł.

- Jakie słowo?

- Kayla.

- Kayla? - powtórzył. - Co to znaczy?

- Nie wiem. Nigdy nie udało mi się rozszyfrować. Tak czy owak... - wyprostowała się - musiałam stracić przytomność, a gdy się ocknęłam, byłam w zamku Justina.

- Byłaś w zamku?

Kit zawahała się, próbując zgadnąć, o czym Robert myśli. Nic, co do tej pory napisała, nie zainteresowało go w równym stopniu.

- Tak, byłam w zamku. Zabrał mnie do siebie. Zresztą, co innego mógł zrobić z nieprzytomną kobietą? Wezwał policję, a mną zajęła się gospodyni. Sam zorganizował pogrzeb.

- O rany... - westchnął Robert, bawiąc się kieliszkiem. - Gdy oparł się wygodnie, dodał: - Opowiadaj dalej.

- To już koniec. - Czowała, że za dużo wyjawiała. Wcześniej powinna się ugryźć w język. Wiedziała, że teraz Robert będzie drążyć temat.

- Zostałaś tam, prawda? Udała obojętność.

- No tak, na trochę. Zostałam w naszej chatce jakieś trzy miesiące.

- I co?

- I nic. Potem wróciłam do domu. Zajął się Michael.

Wróciłam na studia. Zaczęłam pisać. Przeprowadziłam się do Nowego Jorku. Rozpoczęłam nowe życie.

- Aha! - Robert wskazał na nią palcem.

- Co aha?

- Nie ma najmniejszego powodu, by unikać Irlandii jedynie ze względu na to, co się stało osiem lat temu. To ci może nawet dobrze zrobić. Masz teraz dwadzieścia sześć lat, a nie osiemnaście. Nie jesteś ani naiwna, ani nie poddajesz się wpływom innych. Kiedy wrócisz do tej wioski, będziesz mogła śmiać się z duchów przeszłości.

- Tak myślisz? - Kit łyknęła wina.

- Tak myślę. A jeśli przypadkiem spotkałabyś starego znajomego Justina, to może byś mu zasugerowała napisanie książki?

- A ty zostałabyś jego agentem, jak rozumiem?

- Ranisz mnie, Kit.

Uśmiechnęła się przekornie.

- Nie zamierzam na niego wpadać.

- Ale wpadniesz. Potrzebujesz pieniędzy.

Kit sięgnęła do torebki, wyjęła długopis i zanotowała na serwetce kilka cyfr. Pieniądze naprawdę by się przydały. Aż za dobrze zdawała sobie z tego sprawę.

- Zrobię to, ale pod jednym warunkiem: Mike jedzie ze mną.

- Świetnie! - Robert poprosił o rachunek.

Kiedy sięgał po kartę kredytową, Kit zerknęła na serwetkę, na której robiła notatki. Kayla.

Dreszcz przeszedł jej po plecach.

Kayla. Słowo, które Michael wymamrotał przed śmiercią. Co też ono mogło znaczyć? Może nic, może Michael po prostu majaczył...

Robert wstał, pośpieszył z pomocą Kit, potem podał jej wizytówkę.

- Zadzwoń dzisiaj do twojego nowego wydawcy. Nazywa się Kelly O'Hare.

- Jakież to irlandzkie - zauważyła nie bez złośliwości.

- Podobnie jak Katherine McHennessy - przypomniał z uśmiechem.

- Zadzwonię. Nadal jednak nie rozumiem, skąd u niej pewność, że to właśnie ja jestem odpowiednią osobą. Nie będę w stanie zrobić przeglądu literatury, bo nie znam gaelickiego. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała: - Michael znał ten język. I to płynnie.

- Jestem pewien, że dasz sobie radę. Książki może czytać każdy. Kelly szukała kogoś osobiście zaangażowanego. Będziesz musiała wyjechać gdzieś za miesiąc, termin oddania pracy przypada w maju lub w czerwcu. Powinnaś zdążyć się zorientować.

- Taaa... jasne. - Westchnęła.

Wyszli na ulicę. Słońce wyjrzało zza chmur, powietrze było wyjątkowo przejrzyste. To chyba dobry znak, pomyślała.

- Zjemy dzisiaj kolację? - zapytał Robert. Uśmiechnęła się.

- Nie.

- Zawsze warto spróbować.

- Jesteś moim agentem, Robercie.

- Wielu agentów ożeniło się ze swoimi klientkami.

- Mam siedmioletniego syna.

- Za rok będzie miał osiem, a za dziesięć lat będzie w college'u. Musisz zacząć żyć dla siebie, Kit. Może jestem trochę rozpustny, ale - sama przyznaj - który mężczyzna w Nowym Jorku nie jest?

Kit uśmiechnęła się.

- Dobrze, Robercie, zjemy razem kolację zaraz po moim powrocie. Może być?

- Lepszy rydz niż nic. - Machnął ręką na pożegnanie. Kit powoli ruszyła w kierunku domu. Nie spieszyła się.

Kiedy wreszcie dotarła na swoją ulicę, zdała sobie sprawę z jednej rzeczy: wiedziała, że potrzebuje tej podróży do Irlandii. Przeszłość była nadal żywa, kładła się cieniem na teraźniejszość.

Przez dłuższą chwilę patrzyła w okna swojego mieszkania. W końcu uśmiechnęła się: Mike ucieszy się na wieść o długich wakacjach w dalekim kraju.

Rozmowa z Kelly O'Hara, która okazała się miłą, wrażliwą kobietą, przebiegła nad podziw łatwo. Zamierzała wydać książkę, która uwzględniałaby zarówno współczesność, jaki i historię Irlandii, która by ukazała ten kraj w szerszym kontekście. Miała być zdecydowanie czymś więcej niż zwyczajnym przewodnikiem.

Kit nie kryła zaskoczenia, gdy dowiedziała się, że oprócz więcej niż przyzwoitego honorarium dostanie zaliczkę na poczet poniesionych kosztów. Wiosną dołączy do nich fotograf. To przechodziło jej najśmielsze marzenia.

Zostało tyle rzeczy do zrobienia... Mike zaczął się pakować, gdy tylko mu powiedziała, że wyjeżdżają. Same najpotrzebniejsze rzeczy: samochody, zabawki, książeczki do kolorowania...

Musiała zadzwonić do rodziców do Connecticut, by ich powiadomić o swoich planach. Niepokój matki zbywała tymi samymi argumentami, którymi posłużył się Robert.

- Mamo, Michael umarł osiem lat temu.

- A nas wtedy z tobą nie było.

- To nie wasza wina. - Oczami wyobraźni widziała, jak matka nerwowo bawi się obrączką.

- Kit, sama nie wiem, nie podoba mi się to wszystko. Gdyby Michael żył... Miałabyś gromadkę dzieci i piękny dom na przedmieściach, zamiast tej klatki w mieście...

- Mamo, Michael i ja nie chcieliśmy gromadki dzieci. Jego śmierć to tragiczna, bolesna strata, ale nic nam go nie wróci, a ja już nauczyłam się żyć z tą świadomością. - Na chwilę gorzko się zamyśliła, a potem dodała: - Poza tym lubię mieszkać w mieście.

- A Mike? Powinien mieć duży ogród i psa.

- Dobrze, mamó. Masz rację.

- Nie pozwól mu pić wody.

- Mamo, woda w Irlandii jest w porządku!

- Nie zawadzi być ostrożnym.

- Dobrze, mamó - przytaknęła miękko, a potem oznajmiła już bardziej zdecydowanym tonem: - Mike i ja wpadniemy do was przed wyjazdem na weekend, dobrze?

Po rozmowie poszła do pokoju syna. Leżał wpatrzony w ekran telewizora. Na jej widok rozpromienił się.

- Naprawdę wyjeżdżamy, mamó? Podeszła do łóżka chłopca.

- Przesuń się.

Gdy zrobił jej miejsce, położyła się i objęła syna ramieniem.

- Wyjeżdżamy.

Przez chwilę milczał, aż w końcu zapytał:

- Babcia pewnie się zamartwia?

- Trochę się przejęła. Znasz babcię. Pokiwał głową.

- A ty? Czy ty się denerwujesz? - zapytał w końcu.

- Nie - odparła bez namysłu, nie wiedząc, ile w tym zapewnieniu kryło się prawdy. - Czego miałabym się obawiać? Ci ludzie zapłacą mi mnóstwo pieniędzy, Dickensie.

- Tam zginął mój ojciec - szepnął Mike bezbarwnym głosem.

Widziała, że cały czas ją obserwuje kątem oka.

- Nie musimy jechać w tamto miejsce. - Usłyszała swój własny głos. Ale pojedziemy, pomyślała, i uczuła dreszcz przebiegający jej po plecach. Pojedziemy, wiem, że pojedziemy...

- Chętnie tam pojedę - rzekł Mike, a Kit ze zdumieniem skonstatowała, że jej syn wydorósł. - Chciałbym zobaczyć miejsce, gdzie jest pochowany. - Powiedział to bez bólu: nigdy nie poznał Michaela. - Jestem półkrwi Irlandczykiem - dodał dumnie.

- Tak, Mike. Jesteś pół-Irlandczykiem. - Podniosła się, ucałowała syna w czoło i poprawiła koc. - Wyłącz telewizor, Dickensie, już późno.

Posłusznie nacisnął guzik pilota i pokój pograżył się w ciemnościach. Stała już w drzwiach, kiedy od łóżka dobiegło ją czułe, dziecięce „kocham cię, mamo”.

- Ja też cię kocham, Dickensie.

Kit poszła prosto do swojej sypialni. Wtuliła się w poduszki, ale nie mogła zasnąć.

Zmęczona bezsennością wstała, by postawić wodę na herbatę. Gdy się zagotowała, zalała torebkę z herbatą i utkwiała wzrok w kubku. Nagle odsunęła go gwałtownie, rozlewając zawartość na stół i podłogę.

Podeszła do okna i uchyliła zasłonę. Zrezygnowała z herbaty, wolała wypić kieliszek wina. Wpatrzona w pustą ulicę, wypaliła papierosa, zaciągając się głęboko. Stłumione odgłosy zdawały się dodawać otuchy.

Kiedy wreszcie wróciła do łóżka, natychmiast zapadła w głęboki sen. Nad ranem zaczęła śnić, po raz pierwszy od wielu lat.

Śniła obrazami. Widziała roześmianą twarz Michaela, opowiadającego jej historie ze swej książki. Leżał wygodnie i łaskocząc ją, jednocześnie mówił:

- Ach, te pogańskie czasy! Rogate, kozłogłowe bóstwo, czyli najwyższy kapłan, był wszechwładny. Rozumiesz, co mam na myśli... żadnego „dzisiaj boli mnie głowa”, bez szans! Wciągano ją na ołtarz, otumaniano: przyzwalająca i słodka stawała się bożą oblubienicą. A rok później, gdy tylko wydała na świat bożego potomka, ponownie wciągano ją na ołtarz, a jej krew miała zapewniać żyzność polom...

- Przestań, Michael, bo twoja oblubienica dostanie bólu głowy! - uciszyła go, roześmiana, ale i lekko wystraszona. We śnie - podobnie jak kiedyś w życiu - dała mu lekkiego kuksańca. - Przyniosę szampana.

Kit nie chciała śnić dalej. Za wszelką ceną pragnęła odgonić obrazy, które coraz bardziej realistyczne rysowały się przed jej oczami.

Michael zniknął. Zawołała, ale nikt nie odpowiadał. Zauważyła, że drzwi wejściowe są uchylone. Wybiegła, bosa, w białej, jedwabnej koszuli nocnej. Biegła prosto w czerń nocy, przez łąki prosto ku morzu.

Nagle zwolniła: w mroku dojrzała sylwetkę mężczyzny. Zauważył ją. Był wysoki, wyglądał jak młody bóg. Wszystko wokół wydawało się tak nierealne, że w pierwszej chwili wzięła go za wytwór swojej wyobraźni. Szła dalej, potykając się i drżąc. Gdy go mijiała, otulił ją płaszczem i podał rękę: dalej poszli razem.

Próbował ją przywołać, ale nie reagowała. Biegła w dół, po skałach, potykając się i upadając. Michael tam był. Patrzył na nią nie widzącymi oczami, mamrotał...

- Odejdź od niego, on cię nie słyszy! Odejdź od niego...

Gdy upadła, silne ramiona uniosły ją w górę. Ocknęła się na zamku. Byli już wszyscy: Liam O'Grady siwiejący posterunkowy, Molly, Doc Conar- i Justin. Stał w drzwiach, z rękami założonymi na torsie. Nie pozwolił jej przesłuchiwać, dopóki nie przestała płakać, uspokajał ją, gdy inni debatowali nad przewiezieniem zwłok do

Stanów. To on przyprowadził do niej ojca Pat, to on zorganizował uroczystości pogrzebowe. Nie odstępował jej ani na chwilę... Widziała go, jak stoi na wietrze, wskazuje na morze, a ona pyta: „Czy widziałeś łodzie podwodne w czasie wojny?” Odpowiedział ze śmiechem: „Może wyglądam staro, ale naprawdę mam tylko dwadzieścia osiem lat”.

Obraz zbladł. Sen powoli stawał się koszmarem.

Zapadła noc. Ciemna i mglista, rozdzielana zawodzeniem piszczałek i złowieszczym wyciem wiatru.

Zobaczyła klif. Na brzegu urwiska stali ludzie z wioski. Otaczali ją. I skandowali:

Kayla... Kayla... Kayla... Kayla!

Krąg się zacieśniał. Tuż przed sobą widziała znajome twarze: Molly, Doca, Liama... Podchodzili coraz bliżej...

Nagle w jej śnie pojawił się Justin. Milczał, uśmiechał się. Był nagi i szedł prosto ku niej: niespiesznie, długim krokiem, pewny siebie.

Przerażona, chciała uciekać, ale nie mogła, grube rzemienie więziły jej członki. Bezsilna, obrzuciła go drwiącymi wyzwiskami.

Król High Hills, król High Hills. Jesteś królem High Hills. Samym O'Niallem. - Urwała i wybuchła śmiechem.

Wtedy, niespodziewanie, Justin zniknął, a na jego miejscu pojawił się kozłogłowy bóg. Zaczęła krzyczeć, a on napisał krwią na jej brzuchu: KAYLA.

Kit usiadła na łóżku. Ociekała potem i drżała. Jak zawsze, najpierw rozejrzała się wokoło. Dopiero gdy nabrała pewności, że jest we własnym mieszkaniu, w Nowym Jorku, trochę ochłonęła.

Położyła się z powrotem, ale nie odważyła się zamknąć oczu. Wpatrywała się w sufit. Czy podkochiwała się w Justinie O'Niallu? Może sama przed sobą wstydziała się do tego przyznać. Czy stąd się biorą wszystkie jej sny? Tak niewiele wiedziała o seksie; kochała Michaela i przyznanie, że jej ciało jest równie samotne, jak dusza, wydawało się jej ciężkim grzechem.

Stało się coś dziwnego. Bardzo dziwnego. Nie wymyśliła sobie ani śmierci Michaela, ani śmierci Mary Browne. Ponadto niektórzy wieśniacy zachowywali się dziwacznie. Miło, ale dziwacznie. Jakby się bali Justina O'Nialla.

A sam Justin...

Justin był niezwykle pociągającym mężczyzną, a ona czuła się taka samotna. Nietrudno zrozumieć, co się wtedy wydarzyło.

Poprawiła poduszki i zmusiła się do zamknięcia oczu. Zacisnęła palce na krzyżu i zasnęła. Nie śniła już tej nocy.

Kit obudziła się zmęczona, jakby w ogóle nie spała. Czuła się głupio-rano jej sny blakły. Ziewając, wygramoliła się z łóżka i poszła do kuchni. Nastawiła ekspres do kawy: dawka kofeiny była tym, czego potrzebowała.

Z kubkiem w ręku zajrzała do Mike'a. Jeszcze spał.

Uśmiechnęła się i postanowiła rozkoszować się porannym papierosem i gazetą, zanim dom wypełni szczebiot syna.

Kit w szlafroku zeszła do skrzynki po gazetę i nie zerkając na nią, wróciła do kuchni. Zapaliła papierosa -wczoraj nie było tak źle, nie wypaliła więcej niż pół paczki - zaciągnęła się głęboko, wypila łyk kawy, rozłożyła gazetę na stole i aż się zakrztusiła z wrażenia.

Z tytułowej strony „Times'a" spoglądał na nią Justin O'Niall. Nagłówek zdawał się krzyknąć: „Dziedziczka Love Buns zamordowana w hrabstwie Cork. Sławny irlandzki architekt głównym podejrzanym!"

Susan Accorn została uduszona, a ciało wrzucono do Morza Irlandzkiego w nocy z pierwszego na drugiego września. Tyle wiadomo na pewno.

Reszta, zdaniem Kit, to nic więcej niż czcze domysły.

Według autora artykułu, Susan pokłóciła się z narzeczoną, Justinem O'Niallem, w jego rodzinnym domu. Zaręczyny zostały zerwane. Podejrzenia - tym mocniejsze, iż osiem lat temu zamordowano inną, związaną z nim kobietę - padły zatem na Justina O'Nialla.

Kit przeczytała artykuł jeszcze raz. Kawa ostygła, a papieros spalił się aż do filtra.

Nie było żadnych dowodów przeciwko Justinowi. Autorzy artykułu starali się być względnie bezstronni; powstrzymali się od bezpardonowego szkalowania O'Nialla. Ostatni akapit zawierał

wypowiedź Justina, w której stanowczo zaprzeczał wszelkim oskarżeniom i groził, że pozwie oszczerców do sądu.

- Tym lepiej dla ciebie, Justinie - wymamrotała Kit.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że cała drży, zupełnie jak owej pamiętnej nocy, gdy po raz pierwszy spotkała O'Nialla.

Stał na szczycie klifu, tymczasem Michael umierał wiele metrów niżej, na skraju morskiej plaży. Pamiętała przekonanie - niczym nieuzasadnione - że Michael zginął, bo zobaczył coś, czego nie powinien widzieć. Tej nocy młodzianka Mary Browne z podejrzanym gardłem została powierzona rozszalałym falom morskim.

Kit usiłowała się skoncentrować, sięgnąć pamięcią jak najdalej. Tak, Mary zginęła tej samej nocy. Kit nadal pamiętała plotki, jakie po cichu przekazywali sobie mieszkańcy wsi: przecież Mary dopiero co wydała na świat bękarta... Pamiętała, że Justin niemal agresywnie reagował na niektóre pomówienia; nigdy nie był kochankiem tej dziewczyny, cóż za nedorzeczny pomysł, oburzał się. Plotki wkrótce ucichły - przecież jest niewinny, powtarzała sobie Kit. Poznała go dość dobrze i nie miała żadnych co do tego wątpliwości. Mimo to wspomnienia z czasem nabierały coraz większej mocy, stawały się coraz bardziej natarczywe. O'Niallowie sprawowali rządy w okolicy, a dalekimi przodkami Justina byli druidzi. A ci rzeczywiście rządili za pomocą strachu, gwałtu i śmierci...

- O czym ja myślę - szepnęła, machinalnie nawijając pukiel włosów na palec i lekko bujając się w fotelu. Znała Justina O'Nialla i

choć dotąd nie rozumiała, dlaczego wtedy doszło między nimi do zbliżenia, nie potrafiła uwierzyć, że jest mordercą.

Zawsze wiedziała, że pewnego dnia będzie musiała tam wrócić. Mogła wygrać z własną przeszłością, czuła to. Zwalczy to niezwykle uczucie strachu, przerażające i... pociągające. Poczła dławienie w gardle. Nie... Tak.

Scandalous

ROZDZIAŁ 2

Wyruszyli pierwszego października.

Kit bardzo zależało, by Mike jak najwięcej skorzystał z podróży, więc zamiast polecieć bezpośrednio do Shannon, zdecydowała się najpierw zatrzymać w Londynie. Była pewna, że to piękne, historyczne miasto przypadnie synowi do gustu.

Spodobała mu się zmiana warty przy pałacu Buckingham i był zafascynowany Soho. Muzeum Wiktorii i Alberta nie zrobiło na nim specjalnego wrażenia, ale przecież siedem lat to trochę za mało, by móc w pełni doceniać sztukę i historię.

Ożywił się w Tower of London: wiedziała, że oczami wyobraźni widzi rycerzy w lśniących zbrojach i więzionych biedaków w łańcuchach.

Także opactwo Westminster spodobało się chłopcu. I to właśnie tam, gdy spacerowali pośród grobowców królów i królowych Anglii, zdecydował się zapytać, kiedy wyruszą do Irlandii.

- Dobrze się bawisz?

- Jasne - odparł bez chwili namysłu - ale kiedy pojedziemy do Irlandii?

Kit pogładziła syna po włosach.

- Do Shannon jest niedaleko. Możemy jechać w każdej chwili.

- Na przykład kiedy?

- Niedługo - obiecała.

Zebrali się do drogi następnego dnia. Gdy w wypożyczalni samochodów zaproponowano Kit nową toyotę - podobną do tej, jaką wynajęli niegdyś z Michaeliem - nie zgodziła się i wybrała o wiele starsze, używane volvo.

Przed wyjazdem Kit starannie przestudiowała mapę i zaproponowała:

- Co powiesz na mały wypad do zamku w Blarney?
- Czy to konieczne?

Sądziła, że pomysł mu się spodoba. Był dzieckiem, a dzieci uwielbiają takie rzeczy... Zmarszczyła brwi.

- Nie chcesz zobaczyć zamku?
- Koniecznie dzisiaj? Wolałbym odwiedzić miejsce, gdzie jest pochowany mój tata.

Za to ja nie chcę, pomyślała. Wiedziała jednak, że co się odwlecze, to nie uciecze; wcześniej czy później i tak będzie musiała zmierzyć się ze swoją przeszłością.

Wróciła do mapy.

- Słuchaj, Mike. Jest po drodze taka mała miejscowość, Baitree. Podobno jest tam kilka miłych, przytulnych moteli. Zatrzymamy się tam, zjemy coś i jeżeli będzie jeszcze widno, to zabiorę cię na cmentarz.

- A kiedy dojedziemy do Morza Irlandzkiego? - zapytał Mike, rozgorączkowany.

Kit zawahała się.

- Raczej nie dzisiaj, Mike. Wcześniej się ściemnia, a klify są bardzo niebezpieczne.

- Mamo...!

- Tam jest naprawdę bardzo niebezpiecznie.

Kit włączyła silnik i ruszyła, nie zważając na upór syna. Nie było to takie trudne, gdyż pilnowanie się lewej strony pochłaniało ją niemal całkowicie.

Przez dwadzieścia minut krążyli po mieście. Gdy nareszcie znaleźli się na szosie, kątem oka zerknęła na Mike'a. Nie siedział już sztywno, obrażony, lecz chciwie chłonał widoki za oknem.

- Ale tu zielono! Ile trawy! - wykrzyknął.

- Przecież widziałeś już trawę, Mike.

- Gdzie?

- W Connecticut, w Central Parku - wymieniała, jakby chciała przeciwstawić się zachwytowi syna, okazywanemu temu bezkresnemu krajobrazowi. - Uśmiechnęła się odrobinę zakłopotana, uświadamiając sobie, jak wielki niepokój musi podświadomie odczuwać, skoro tak reaguje na entuzjazm chłopca. - Tu jest rzeczywiście bardzo pięknie, Mike - powiedziała ciepło, aby przywrócić dobrą atmosferę. Chciała przecież, aby ta podróż stała się dla syna niezapomnianym przeżyciem.

Sama jednak nie czuła się dobrze. Jechali dokładnie tą samą drogą, w dokładnie to samo miejsce. Nic dziwnego, że miała duszę na ramieniu.

Kit zdążyła zapomnieć, jak potrafi się bezlitośnie dłużyć pokonywanie kilometrów irlandzkich bezdroży. Do Cork został jeszcze kawałek drogi, gdy Mike zaczął narzekać, że chce mu się pić.

- Niedługo dojedziemy do miasta, możesz jeszcze poczekać? - zapytała. - Będę tam tankować.

Skrzywił się, ale nie sprzeciwił. Kit zapewniła, że nie potrwa to dłużej niż dziesięć minut, ale minęło prawie pół godziny, zanim się zatrzymali.

W końcu udało jej się znaleźć małą, przytulną knajpkę, do której można było zaprowadzić dziecko. Mike zażyczył sobie filiżankę gorącej czekolady i miskę zupy jarzynowej; Kit też zdecydowała się na zupę, ale do picia zamówiła piwo. Ciepłe piwo w pierwszej chwili wydało jej się okropne, szybko jednak wytłumaczyła sobie, że powinna nauczyć się nim cieszyć.

- Podoba mi się tutaj - stwierdził Mike. - Tyle zieleni! - zaczął opowiadać o owcach, które mijali po drodze. Kit słuchała go jednym uchem; zafrapowała ją rozmowa tocząca się przy sąsiednim stoliku.

To hańba.

- Wstyd!

- I to wszystko dlatego, że ten człowiek ma pieniądze! Mówię ci, Mabel, za pieniądze można na tym świecie kupić wszystko, nawet niewinność.

Kit tylko kątem oka zerknęła na kobiety, które miały na głowach sztywne kapelusiki, podobne do jeździeckich toczków, a na sobie kosztowne futra. Nie chciała zdradzić się z tym, jak bardzo ciekawi ją

prowadzona przez nie rozmowa, ale skupiała uwagę na każdym ich słowie, starając się po akcencie rozpoznać ich pochodzenie. Nie były Irlandkami - przynajmniej nie z tej części wyspy.

Starsza z nich, nosząca imię Mabel, ze złością wskazała na gazetę leżącą na stoliku.

- Spójrzysz tylko, Gladys. Nawet nie przesłuchali tego O'Nialla, a przecież nie ulega wątpliwości, że to on zamordował tę biedną dziewczynę. Pokłócili się, rozstali, a potem znaleziono ją martwą, praktycznie na progu jego domu.

- A policja twierdzi, że nie ma dowodów! - nie kryła oburzenia Gladys, potrząsając podwójnym podbródkiem.

- Przecież to jasne: ludzie z miasta, którzy go tak zaciekle bronią, na pewno wiedzą, że jest winny. Najzwyczajniej w świecie chronią jednego ze swoich - przecież ta -kobieta była Amerykanką. Naturalnie, Amerykanki... -Mabel z zapalem tokowała na temat pozbawionych wszelkich skrupułów i słynących z lekkich obyczajów Amerykanek.

Kit udało się wreszcie ustalić, że kobiety mówiły z akcentem angielskim, a nie irlandzkim.

Gladys ściszyła głos i Kit musiała się pochylić nad stołem, by nie stracić tej części rozmowy. Nie potrafiła się pohamować.

- Tak, ale przecież wiesz, jacy porywczy są Irlandczycy. Pewnie się wściekł i niewiele myśląc, udusił ją. Nieumyślne spowodowanie śmierci, Mabel, a nie zabójstwo pierwszego stopnia. Ten mężczyzna

jest taki przystojny... Fascynujący i pełen namiętności... On jest pociągający jak grzech.

- Hm. - Nie ulegało wątpliwości, że Mabel jest odmiennego zdania. - Także wampiry są fascynujące, i to śmiertelnie! A co z dziewczyną, która zginęła tyle lat temu? Poderżnął jej gardło! Wszyscy wiedzą, że to zrobił, ale go nie oskarżono. Wiesz, co się mówi? - Mabel rozejrzała się, jakby dopiero teraz dotarło do niej, że znajduje się w lokalu pełnym ludzi. Ściszyła głos. - Otóż podobno, droga Gladys, wielu wieśniaków z wybrzeża jest, jakby to powiedzieć... poganami. I to w dzisiejszych czasach! Słyszałam nawet, że odbywają jakieś dziwne rytuały. Opowiadała mi o tym Barbara Sawyer, a jej można wierzyć. Ona twierdzi, że Justin O'Niall jest przywódcą lokalnej ludności, tak jak jego przodkowie. Czyli że jest kimś w rodzaju arcykapłana. Kto wie? Niewykluczone, że obie te dziewczyny zostały złożone w ofierze. Może O'Niall jest szalony, może mu się wydaje, że jest sługą szatana? - Przysunęła się do przyjaciółki. - A turystki to dla nich najlepsze ofiary!

- Och! Czy jesteśmy tu bezpieczne? Och, Mabel, a jeżeli on gwałci swoje ofiary? - dopytywała się podekscytowana Gladys.

Co za bzdury, pomyślała Kit z wściekłością. Chciała coś powiedzieć. Cokolwiek. Mój Boże, jakże wielką moc mają plotki!

- To ty nie słyszałaś o ciałach? - zdziwiła się Mabel.

- Mamo! - Okrzyk Mike'a odwrócił uwagę Kit od prowadzonej obok rozmowy i uniemożliwił jej wysłuchanie dalszego ciągu rewelacji. W pierwszej chwili miała ochotę skarcić syna, ale w porę

przypomniała sobie, że uczyła go, iż to niegrzecznie podsłuchiwać cudze rozmowy: a tu, proszę, sama to robiła.

- O co chodzi, Mike?

- Czy nie powinniśmy już jechać?

- Tak, rzeczywiście, lepiej ruszajmy - odpowiedziała z rezygnacją. - Tylko ureguluję rachunek. Idź na dwór i poczekaj na mnie przy samochodzie.

Uśmiechnął się i gorliwie wykonał polecenie. Kit wzięła portmonetkę i wyciągnęła kilka funtów. Gdy szła do kasy, czuła na sobie wzrok Mabel i Gladys.

Kiedy po odebraniu reszty odwróciła się, by ruszyć do wyjścia, przekonała się, że obie kobiety nadal ją obserwują. Rzuciły jej grzeczny uśmiech, ale ich spojrzenia wyrażały niechęć. Najwyraźniej nie podobały im się jej dzinsy albo włóczkowy sweterek. A może tenisówki?

Kit odwzajemniła uśmiech i zbliżyła się do stolika przyjaciółek.

- Na miejscu pań bardzo bym uważała. W tym kraju aż się roi od najróżniejszych wyznawców magicznych kultów. Oni stale składają jakieś ofiary! - Odegranie roli „życzliwej” opłaciło się: mogła z satysfakcją obserwować dwie zastygłe w przerażeniu twarze. Gladys wyrwało się nawet jękliwe „Och!”. Kit pokiwała głową i szybkim krokiem skierowała się do drzwi.

Mike stał już obok samochodu.

- Wszystko gotowe, Dickensie? - zapytała, zapuszczając silnik.

- O czym te panie rozmawiały, mammo?

- Ot, tak sobie plotkowały. - Kit koncentrowała się na ruchu na drodze.

- O morderstwie?

Zawahała się nad odpowiedzią - czy powinna z synem o tym rozmawiać? Faktem jest, że nastąpiły tak niebezpieczne czasy, iż dzieciom mówiono w szkole, w kościele, w domu o wszystkich możliwych zagrożeniach; ostrzegano przed tym, czego powinny się bać; nie tajono, co im może grozić. Dlatego też odparła:

- Tak.

- Czy złapali tego człowieka?

- Nie, Mike. Zresztą nic nie wiem o tej sprawie. Och, spójrz!

Wyjazd z Cork zabrał im kilka minut i znowu jechali przez łąki i pastwiska.

- Mike, zobacz, kucyk! Czyż nie jest słodki?

- Myślisz, że mógłbym kiedyś mieć kuczka, mam?

- Jasne. Kiedyś. - Zawsze tak odpowiadała.

Zajazd „U Jamiego” mieścił się przy bocznej drodze, w miasteczku niewiele większym od Shallywae, nie dalej jak dziesięć minut drogi od celu ich podróży.

Jamie osobiście powitał gości. Zajazd świecił pustkami, więc właściciel śmiesznie niską ceną starał się ich skusić do jak najdłuższego pobytu.

Kit zapłaciła za dwie noce, pozwoliła Mike'owi napić się lemoniady i wróciła do samochodu po walizki. Otworzyła bagażnik, aby wystawić torby, gdy nagle zamarła, a po plecach przeszły jej

ciarki. Przez moment była pewna, że ktoś ją obserwuje. Ostrożnie odwróciła głowę i rozejrzała się wokoło. Zobaczyła jedynie brudną, kamienistą drogę i las, pod którym leniwie pasło się kilka owiec.

Lekko zniecierpliwiona zerknęła w stronę domu.

Jamie - właściwie James Jameson - był bardzo przyjazny. Miał ciepły, niski głos i Kit widziała, że Mike z zainteresowaniem słucha starszego pana. Weszli w trójkę do budynku zajazdu.

- To idealne miejsce dla pani i dla chłopca - przekonywał Jamie z silnym, irlandzkim akcentem. - Tu jest duży pokój, z którego przechodzi się do mniejszego. Możesz hałasować, ile dusza zapagnie, synu. Ja już prawie nie słyszę, a owcom też przecież to nie będzie przeszkadzać!

Pokój był ładny. Skromnie umeblowany, ale nieskazitelnie czysty. Mieli nawet do dyspozycji własną łazienkę, czego się nie spodziewali.

- Wspaniale. Bardzo dziękujemy.

- To spokojne miejsce. — Starszy pan podrapał się po prawie całkowicie łysej głowie. - Miło, że przyjechaliście.. . Naprawdę miło...

Jamie zszedł na dół. Mike nie przestawał mówić: krążył podniecony między pokojami, nie rozstając się ze swoją torbą podróżną. Kit prawie nie zwracała na niego uwagi i zaczęła się rozpakowywać.

Nagle to dziwne, obezwładniające uczucie powróciło. Tym razem było silne, tak silne, że przez chwilę Kit bała się podnieść głowę.

Kiedy w końcu odważyła się spojrzeć, z trudem powstrzymała krzyk. Tym razem rzeczywiście ktoś ją obserwował. Na progu stał stary, rozczochrany mężczyzna o kaprawych oczkach i twarzy pomarszczonej jak pysk buldoga.

- Wróciła pani, pani McHennessy.

Zamarła przerażona, by chwilę później odetchnąć z ulgą.

- Stary Doug! - wykrzyknęła.

Stary Doug i jego syn, Młody Doug, zajmowali się pochówkiem Michaela. Żona Starego Douga, Molly, pracowała u Justina. Po śmierci Michaela wszyscy byli dla niej niezwykle mili i opiekuńczy.

Kit podeszła, aby ucisnąć chudą dłoń starego człowieka. Nie wygląda najlepiej, pomyślała z żalem. Zniszczony, schorowany...

- Wróciłaś, dziewczyno!

- Teraz jestem pisarką. Właśnie pracuję nad książką.

- A gdzie mały?

- Mały? A, mój syn! Skąd pan wie?

- Po prostu wiem, panienko, po prostu wiem! - odparł, nieznacznie mrugając okiem.

Kit uśmiechnęła się. To Stary Doug ją obserwował, gdy wyjmowała bagaże z samochodu. Widział ją - musiał spostrzec też chłopca.

- Mike! - zawołała syna, ale gdy się odwróciła, chłopiec już był przy niej. Miała nadzieję, że okaże się grzeczny w stosunku do Starego Douga. Dzieci często nie wiedzą, jak się zachować przy starszych ludziach.

Niepotrzebnie się martwiła: Mike przywitał się z entuzjazmem, który go nie opuszczał podczas podróży po Irlandii.

- Cześć, jestem Mike. Michael Patrick McHennessy. Pan zna moją mamę?

- Jasne, że znam! Mike spojrzał na matkę.

- On cię pamięta! To prawie tak jak powrót do domu, prawda?

Kit nie odpowiedziała na to pytanie. Uśmiechała się dla dodania sobie animuszu i zwróciła się do Starego Douga.

- To miłe, że mnie pan pamięta. Przecież nie spędziłam z wami zbyt dużo czasu.

- Byłem pewien, że któregoś dnia przyjedziesz z małym. Byłem tego pewien!

Kit ogarnął niepokój. Dlaczego w towarzystwie tego mężczyzny czuje się tak nieswojo? Cóż, w końcu jest grabarzem. .. Kit zaczęła się zastanawiać, jak pozbyć się go z pokoju.

- Tato! Tato, gdzie jesteś? Co tam robisz na górze?

- rozległ się męski głos, a po chwili zza pleców Starego Douga wyłonił się mężczyzna. Kit z trudem rozpoznała Młodego Douga.

- A co... to ty? - wymamrotał zaskoczony. Kit w milczeniu skinęła głową.

Młody Doug z nieopierzonego wyrostka wyrósł na przystojnego młodego człowieka o dobrotliwym uśmiechu, pięknych, szarych oczach i bujnej, płowej czuprynie. Kit zdała sobie sprawę, że są równoletkami.

- Młody Doug! - roześmiała się.

- Pani McHennessy! - odparł nieco ironicznie. - O przepraszam, nie chciałem być niegrzeczny! - Poklepał ojca po ramieniu. - Tato też nie, jestem pewien. - Ściszył głos, jakby chciał coś przed ojcem zataić

- Tato ostatnio... no, trochę mu się myli.

- Wszystko w porządku - zapewniła Kit. Ale czy rzeczywiście tak myślała? Położyła dłoń na ramieniu syna.

- Naprawdę miło was znowu spotkać. Mike, to jest...

- Urwała. Chciała powiedzieć „Młody Doug”, ale doszła do wniosku, że to imię było dobre dla chłopca i nie pasuje już do mężczyzny.

- .. .Douglas Johnston, syn - dokończył nowo przybyły.

- Czemu, jeśli wolno zapytać, nie jesteś w szkole, dzieciaku?

- Podróżuję z mamą - odparł Mike. - Już niedługo będę miał prywatnego nauczyciela.

- Chyba że zostaniesz u nas. - Młody Doug mrugnął do Kit. - Uczę w tutejszej podstawówce. Mógłbyś zacząć od poniedziałku.

- Jesteś nauczycielem? - Kit nie kryła zaskoczenia.

- To wspaniale, Doug. Niestety, Mike i ja zatrzymamy się tu jedynie dwa, trzy dni.

- Szkoda. - Tym razem Doug puścił oko do Mike'a.

- Będziemy musieli ją przekonać, żeby została, prawda?

- Jasne!- przytaknął gorliwie chłopiec.

- Synku, mam do wykonania określoną pracę. Muszę zebrać materiał do książki. Dobrze wiesz, że nie możemy tkwić w jednym miejscu.

Stary Doug włączył się niespodziewanie.

- To najlepsze miejsce do pisania. Najlepsze pod słońcem.

- Cóż, tato, chyba powinniśmy odejść. Pani McHennessy musi się rozpakować. Mam nadzieję, że poświęci mi pani godzinę przed wyjazdem.

- Na pewno - obiecała Kit.

- Chodź, tato. - Młody Doug, czy raczej Douglas, jak sam się teraz mianował, wziął ojca pod rękę, pomachał Kit na pożegnanie i powoli poprowadził starszego pana w dół po schodach.

Kit podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz.

- Oni cię pamiętają, mamó - powiedział Mike, nie kryjąc podziwu.

- Rzeczywiście, to bardzo mili ludzie. Skończ się rozpakowywać, jeśli chcesz, żebym cię zabrała na cmentarz jeszcze dzisiaj. Tutaj zmrok zapada wcześniej.

Chłopiec posłusznie poszedł do swojego pokoju. Zamyślona Kit mechanicznie rozwiesiła swoje rzeczy i doprowadziła się do porządku po podróży. Gdy skończyła, zajrzała do pokoju syna - Mike siedział na łóżku, gotowy do drogi.

Chwilę później jechali do Shallywae.

- Mój ojciec chciał być tu pochowany, prawda? - zapytał chłopiec niespodziewanie.

- Nie wiem - odparła Kit, nie odrywając oczu od szosy, coraz bardziej niespokojna. Przyjazd tu to błąd, pomyślała, wielki błąd. -

Michael kochał Irlandię. A więc... zdecydowałam się go pochować w tym kraju.

- Myślałaś, że on by tego chciał?

- Tak.

Niebawem znaleźli się na miejscu. Kit musiała zaparkować u stóp wzgórza. Przypomnienie sobie, w którym zakątku starego, zarośniętego cmentarza Micheal McHennessy został złożony na miejsce wiecznego spoczynku, zajęło jej ładnych kilka minut.

- Tędy, Mike - powiedziała w końcu.

Chłopiec szedł za nią, zatrzymując się przy kolejnych nagrobkach.

- Mamo! Na tym mogę odczytać datę! Jeden... sześć... dziewięć... No, prawie... o rany, ale te groby są stare!

- Owszem, bardzo stare - potwierdziła i przystanęła, by złapać oddech. W Nowym Jorku chodziła bardzo dużo, ale nigdy pod górę! Rozejrzała się jeszcze raz i w oddali dostrzegła masywnego anioła z ciosanego kamienia. Wiedziała, że Michael leży niedaleko tego posągu.

Mike buszował po cmentarzu, zafascynowany starymi nagrobkami. Chciała go przywołać do siebie, ale zdecydowała, że nic złego nie może mu się stać na tym porośniętym trawą wzgórzu.

Zamknęła oczy, usiłując przywołać wspomnienie pogrzebu. Wszyscy byli ubrani na czarno. Michael leżał w prostej, drewnianej trumnie. Pamiętała, że nie mogła oderwać od niej wzroku, gdy grabarze powoli opuszczali ją w głąb ziemi. Justin O'Niall stał tuż

przy niej, w każdej chwili gotowy ją podtrzymać i pocieszyć.

Rozpaczliwie szlochała wsparta na jego ramieniu.

Michael był taki młody!

Po dłuższych poszukiwaniach odnalazła w końcu grób i padła na kolana. Trawa i chwasty rozrosły się i częściowo zasłoniły kamień.

Kit zaczęła je wyrywać jak opętana.

MICHAEL PADRAIC MCHENNESSY

POKÓJ JEGO DUSZY

- Mike!

Nie odpowiedział, więc odwróciła głowę i rozejrzała się wokół w poszukiwaniu syna.

Był po drugiej stronie wzgórza i rozmawiał z jakimś mężczyzną. Kit zmarszczyła brwi. Przecież wiedział, że nie powinien wdawać się w pogawędki z nieznajomymi! W Nowym Jorku nigdy by tego nie zrobił.

Wstała, otrzepała kolana i ruszyła w kierunku Mike'a. Potknęła się o niemal całkowicie zarośnięty kamień nagrobny, zaklęła po cichu i ostrożniej szła dalej.

Mężczyzna stał do niej plecami. Miał gołą głowę. Był wysoki, szerokie barki przykrywał długi, ciemny płaszcz. Gdy się zbliżyła, usłyszała, jak Mike mówi:

- O, tak, jestem Amerykaninem, ale jestem też w części Irlandczykiem. Wiem to od mamy. Mój tata jest tu pochowany. Dlatego tu przyjechaliśmy.

Kit usłyszała znajomy śmiech i serce jej zamarło. Nie musiał się odwracać, by zrozumiała, kim jest mężczyzna.

- O, jest mama! - wykrzyknął Mike.

Mężczyzna odwrócił się. Kit zdawało się, że porusza się niezwykle wolno, ale to nie była prawda: to jej myśli galopowały jak szalone.

Patrzyli na siebie. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wykrztusić słowa.

Przyglądał się jej beznamiętnie. Zachowywał się tak, jakby spodziewał się ją tu spotkać.

Niewiele się zmienił. Skronie lekko przyprószyła siwizna, lecz włosy miał równie gęste, jak dawniej. Nagle zdała sobie sprawę, jak dokładnie zapamiętała każdy fragment jego twarzy: śniadą cerę; usta wąskie, zaciśnięte, surowe; ciemne brwi, jedna nieco wyżej niż druga; oczy tak ciemne, że zdawały się czarne - a przecież wiedziała, że są niebieskie.

To spotkanie przypomniało Kit, w jakich okolicznościach go poznała. Tamtej nocy jak oszalała biegała po nabrzeżu, szukając męża, nawołując rozpaczliwie. Była taka młoda, przerażona i zagubiona! Pamiętała, jak się do niej odwrócił - wysoki, postawny. Wziął ją za rękę, obiecał pomoc. Nikt jej wtedy nie powiedział, że to był „ten” O’Niall. Wiedziała jedynie, że jest w stanie ją ochronić. Gdy Michael skonał w jej ramionach, to on odciągnął ją od zwłok. Cały czas znajdował się w pobliżu Kit. Czuła niewytłumaczalną niechęć do

jego mocy, ale jednocześnie bardzo potrzebowała jego silnego ramienia. I wbrew własnej woli była nim zafascynowana.

Osiem lat to szmat czasu. Wystarczająco długo, by zapomnieć. Jednak ona nigdy go nie zapomniała. Czują na sobie jego wzrok i ogarnęła ją fala gorąca. Tymczasem on nie wypowiedział jeszcze ani słowa.

- Michael McHennessy?

Ten głos przyprawił ją o kolejny dreszcz.

- Katherine - powiedział, patrząc na nią z wściekłością, której przyczyny nie umiała się domyślić.

- Justin. - Chciała, aby zabrzmiało to naturalnie, ale głos jej drżał, co sprawiło, że poczuła się jeszcze bardziej bezradna. Już nie miała osiemnastu lat, nie była samotna i nieszczęśliwa. On mógł panować w całej okolicy, ale nad nią nie powinien mieć władzy.

- Kit - wtrącił Mike. - Przyjaciele nazywają mamę „Kit”.

- Doprawdy? - odparł Justin.

Znów na nią patrzył, badawczo mierząc ją od stóp po czubek głowy. Pod wpływem tego taksującego spojrzenia mimowolnie się zarumieniła.. Ze zgrozą stwierdziła, że doskonale go pamięta... swoim ciałem. Nie wspominała wcale tych spokojnych i czułych chwil, gdy Justin ją wspierał w cierpieniu.

O nie... Jedyne, co wciąż wracało, to ich ostatnie spotkanie. Jej ciało... Stała znów przed nim, równie bezwolna jak wtedy. Widziała swoje dłonie na jego nagim torsie, palce bawiące się sprężystymi włoskami, swoje jasne ramiona oplatające jego śniade ciało. Pamiętała

jego dotyk, widziała grę mięśni, gdy ją obejmował, czuła jego twarde, płaski brzuch na swoim łonie, czuła...

Kit chciała zniknąć, zapaść się pod ziemię... Zrobiłaby cokolwiek, by tylko ukryć się przed Justinem O'Niallem.

On też przywołał obrazy z przeszłości. Widziała to w jego oczach, w jego kpiącym wyrazie twarzy.

- Ty... ty wiedziałeś, że tu będę - wyrzuciła z siebie.

- Naturalnie - odparł miękko. - Przecież jestem samym O'Niallem. - Odwrócił się i zdecydowanym krokiem ruszył przed siebie.

ROZDZIAŁ 3

Kto to? - zainteresował się Mike.

- Justin O'Niall. - Kit nie mogła oderwać wzroku od oddalającego się mężczyzny.

- Jego też znałaś?

- Tak - starała się nadać głosowi obojętne brzmienie.

- Strasznie porządny - zawyrokował Mike.

- Rzeczywiście, niezwykle porządny... - wymamrotała Kit gorzko. - Chodź, Mike, zaprowadzę cię na grób. Potem pójdziemy coś zjeść.

Bailtree nie było wiele większe od Shallywae, ale w centrum znajdowało się kilka dużych sklepów, poczta, parking miejski, a ponadto warzywniak i trzy restauracje. Kit nie zdecydowała się na pójście do pubu, niepewna, jak lokalni bywalcy - niemal wyłącznie mężczyźni - potraktują kobietę z małym chłopcem. Gospoda „U Mary Mac-Gregor” okazała się miejscem przytulnym, z racji bliskości zamku w Blarney, nastawionym na turystów. Sympatyczne wnętrze zachęcało do odpoczynku. Goście siedzieli przy okrągłych, drewnianych stołach, na dużym, murowanym kominku płonął ogień. Obsługa była miła i szybka. Na wysokich stołkach przy barze tkwiło kilku stałych bywalców, paru innych grzało się przy kominku; Popijali piwo i strugali figurki z drewna.

Kit zaproponowała jagnięcinę z ziemniakami i Mike szybko zaakceptował wybór. Zastanawiała się, czy syn dotrwa do końca obiadu: oczy same mu się zamykały, a głowa ciążyła.

Zostali poczęstowani pyszną, świeżą sałatką, którą kelnerka zręcznie podzieliła na dwie porcje. Kit, zmęczona nie mniej niż syn, wdzięcznym uśmiechem podziękowała za pomoc.

- Żaden problem. Sama mam pięcioosobową rodzinę, wiem, jak to jest.

Kiedy przyniesiono przystawki, Kit spostrzegła, że uwagę Mike'a przykuł pewien starszy mężczyzna, strugający kilkucentymetrowy kawałek drewna. Co więcej, ów człowiek wiedział, iż jest obserwowany. Nie uśmiechnął się, ale skinął Mike'owi głową, jakby tytułem przyzwolenia.

Kotleciki okazały się pyszne. Po skończonym posiłku czekała Kit miła niespodzianka: „U Mary MacGregor” po obiedzie podawano niezwykle aromatyczną kawę. Ku jej zdumieniu Mike okazał się jeszcze na tyle przytomny, by poprosić o ciastko z wiśniami.

Właśnie wtedy mężczyzna przy kominku mruknął coś do kompanów i wstał: z kuflem w jednej ręce, a kawałkiem drewna w drugiej.

- Dobry wieczór pani. - Był bardzo wysoki i chudy. Miał bladozielone oczy i włosy białe jak morska piana, mocne i gęste. Wzbudzał zaufanie: skórę wokół ust i oczu usiały mu zmarszczki.

- Dobry wieczór - odparła.

- Cześć! - przyłączył się Mike.

- Barney Canail - przedstawił się, podając kościstą dłoń.

Uśmiechnął się i Kit spodobał się ten uśmiech.

- Kit McHennessy, a to mój syn Mike - powiedziała. - Przyłączy się pan do nas, Barney?

Skwapliwie skorzystał z zaproszenia. Usiadł obok Kit i spod krzaczastych brwi dobrodusznie przyglądał się Mike'owi.

- A więc jesteś Amerykaninem?

- Tak, ale po części także Irlandczykiem. - Mike pośpieszył z wyjaśnieniami.

Barney wyciągnął żyłastą dłoń nad stołem, podając chłopcu wystrugany kawałek drewna.

- To też jest irlandzkie, synu. To flet, zwykła, ludowa fujarka. Polubisz go; na wzgórzach jest się takim samotnym.

- Och! On nie może tego przyjąć... - próbowała oponować Kit, ale Barney przerwał zdecydowanie:

- To nic wielkiego, naprawdę. Tak sobie siedzimy i strugamy drewnienka... Co innego można robić w moim wieku? Chciałbym, żeby chłopiec przyjął ten upominek, jeśli nie ma pani nic przeciwko.

- Oczywiście, że nie, po prostu...

- Ojej, mam, mogę go zatrzymać? Proszę! Barney miał jasne, pogodne oczy. Kit uśmiechnęła się.

- W takim razie podziękuj panu, Mike. Chłopiec z entuzjazmem wykonał polecenie.

- Lubisz psy, synu? - zapytał Barney.

- Uwielbiam! Mama mówi, że nie powinno się trzymać ich w mieście.

- To prawda, Mike, to prawda. Miasto to nie miejsce dla psów. One potrzebują wolności, przestrzeni... Jeśli chcesz zobaczyć naprawdę pięknego owczarka, to mój Sam czeka na dworze. Będzie wdzięczny, jeśli pewien chłopiec podrapie go za uszami.

- Mogę? Mamo, mogę wyjść?

- Dobrze, Mike.

Chłopiec nie zwlekając, poderwał się i pognął do wyjścia. Barney Canail usiadł naprzeciwko Kit i patrząc jej prosto w oczy, zapytał:

- Czy ty aby nie jesteś tą McHennessy, która przed laty straciła męża w tych stronach?

Kit zadrżała, odstawiła filiżankę z kawą i przytaknęła.

- Tak myślałem. Słyszałem, że piszesz książkę.

- Owszem, piszę.

Barney lekko kiwnął głową, oczy mu płonęły.

- Pewnie wiesz, że zdarzyło się kolejne morderstwo? Tym razem Kit zdołała wypić łyk kawy.

- Czytałam w gazetach, jeszcze w domu.

- Jestem posterunkowym w Baitree.

- Naprawdę? To musi pan znać Liama O'Grady'ego z Shallywae.

- A no znam.

- Jak on się ma? - Kit nigdy nie zapomniała serca, jakie jej okazywano w pierwszych dniach po tragedii.

- Tak dobrze jak to tylko możliwe, dziewczyno. My się tu wszyscy znamy: w Baitree i Shallywae mieszka wszystkiego nie więcej jak dwa tysiące ludzi.

Kit zaśmiała się.

- Nie przypuszczałam, że aż tyle!

Odwzajemnił uśmiech, ale nadal sprawiał wrażenie osoby, którą coś gnębi. Wychylił kufel do dna, a gdy Kit sięgnęła po papierosa, sprawnym ruchem zapalił zapalniczkę i podał jej ogień.

- Mieliliśmy tu ostatnio najazd dziennikarzy, prywatnych detektywów, przedstawicieli władz z Cork, a nawet z samego Dublinu.

- Domyślam się - odparła Kit. - To musi mieć coś wspólnego z tą nieszczęsną dziewczyną z podejrzanym gardłem, tą sprzed lat. To znaczy, no wie pan... kolejna kobieta, tym razem uduszona...

- Mnie jedynie dziwi, że w ogóle nie wspomina się twojego męża.

Kit poczuła, jak serce zamiera jej w piersi.

- On... on... Nigdy nie było podstaw do podejrzeń, że Michael został zamordowany. Spacerował zbyt blisko krawędzi, dopiero co przyjechaliśmy, nie znał jeszcze miejsca...

- Wierzysz w to?

Kit wstrzymała oddech. Kiedy udało jej się zaczerpnąć powietrza, poczuła na sobie uważne spojrzenie Barneya.

- Nie, nie wierzę - odpowiedziała po dłuższej chwili.

- Ja też nie.

Prowadzenie rozmowy na taki temat z nieznanym mężczyzną jest co najmniej nierozsądne, pomyślała Kit, nawet jeżeli nieznanymi jest posterunkowym. Była na ziemi przesiąkniętej legendami, w miejscu, gdzie ludzie umieją dochować tajemnic. Mimo to nie potrafiła się powstrzymać od zadania jednego, jedyne pytania:

- Czy pan myśli, że to Justin O'Niall go zabił?

Barney uśmiechnął się.

- Dziewczyno, mało kto w okolicy nie wie, że był on przy tobie w najtrudniejszych chwilach, więc myślę, że ty sama w to nie wierzysz. Justin jest bardzo porywczy, temu nie da się zaprzeczyć, ale żeby miał poderżnąć gardło bezbronnej kobiecie? Nie, to nie w jego stylu.

Kit ściszyła głos.

- Czytałam, że jego narzeczona została uduszona.

- Zgadza się.

- A ciało wrzucono do morza.

- Taaa...

- Nikt nie wie, kto to zrobił?

- Na to wygląda.

Kit westchnęła. Miała nadzieję, że uda jej się czegoś dowiedzieć.

Wyjęła papierosa i podała go Canailowi.

- Czy istnieje jakakolwiek możliwość, że...

- Że co?

- Nie wiem - szepnęła słabym głosem. Mike zginął w wigilię

Wszystkich Świętych, tak samo jak tamta dziewczyna. Jednak Susan

Accorn nie żyła już we wrześniu. - Nic wielkiego... tak mi przyszło do głowy... Nie zastanawiał się pan nigdy, czy te wydarzenia nie mają nic wspólnego z...

- Z kultem szatana? - domyślił się Barney.

- Tak... - bąknęła niepewnie, spuszczać wzrok, zawstydzona.

Po co opowiadać podobne rzeczy komuś takie-mu jak Barney!

Przysunął się i uśmiechnął.

- W tej okolicy nigdy nie było kultu szatana, pani McHennessy.

- Ale ja czytałam, że...

- Żadnego kultu szatana. Dawno, dawno temu, jeszcze przed nastaniem chrześcijaństwa, wyspa przeżyła najazd Tuatha De Danann, plemienia wyznającego kult bogini Danu - bogini księżyca. Potem przybyli Celtowie z bogiem morza Mannananem MacLirem i Cromem, bóstwem gromowładnym. Ludzie byli całkowicie zależni od ziemi i morza, tylko dzięki nim mogli przeżyć. Chcąc zyskać przychylność bogów, składali ofiary: za obfite połowy, bezpieczną żeglugę, zwycięstwa w wojennych potyczkach, wreszcie za żniwa. Szatan trafił do nas dopiero wraz z nastaniem chrześcijaństwa.

Kit wysłuchiwała tej przemowy z mieszanymi uczuciami.

- Ale przecież w wigilię Wszystkich Świętych był na tych ziemiach praktykowany pewien rytuał...

- Właśnie, był. Chrześcijańskie Zaduszki zbiegają się w czasie z pogańskim świętem składania ofiary bogowi płodności.

- Mimo to...

- Dziewczyno, znam tę część świata jak własną kieszeń. Co roku jestem obecny na obchodach naszego święta. Jest wielkie ognisko, morze piwa i góry specjałów domowego wyrobu. Nic więcej. -
Uśmiechnął się. - Powiem ci, co zostało z tamtych czasów: za sprawą tańców, ogólnej zabawy i ogromnych ilości domowego piwa zostaje tej nocy poczętych wiele dzieci...

Kit uśmiechnęła się, ale nadal czuła się nieswojo.

- Uspokój się, nie ma czym sobie zaprzątać głowy. Na naszym wybrzeżu nie dzieje się nic strasznego. Czasy druidów minęły dawno, dawno temu. Poza tym, skoro piszesz książkę, to powinnaś też wiedzieć, że w czasach pogańskich władcy byli sprawiedliwi.

- Wiem. - Westchnęła - Chociaż, z drugiej strony, ciągle o wiele za mało - dodała.

- W takim razie powinnaś się spotkać z panią McNamarą z księgarni Shamus w Cork.

- Pani McNamara? Na pewno ją odwiedzę - obiecała, po czym z uśmiechem poczekała, aż kelnerka doleje jej kawy. - Pan też zdaje się być doskonałym źródłem wiadomości historycznych.

W załzawionych oczkach Barneya roz błysły radosne iskierki.

- Studiowałem historię Irlandii, dopiero później zostałem stróżem prawa. Początkowo chciałem wyklądać historię na jednym z uniwersytetów, ale w naszej ziemi jest coś takiego, co nie pozwala nam jej opuścić na dłużej. Przyciąga nas bez względu na to, gdzie się znajdujemy. Tu się urodziłem, tu chcę umrzeć. Jak długo planujesz u nas zostać?

- Och, niedługo... Dzień, może dwa - wymamrotała nieśmiało.

- Ależ to niemożliwe! To byłby duży błąd! - obruszył się

Barney. - Może wcale ci się nie spodoba, co powiem, ale, moim zdaniem, zostałam przyciągnięta przez tę samą tajemniczą siłę, która nam nie pozwala opuszczać naszej ziemi. Nie będziesz szczęśliwa, dopóki nie zrozumiesz przeszłości.

Kit uśmiechnęła się słabo, nie czuła się na siłach dyskutować.

Położyła na stoliku pieniądze wraz z sowitym napiwkiem dla kelnerki i pozwoliła Barneyowi odprowadzić się do drzwi. Owionęło ich rześkie, wieczorne powietrze, Mike czochnął owczarka Sama, który leżał z czterema łapami w górze, wystawiając brzuch do drapania.

- To wspaniały pies! - wykrzyknął entuzjastycznie Mike, widząc zbliżającego się Barneya.

- Taaa, to mój stary, wierny druh.

- Mike, podziękuj panu. Pora wracać, już późno.

- Dziękuję panu! - powiedział Mike posłusznie.

- Nie ma za co, chłopcze. A tak na marginesie: jestem Barney, tak dla dorosłych, jak i dla dzieci.

Przez całą drogę do gospody Mike'owi nie zamykała się buzia. Był niesamowicie podniecony, przeżywał spotkanie z Barneyem i zabawę z Samem, krótko mówiąc - wszystko.

- Naprawdę nie możemy tu zostać na trochę dłużej, mamó? Ja tak ładnie proszę...

Kit nie miała siły sprzeczać się z synem. Głowa jej pękała, czuła się wycieńczona.

- Zobaczymy, Mike - odparła wymijająco.

Po chwili dotarło do niej, że syn zamilkł. Zerknęła w jego kierunku: spał wtulony w miękki fotel.

Kilka minut później skręcali już do zajazdu Jamiego. Kit zaparkowała, samochód najbliżej, jak się dało: nie chciała budzić syna. Ważył prawie trzydzieści kilo, sądziła więc, że nie da rady go przenieść do łóżka. Niesłusznie. Zmachała się, to prawda, ale chłopiec spał jak zabity.

Drzwi wejściowe stały otworem, ale Jamiego nie było nigdzie w pobliżu. Wtaszczyła syna po schodach, odszukała klucze i otworzyła drzwi. Zniosła chłopca do mniejszego pokoju i mało nie upadła, usiłując delikatnie położyć go do łóżka. Była pewna, że się obudził, ale Mike tylko westchnął i obrócił się na drugi bok.

Kit zdjęła mu kurtkę, buty i spodnie, otuliła kocem i zgasiała światło. Ostrożnie zamknęła drzwi, wycofując się do swojego pokoju. Odwróciła się i musiała dłonią zasłonić usta, by stłumić krzyk przerażenia.

Gdy niosła Mike'a, nie zdołała zamknąć za sobą drzwi wejściowych; teraz na progu stał jakiś mężczyzna. Nie widziała jego twarzy. Barki miał szerokie, był bardzo postawny. Wstrzymała oddech i nagle zdała sobie sprawę, że dobrze zna tego człowieka.

Zrobił krok do przodu.

- Dobra, Kit. Teraz mi powiesz, co, u diabła, tu robisz? Powinna mu powiedzieć, że to nie jego interes, że ma prawo jeździć, gdzie

dusza zapragnie, on natomiast nie ma prawa jej nachodzić. Zamiast tego złożyła ręce za plecami, nie chciała, by spostrzegł, jak drżą.

- Piszę książkę... - zaczęła słabo.

- No pewnie! - krzyknął ostro.

Odruchowo cofnęła się o krok. Ogarnęła ją złość, że tak łatwo dała się zastraszyć!

- Justinie, naprawdę nie obchodzi mnie, co ty o tym myślisz.

- Czyżby?

Serce zabiło jej mocniej, gdy zobaczyła, że zdejmuje płaszcz. Wyglądało na to, iż zamierza zabawić dłużej, zaproszony czy nie..

Położył płaszcz w nogach łóżka, zawinął rękawy swetra i włożył ręce do kieszeni. Czowała się jak na przesłuchaniu: nie spuszczał z niej badawczego spojrzenia.

- Książka o Shallywae? A może o Baitree? Rzeczywiście, to wspaniałe, zabytkowe miasta. - Nie starał się ukryć sarkazmu.

Zauważyła też, że jego akcent był wyjątkowo twardy, dobrze pamiętała, iż to objaw tłumionego gniewu.

- Skoro i tak musiałam jechać do Irlandii - odparła chłodno - postanowiłam zabrać Mike'a. Obiecałam mu pokazać... cmentarz.

- Doprawdy?

- Przecież mówię! - Ręce miała mokre od potu. Zdała sobie sprawę, że powinna go wyprosić: gdyby tylko miała tyle siły!

- Słyszałaś? - zapytał. - Popołniono kolejne morderstwo.

- Tak - szepnęła. - Czytałam.

- Wynoś się z Shallywae, Kit.

- Tu nie jest Shallywae. Jesteśmy w Baitree...

- Wynoś się, Kit!

- Grozisz mi, Justin?

Myliła się, myśląc, że się nie zmienił. Owszem, zmienił się, i to znacznie. Twarz miał ciemną, posępną. Wokół ust rysowały się głębokie bruzdy, przy których wargi zdawały się być jedynie wąską kreską. Był bardzo spięty. Gdy mu się lepiej przyjrzała, dostrzegła nerwową grę mięśni szczęki i żyły pulsujące wzdłuż szyi.

Zrobił krok w jej kierunku. Musiała zacisnąć zęby: nie pamiętała, że jest aż tak dobrze zbudowanym mężczyzną.

Wcześniej prawie nie zastanawiała się, jak może zareagować na jej przyjazd. Jednak takiego powitania się nie spodziewała. Minęło tyle lat... Wykorzystała go, to prawda, ale przecież zostawiła karteczkę. Musiał chyba rozumieć, jak się czuła po tym, do czego między nimi doszło. Nie mogła pojąć, dlaczego teraz jest taki wściekły, tak wrogo nastawiony, dlaczego jego wzrok jest taki nieprzyjazny, taki bezlitosny. Zrozumiała, że wcale go nie zna.

- Tak, Kit. Dobrze słyszałaś, grozę ci. Pakuj chłopaka i zabierajcie się stąd.

- Ja... - Tylko tyle udało jej się wykrztusić. Stała niema, czekając.

Justin beztrąsko spacerował po pokoju, w końcu wyciągnął się na łóżku. Wygodnie oparty zagadnął:

- Myślisz, że to ja ją zamordowałem?

- Nie.

- Ulżyło mi. - Zadumał się. - O ile mówisz prawdę. - Po uśmiechu nie zostało śladu. - A więc jeszcze raz: po co tu przyjechałaś?

- Już ci mówiłam...

- Kłamstwo.

W Kit zawrzał gniew.

- Nie kłamię, Justinie. Możesz zadzwonić do mojego wydawcy.

- Zadzwoń.

- Ty draniu!

- Wynoś się stąd, Kit.

- To, co robię lub czego nie robię, to nie twój zakichany interes, Justinie.

- Czy aby na pewno?

- Ależ oczywiście!

- A jednak się mylisz - wycedził przez zęby. Zaśmiała się histerycznie.

- Jakże mogłabym znaleźć się w niebezpieczeństwie, Justinie? Czyżbyś mnie już nie chronił? Czy ktoś ośmieliłby się napadać na przyjaciół króla High Hill? - Dlaczego po prostu mu nie powie, że nazajutrz wyjeżdża? Dlaczego się nie zamknie, by w ten sposób uciąć rozmowę? Wstrząsnął nią kolejny wybuch histerycznego śmiechu. - A może to właśnie twoi znajomi są w niebezpieczeństwie, zwłaszcza gdy ci się narażą?

Zaklął ze złością i zrećnie poderwał się z łóżka. Przez chwilę czuła obezwładniający strach. Odniosła wrażenie, że zaraz zasłabnie.

Miał takie silne ręce. Pamiętała ich dotyk. Drżała na całym ciele: nie wiedziała, czy to strach, czy podniecenie; pożądanie czy wstręt. Chciała pobiec do pokoju Mike'a, zatrzasnąć za sobą drzwi, uciec. Jednocześnie pragnęła pieścić zmarszczki okalające oczy i usta Justina...

Gdy ruszył w jej kierunku, próbowała się wymknąć. Stała przy drzwiach do pokoju syna, przybierając obronną pozycję.

- Nie mam już osiemnastu lat, Justinie O'Niall! Nie uda ci się mną manipulować! Każesz mi się wynosić...

- O ile się nie mylę, już kiedyś radziłem ci wyjechać i wtedy zignorowałaś tę radę - przypomniał.

- Słuchaj - powiedziała, coraz bardziej zdesperowana - byłeś przy mnie, gdy tego potrzebowałam, i jestem ci za to dozgonnie wdzięczna. Naprawdę.

- A to coś nowego!

W tej chwili Kit nie wątpiła w niewinność Justina. Wierzyła, że naprawdę nie zważa na to, co mówią inni, bo wie, iż nie ponosi on winy za żadną z popełnionych w Shallywae zbrodni. Była też pewna, że niczego nie zapomniał z ich wspólnej przeszłości. Podchodził coraz bliżej.

- Justinie, przestań! Nie masz prawa! To ty musisz się wynosić, to mój pokój i moje życie!

Zatrzymał się i roześmiał na całe gardło. Cudowny dźwięk, musiała przyznać wbrew sobie samej. Zapewne ostatnio nie miał zbyt wielu powodów do radości.

- Czy ty o czymś nie zapominasz, Kit? Pozwól, że zacytuję twoje słowa: jestem królem High Hill. Mogę robić to, na co mam ochotę, a teraz mam ochotę być tutaj i wtrącać się w twoje życie.

- Justinie...

- Nie trzeba było przyjeżdżać.

- Nie wiem, co ty...

- Albo jesteś ślepa i głucha, albo myślisz, że ja taki jestem.

- Nie, to nie...

- Przestań już, dobrze? To chore!

Zbliżał się, a ona nie miała dokąd uciekać. Marzyła o tym, by wtopić się w drewniane drzwi i przeniknąć na drugą stronę, ale wiedziała, że to niemożliwe. Zamiast tego z całej siły przywarła do nich plecami.

Stał tuż przed nią, tak blisko, że niemal jej dotykał. Rozpostarł ramiona i oparł dłonie o drzwi z obu stron głowy Kit. Patrzył jej prosto w oczy.

- Musimy o czymś porozmawiać, pani McHennessy.

- Porozmawiać? - Czowała, że wpada w histerię - Justinie, jesteś oskarżony o morderstwo, a zachowujesz się, jakby cię to wcale nie dotyczyło!

- Kit. - Nie musiał mówić nic więcej.

Wystarczył mały ruch, by poczuła bijące od niego ciepło. Jego twarz, pobrużdżona, dumna i pełna magnetycznej mocy, przywodziła na myśl morskie wybrzeże. Był panem siebie i sam dla siebie stanowił

prawo. Justin O'Niall. I pomyśleć, że gdy go spotkała po raz pierwszy...

Okazał się najdelikatniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznała, czułym na jej młodość i wrażliwym na jej ból. Już wcześniej widywała go zagniewanego, to prawda, ale zawsze reagował tak na niesprawiedliwość. Był zdecydowany i nieugięty - lecz tylko wtedy, gdy chciał ją odesłać do domu. Nigdy jej nie dotknął. Nigdy nie podszedł do niej tak blisko.

To ona owej pamiętnej nocy przekroczyła granicę, która ich dzieliła.

Opuszkami palców pogładził ją po policzku.

- Po co tu przyjechałaś, Kit?

- Przecież już ci mówiłam...

- Po co?

Czuła się jak szmaciana lalka, nogi były zbyt słabe, by utrzymać ciężar ciała.

- To przez... - wykrztusiła słabym głosem.

- Przez to, co się wydarzyło w chacie? - zapytał miękko.

Ciałem Kit wstrząsnął silny dreszcz: to był ten sam głos, którym ją zniewolił na zawsze.

- Tak.

Nie zdawała sobie sprawy, że go dotyka. Nagle dotarło do niej, że w palcach ściska delikatną wełnę jego swetra. Czuła ciepło bijące od jego torsu, słyszała bicie serca. Przez skórę odbierała grę jego napiętych mięśni, całą jego zmysłową witalność.

- Justinie, tamtej nocy ja... ja byłam... ja nie byłam sobą, byłam upojona...

- Namiętnością? - wtrącił cynicznie. - Cóż za urocza wymówka.

- Ty draniu! - syknęła. - Byłam młoda i niewinna, a ty mnie uwiodłeś...

- Licz się ze słowami! - uciął ostro. Po chwili jednak głos mu zmiękł, nabierając poprzedniego ciepła. - Nie dotknąłem cię, Kit. Usiłowałem ci pomóc. Oboje byliśmy młodzi. Zbyt młodzi. A ja nie jestem z kamienia; to ty mnie uwiodłaś.

Czuła, jak się okrywa rumieńcem.

- Justinie, tamtej nocy działo się ze mną coś dziwnego. Uwierz mi. Zostałam otumaniona, ktoś nasypał mi do herbaty jakiegoś świństwa. - Święcie wierzyła w to, co mówi. Miała przed oczami tamto miejsce, widziała każdy szczegół: była absolutnie pewna, że wtedy stało się coś niezwykłego.

- Rzeczywiście, tamtej nocy działo się coś dziwnego. Może masz rację, ale...

- Nie ma żadnego „ale”! - przerwała gwałtownie. -Do diabła, dlaczego w ogóle z tobą rozmawiam?

- Jeszcze nieraz będziesz ze mną rozmawiała, Kit, ale nie teraz. Teraz, kochanie, grzecznie stąd wyjedziesz.

- Nikt mnie do tego nie zmusi, nawet ty!

Przez krótką chwilę w jego oczach malowało się zdziwienie; szybko jednak zastąpił je lodowaty błysk,

- Pani McHennessy, już nie jestem pod wrażeniem pani młodości i niewinności, nie zamierzam pani więcej chronić, jak to działało się przed laty. Przeciwnie: teraz wiem, że nie mam żadnych zobowiązań wobec tak kłamliwej istoty jak pani.

- Nie wiem, o czym mówisz...

- Ależ wiesz. Dobrze wiesz. Tymczasem pakuj manatki i wynoś się. Do domu. Biegiem!

- Nie muszę cię słuchać.

- Ale powinnaś. - Zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

- Nie możesz mi grozić, Justinie.

- Nie grożę ci, Katherine. Proszę cię; błagam na kolanach!

Miał głęboki, zmysłowy głos, który mimo całej swej delikatności nie prosił, lecz nakazywał. Było w nim coś, co kazało jej spojrzeniem odszukać jego wzrok. Patrzyli sobie prosto w oczy. Zdawało się, że czas przestał płynąć. Tak dobrze go znała.

Dotknął jej, a ona nie stawiała oporu. Lewą rękę położył na karku Kit, palce zginęły w jej gęstych włosach. Prawą dłonią ujął podbródek i leciutko uniósł go do góry.

Potem zbliżył usta do jej spragnionych warg.

O jakże wielką moc miały jego pocałunki! Gdy jego usta mocno przywarły do jej warg, czuła nieopisaną słodycz. Miał dar przekonywania! Był silny, pod palcami czuła grę jego mięśni. Język Justina głęboko i słodko penetrował jej usta, napelniając tęsknotą całe jej jestestwo. Całowała się z wieloma mężczyznami - żaden nie całował tak jak Justin. Nikt nie dotykał jej tak jak Justin.

W końcu uwolniła się z jego objęć. Chciała coś powiedzieć, przekląć go za to, do czego ją doprowadził; za to, co czuła - ale nie umiała.

Uśmiechał się i przez chwilę rzęsy rzucały cień na policzki. Gdy znów na nią spojrział, ogarnęło ją uczucie słabości, którego nie potrafiła zwalczyć. Wtedy zdecydowanym ruchem porwał ją w ramiona, zaniósł na łóżko i nie zwlekając, położył się obok.

- Justinie!

W jego ciemnych oczach nie dostrzegła nic oprócz czułości. Wilgotnymi wargami musnął delikatnie jej czoło.

- Wyrosłaś na piękną kobietę, Kit.

- Justinie...

Westchnął, poruszył się i nagle zamarł. Wiedziała dlaczego. Czuła jego ciężar na swoich piersiach, tak słodki, iż pragnęła krzyczeć, błagać, by się nie ruszał. To absurd, pomyślała. Przecież tyle ich dzieli!

Wstał i narzucił na ramiona płaszcz.

- Posłuchaj mnie, Kit, proszę. Wracaj do domu. Na litość boską, Kit, wracaj do domu.

- Nie mogę. Muszę się dowiedzieć, co się stało tamtej nocy.

Dlaczego zostałam czymś otumaniona....

- Ja wiem dlaczego - powiedział cicho, z rezygnacją w głosie.

- Wiesz?

- To było w twojej herbacie.

- Jesteś pewny? Oddałeś ją do analizy?

- Dziwna sprawa, Kit. Kubek też znikł - odparł spokojnie. -
Teraz gdy już wiesz, możesz wracać do domu.

- Ja... nie mogę.

Stał tyłem do niej. Zawahał się, wreszcie powoli się odwrócił.

- Chata na urwisku jest pusta, Kit. Jeżeli zostaniesz, będę w pobliżu. Cały czas. Wierz mi.

- Ależ to absurd! Mój Boże, nie sądziłam, że w ogóle będziesz mnie pamiętał!

Patrzył na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

- Ależ tak, bardzo dobrze cię pamiętam. - Ich spojrzenia się spotkały. - W porządku, skoro zdecydowałaś się wrócić...-Wzruszył ramionami.

- O czym ty mówisz?

- Dobranoc, pani McHennessy. - Wychodząc, gwałtownie zatrzaskał za sobą drzwi.

Kit cała drżała, z poczuciem beznadziejności wpatrzona we własne, trzęsące się ręce. Dopiero po dłuższej chwili zdołała wstać i zapalić papierosa, ale natychmiast zaniosła się kaszlem i musiała go zgasić.

Co ja właściwie robię? - pytała wciąż samą siebie. Do diabła z przeszłością. Wiedziała, że powinna wyjechać. Sam Justin jej kazał. Nie chce jej tutaj. Od czasu gdy go widziała po raz ostatni, minęło osiem lat. Ale właśnie to ich ostatnie spotkanie...

Jak to się stało, że wylądowali w łóżku? Była na prochach, to prawda, ale tak czy owak wszystko nie miało najmniejszego sensu.

Przyznał jej rację! Zostali czymś otumanieni. To coś znalazło się w herbacie.

Kit zamknęła oczy. Nie chciała rozmyślać. Zmęczona, marzyła o tym, by się położyć i porządnie wyspać. Czuła, że oszaleje, jeżeli nie przestanie myśleć.

Położyła się, lecz sen nie przychodził. Była wycieńczona, a nie mogła zasnąć. Godzinami przewracała się z boku na bok. W końcu zasnęła - i zaczęła śnić.

Widziała klif, słyszała wycie wiatru. We śnie wracały do niej śmierć, duchy, złowieszczy chichot banshees.

Była też i chata tonąca w mroku, oświetlona jedynie blaskiem księżyca. Słyszała złowrogi dźwięk kobz, wiatr zrywał się i cichł, zrywał i cichł...

Widziała blask ognia. Michael śmieje się i przytula ją. Snuje opowieści o pogańskich rytuałach, o druidach o-dzianych w czarne płaszcze, o kryjącym się za rogatą maską bóstwie płodności...

Potem Michael zniknął, a przed nią stał kozłogłowy bożek w kapturze. Chciała krzyczeć, walczyć, ale nie mogła podnieść się z łóżka. Kozłogłowy dotykał jej i z przerażeniem i wstydem musiała przyznać, że go pragnie.

Potem zamaskowana postać przestała być bogiem i Kit ujrzała nad sobą ginące w ciemności prężne ciało Justina O'Nialla. Blask księżyca oświetlał jego twarz: zdecydowaną i demoniczną, pełną napięcia i... pożądania.

Pragnęła go. Pragnęła, by dotykał jej nagie ciało. Jednak gdy ponownie podniosła wzrok, zobaczyła maskę. Czuła jego ręce zmysłowo błądzące po jej biodrach, pieszczące każdy centymetr...

Widziała tylko oczy: rozpalone światłem księżyca. Otworzyła usta, chciała krzyczeć. Nie mogła złapać tchu, dusiła się...

Kit poderwała się raptownie, zлана potem, drżąca. Zegar obok łóżka tykał równomiernie. Księżyc srebrnym blaskiem oświetlał wnętrze jej skromnego pokoju. Za ścianą spał Mike. Kit poprawiła poduszki i usiadła. Zerknęła na zegar: trzecia rano.

Osiem lat to wcale nie tak długo. To naprawdę niedługo.

ROZDZIAŁ 4

Dzwonił telefon. Nie otwierając oczu, po omacku sięgnęła po słuchawkę. Przez zamknięte powieki czuła kładące się na pościeli promienie słońca. Zmęczenie przypominało jej o wydarzeniach minionej nocy.

- Słucham? - wybełkotała zaspanym głosem.

- Tu Douglas, pani McHennessy. Douglas Johnston.

- Ach, to ty! Dzień dobry.

- Przykro mi, że cię obudziłem. Jest poniedziałek rano i pomyślałem o chłopcu. Na pewno potrzebujesz trochę czasu, żeby popracować w spokoju, więc przyszło mi do głowy, że może pomogę, zabierając małego do szkoły.

- Och - bąknęła Kit. - Ach tak, dziękuję, Doug. To miło, że o nas pomyślałeś... - Urwała. Nie była pewna, czy chce spuszczać syna z oczu. Tymczasem Mike właśnie pakował się do jej łóżka.

- Kto to, mamó?

- Pan Johnston.

- Czego chce?

- Kit?

- Przepraszam, Doug, chwileczkę. - Kit zasłoniła dłonią mikrofon. - Mike, czy chciałbyś dziś pójść do szkoły z panem Johnstonem?

- O rany! - Chłopiec jednym susem zeskoczył z łóżka. - Za chwilę będę gotowy! - krzyknął w pół drogi do swojego pokoju.

Kit, wciąż niezupełnie przekonana do pomysłu, wróciła do chwilowo przerwanej rozmowy.

- Doug? Mike bardzo chętnie wybierze się do szkoły. Jeszcze raz dziękuję, że o nas pomyślałeś. Gdzie jest ta szkoła? Mam go przywieźć?

- Nie, nie ma takiej potrzeby. Wpadnę po niego za jakieś dwadzieścia minut, to po drodze. Naprawdę żaden problem. Odwiozę go około trzeciej.

Kit podziękowała i pożegnała się. W gruncie rzeczy była bardzo zadowolona z takiego obrotu sprawy. Mogła wybrać się do Cork, do księgarni. Po południu pojechaliby razem nad morze, skoro Mike'owi tak bardzo na tym zależało. Koło piątej powinni być z powrotem. Wtedy zdecyduje - zostać czy wyjechać?

- Jestem gotowy, mamo!

Wzrok Kit powędrował ku drzwiom łączącym pokoje. Zmrużyła oczy w pełnym ciepła uśmiechu: Mike rzeczywiście był gotowy, choć żaden kreator mody nie wy-lansował dotąd takiego trendu: koszula z jednej strony wystawała spod paska, a każda skarpetka należała do innej pary.

- Synku, masz jeszcze kilka minut. Proszę, włóż porządnie koszulę w spodnie. I poszukaj dwóch skarpet w tym samym kolorze...

Kit wygrzebała się z łóżka, po cichu przeklinając Justina O'Nialla. Jego wieczorna wizyta wiele ją kosztowała... Umyła twarz i zęby, włożyła beżowe, sportowe spodnie, wełniany sweter i niebieski

blezer. Zrobiła delikatny makijaż i zerknęła na zegarek: od telefonu Douga minęło zaledwie osiem minut.

- Mike, chodźmy na dół, może Jamie da ci coś do jedzenia.

Jamie nakrył już do stołu. Powiedział, że Douglas Johnston zadzwonił, by się upewnić, że chłopiec zje solidne śniadanie.

- To bardzo troskliwy chłopak, ten nasz Douglas!

Mike, który zazwyczaj rano zjadał jedynie miskę płatków, posłusznie spałaszował dwa tosty, jajko, bekon i owsiankę. Gdy Douglas stanął w progu, Kit nie potrafiła oprzeć się myśli, że wyrósł na całkiem przystojnego, młodego człowieka.

Odstawiła kubek herbaty i wstała, by mu podziękować.

Odprowadziła Mike'a do samochodu, zauważając z ulgą, że Doug od razu przypomniał chłopcu o zapięciu pasów. Kit stała po stronie kierowcy.

- To naprawdę miło z twojej strony, Douglas.

- Nie ma sprawy - odparł z roziskrzonymi oczami. - Ale, przyznaję, byłoby mi niezwykle miło, gdyby mama tego oto tu gagatka rozważyła możliwość zjedzenia ze mną kolacji któregoś pięknego dnia.

- Z przyjemnością. - Kit uśmiechnęła się, przez chwilę zapominając, że za dzień lub dwa powinna być daleko stąd. - Och, właśnie, skoro mówimy o matkach... Wczoraj zupełnie zapomniałam zapytać o twoją, głupio wyszło... Molly była dla mnie taka dobra...

- Mama ma się całkiem dobrze, pani McHennessy. Już wie, że jesteście w mieście i bardzo chciałaby się z tobą zobaczyć. Nadal

pracuje u Justina, jeśli zamierzasz tam wpaść w ciągu dnia. Ciebie też chciałaby poznać, dzieciaku.

Kit z uśmiechem przyklejonym do twarzy czekała, aż samochód zniknie za zakrętem.

- Pa, mamó! - doszło ją jeszcze radosne wołanie Mike'a.

Po powrocie do pokoju starała się skoncentrować na pracy. Wzięła notes i dyktafon i wyruszyła do Cork.

Odnalezienie księgarni „Shamus” zajęło jej znacznie więcej czasu, niż przypuszczała. Była wściekła na siebie: przecież mogła poprosić o dokładniejsze wskazówki. Kiedy wreszcie dotarła na miejsce i poznała panią McNamare - ładną, młodą kobietę emanującą entuzjazmem - jej wysiłek okazał się w pełni nagrodzony.

- Myślę, że mamy wszystko, czego pani może potrzebować, pani McHennessy - zakomunikowała szczęśliwa, że może przyczynić się do powstania książki. Zaprowadziła Kit na zaplecze, gdzie półki aż ugięły się pod ciężarem książek. - Oto nasz księgozbiór z dziedziny historii. Na przykład ta książka traktuje o plemieniu Firbolg, które wedle legendy przybyło tu aż z Grecji. Potem byli Tuatha De Danann; Milesianie - rodzina Celtów, która się tu osiedliła. Tu stoją książki opisujące pierwsze lata po Chrystusie. A tam pani znajdzie przynajmniej dziesięć książek poświęconych prawom Brehona. Tu znajdują się publikacje na temat inwazji Wikingów, Normanów, czasów Tudorów, okrucieństwa Cromwella, Jakuba Drugiego Irlandzkiego i bitwy nad rzeką Boyne. Tam na dole stoją tytuły

traktujące o wojnie z Anglią, latach głodu i tworzeniu Wolnego Państwa.

- Rzeczywiście macie wszystko! - zaśmiała się Kit.

- Prawie. Och, przepraszam, mam drugiego klienta. Proszę się nie spieszyć. Gdyby mnie pani potrzebowała...

Pani McNamara pobiegła do kasy, zostawiając Kit wpatrzoną w liczne książki piętrzące się na półkach. Nawet gdyby zdecydowała się na jedną z każdej dziedziny i tak byłoby już za dużo!

Zmusiła się do przejrzania w pierwszej kolejności książek, dotyczących historii ostatnich trzystu, czterystu lat. Ze studiów pamiętała, że Cromwell spadł na Irlandię jak śmiertcionośny huragan. Skrzywiła się z niesmakiem, gdy trafiła na fragment opisujący wymyślne tortury, którym poddawał swoje ofiary.

- Niezbyt sympatyczny gość - mruknęła sama do siebie.

Zacząła odkładać na podłogę co ciekawsze książki. Wybrała piękną publikację na temat Sinn Fein oraz historii wpływów Tudorów i Stuartów na wyspie.

Jak daleko chce się cofać w czasie?

Nie miało żadnego znaczenia, co chce, a czego nie. Zorientowała się, że podświadomie wybiera książki o Fir Bolgach, Tuatha De Danann i Milesianach. Zebrawszy około dwudziestu pozycji, ruszyła do kasy.

- Zdaje się, że już panią lubię! - zaśmiała się pani McNamara.

- To dobrze - odpowiedziała Kit z uśmiechem — bo jeśli nie będę mogła się w tym wszystkim połapać, to będę do pani dzwonić.

Pani McNamara zaproponowała, by jej mówić po imieniu, deklarując jednocześnie pełną gotowość pomocy.

- Gdzie się pani zatrzymała?

- Na razie w Baitree.

- Och. - W głosie Julie McNamary zabrzmiała nuta dezaprobaty. Zerknęła na Kit znad lady. - Nie jest pani aby kolejnym reporterem?

- Nie, nie, naprawdę nie. - Kit zdecydowanie pokręciła głową.

Julie wzruszyła ramionami.

- Nasze małe miasteczka mają swoje tajemnice. Powinna pani być ostrożniejsza. Dopiero co mieliśmy morderstwo.

- Tak, słyszałam. - Julie wbijała na kasie ceny książek i przez chwilę obie milczały. - Myślisz, że może mi się coś przytrafić?

Julie wzruszyła ramionami, wpatrzona w kasę.

- Cóż, mordercy jeszcze nie złapano.

Kit udawała, że jest zajęta studiowaniem jakiejś u-lotki.

- Myślisz, że nie mógł tego zrobić jej... jej narzeczony?

- Justin O'Niall? Niemożliwe - ucięła ostro.

Kit poczuła, że się uśmiecha i zrobiło się jej głupio. Dlaczego tak bardzo się ucieszyła, słysząc, że ta młoda kobieta uważa go za niewinnego?

- Skąd ta pewność? - zapytała w końcu.

- Nie było żadnych obciążających go dowodów, a gospodyni O'Nialla przysięgła, że cały wieczór spędził za biurkiem.

- Podobno porównują to morderstwo do innego, sprzed kilku lat...

- A, tak, Mary Browne. Nigdy nie znaleziono mordercy.

Niektórzy obwiniali Justina także o tamtą zbrodnię. Tylko dlatego, że ta dziewczyna opowiadała wszystkim, iż urodzi jego dziecko. Nikt z nas nie wierzył w to ani przez chwilę.

- Dlaczego nie?

- Bo to nie mogła być prawda - stwierdziła Julie po krótkim namyśle. - Musiałabyś nas lepiej poznać, żeby to zrozumieć. To nie w stylu Justina. Jest porywczy, a kobiety ciągną do niego jak pszczoły do miodu, ale przecież jest O'Niallem - podkreśliła. - W tej okolicy prawie wszystko należy do niego, tak jak przedtem należało do jego ojca. Ludzie go szanują. To coś, co się wysysa z mlekiem matki. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale, ale ludzie czczą O'Nialla, a O'Niall się nimi opiekuje. Justin nigdy nikogo nie opuścił w potrzebie. Kiedy ziemia nie obrodzi, on karmi głodujących. - Uniosła ręce, gestykulując. - Jeśli jakiś dzieciak zasługuje na to, by pójść do college'u, a rodzice nie mają pieniędzy, to O'Niall opłaca mu naukę.

- Zdaje się, że ma w tobie wiernego obrońcę. Założę się, że doskonale go znasz.

- O, tak! Całe lata się w nim kochałam. Był dla mnie wszystkim: wysoki, o ciemnej karnacji, przystojny, tajemniczy i wszechmocny. I diabelnie seksowny.

- I ty nigdy...?

Julie zaśmiała się.

- Nie, to on nigdy. Dlatego jestem pewna, że nie tknął Mary Browne. Justin miewał przygody, ale nigdy z dziewczynami z okolicy.

To wytrawny gracz, gra tylko z równymi sobie, takimi jak Susan Accorn. Rozumiesz?

- Tak mi się wydaje.

- W każdym razie, jeżeli nadal interesują cię morderstwa, to wybierz się do biblioteki. Mają bogate zbiory książek, czasopism i mikrofilmów.

- Dzięki, może rzeczywiście tam wpadnę.

Kit wzięła pudło z książkami, które naszykowała Julie, skinęła jej głową i wyszła. Nie musiała się zastanawiać: wiedziała, że pojedzie do biblioteki.

W przeciwieństwie do księgarni w bibliotece nie spotkała się ze szczególnie serdecznym przyjęciem. Młody człowiek, który ją obsługiwał, zdawał się nie darzyć sympatią Amerykanów szperających w irlandzkich gazetach. Pomimo szorstkiego zachowania pokierował jednak Kit we właściwe miejsce.

Bez trudu znalazła artykuły, dotyczące morderstwa Susan Accorn. To dramatyczne wydarzenie miało przecież miejsce tak niedawno! W miejscowych gazetach wyczytała wiele szczegółów, przemilczanych przez „Timesa”. Dowiedziała się między innymi, że ciało Susan, gdy je odnaleziono, było nagie; koroner nie stwierdził jednak śladów gwałtu ani molestowania seksualnego. Mówiło się o bezsilnej złości rodziny przekonanej o nieudolności wyspiarskich służb. Irlandzkie władze czuły się, delikatnie mówiąc, urażone, gdy Accornowie nazwali posterunkowych Liama O'Grady'ego z Shallywae

i Barneya Canaila z Baitree skończonymi durniami, oskarżając ich jednocześnie o postępowanie wbrew prawu.

Wyglądało na to, że dziennikarze naprawdę chcieli doprowadzić do powieszenia Justina; nic jednak nie mogło zachwiać jej wiary w jego niewinność. Kit, podobnie jak Julie, była przekonana, że mordercą jest ktoś inny.

Kit nie przerwała poszukiwań, dopóki nie dotarła do gazet sprzed ośmiu lat.

Śmierć Michaela nie pozostała nie zauważona: „Amerykanin ginie na urwisku” - brzmiał jeden z tytułów. Artykuł przytaczał smutną historię rozkochanego w Irlandii Michaela i dramatyczny koniec tej fascynacji. Kit określono jako „pogrążoną w rozpacz młodzieńką wdowę”.

Nie mogła tego czytać; jej serce rozdzierał przeszywający ból.

Poszukała artykułów o śmierci Mary Browne. Ze zrozumiałych przyczyn przed laty nie interesowała się tą sprawą.

Gdy doszła do opisu wyników autopsji, wstrzymała oddech. Okazało się, że gdy znaleziono Mary, była naga i mimo iż miała podejrzięte gardło, nie stwierdzono śladów gwałtu czy molestowania seksualnego. Nigdy nie udało się odkryć motywu zbrodni. Sprawa pozostawała otwarta, ale wydawało się oczywiste, że policja przyjęła, iż sprawcą był jakiś błakający się po okolicy szaleniec. Zdawali się żywić przekonanie, że w końcu trafił za kratki w któryś z zakładów karnych, gdzie odsiaduje wyrok za inne zbrodnie.

Kit zerknęła na zegarek. Mój Boże, ależ ten czas leci!

Jeśli się nie pośpieszy, nie zdąży do domu przed przyjazdem Mike'a.

Niepomna jego antypatycznego zachowania, Kit poszła podziękować pracownikowi biblioteki. Kiedy rozmawiali, zauważyła zamieszanie w przeciwległym kącie biblioteki.

- Co się tam dzieje? - zapytała.

- Mamy trochę rzeczy wypożyczonych z muzeum w Dublinie - odparł obojętnie, nie odrywając wzroku od porządkowanych książek. - Jeśli lubi pani historię, może to panią zainteresować. Jedna z członkiń lokalnego kółka miłośników historii właśnie oprowadza zainteresowanych.

Kit wiedziała, że jest już spóźniona, lecz nie umiała się powstrzymać. Przysięgła sobie, że tylko rzuci okiem na kolekcję i ruszy z powrotem do Baitree.

Grupka zwiedzających skupiła się wokół młodej przewodniczki, która opisywała każdy wystawiany przedmiot. W jednej z gablot stał manekin. Miał na sobie autentyczne, nadgryzione zębem czasu szaty. W rękach dzierżył topór, co przestało Kit dziwić, gdy odkryła, że postać wyobraża wielkiego Briana Borna .

Kit zupełnie zapomniała o pośpiechu; zasłuchana podążała za przewodniczką. Z zainteresowaniem oglądała bogatą kolekcję figur w strojach z różnych epok. Panny z dziewiętnastego stulecia; księżniczka Tara, udekorowana złotymi ozdobami i futrami. Wystawiano także najróżniejsze dodatki, takie jak koronkowe szale, kłamry do włosów czy torebki. Kit wyciągnęła notes i zaczęła

zapisywać niektóre informacje. Gdy grupa przeszła kawałek dalej, postanowiła sama się rozejrzeć.

Brian Bórum, zwany Bom, w ciągu swego panowania zainicjował odnowę arcykrólestwa irlandzkiego. Przede wszystkim jego osobę kojarzy się z bitwą pod Clontarf w r. 1014, gdzie ostatecznie pokonano wikingów (przyp.tłum.).

Nagle poczuła nieznośny chłód, który przeszył ją na wskroś. Głos przewodniczki niķ w oddali; wzrok Kit zatrzymał się na ostatniej gablocie, ustawionej w kącie na końcu korytarza.

Rozpoznała go od razu, przecież tyle razy jawił się przed jej oczami. Postać była owinięta spłowiałym, popielatym płaszczem, który jednakże przed laty musiał być czarny jak smoła. Twarz zakrywała maska z kozimi rogami. Miała ten sam, wyblakły kolor co płaszcz, ale ślady złota i czerwieni wskazywały, że w przeszłości była niezwykle barwnie zdobiona. Głębokie, czarne dziury zamiast oczu przywodziły na myśl przerażającą, złowieszczą otchłań.

Kiedyś widziała zdjęcie kozłogłowego boga w jednej z ksiązek Michaela. Potem tysiące razy wracał do niej w snach.

Tu wyglądał tak realistycznie! Czula, że strach chwyta ją za gardło. Lodowaty dreszcz wstrząsnął jej ciałem.

- ,... .począwszy od drugiego wieku przed Chrystusem przez kilka następnych stuleci nasi przodkowie czcili rogatego kozłogłowego. Jego przychylność zapewniała pomyślne żniwa, dzięki

którym mogli przeżyć długą, ciężką zimę. Zapewniała płodność. Często składano w ofierze jeńców wojennych, należy jednakże zaznaczyć, że w odczuciu tubylców było zaszczytem zostać wybranym na ofiarę. Poświęcana kobieta miała urodzić syna, który stawał się bogiem dla następnego pokolenia. Jej krwią pojono matkę ziemię; niewiele kobiet mogło liczyć na taki przywilej. Nie był to zresztą jedyny rytuał praktykowany na naszym wybrzeżu..."

Przewodniczka nadal coś mówiła, ale do Kit nie docierało ani słowo. Bezwiednie upuściła ołówek, którym robiła notatki. Szybkim krokiem wyszła z biblioteki.

Zdołała się uspokoić dopiero wtedy, gdy doszła do samochodu. To śmieszne, przestraszyć się przebranego manekina! Zgadza się, nocne koszmary nieraz ją dręczyły, ale to wina wybujałej wyobraźni. Zresztą już wcześniej widziała podobizny boga, które potem powracały do niej we śnie. Zdaniem jej psychoanalityka to wszystko miało sens. Była bardzo młoda, gdy Michael zginął, a tuż przed śmiercią opowiadał jej o pogańskich rytuałach i składaniu ofiar. Ta rozmowa wywarła trwałe, bolesne piętno w podświadomości.

Ponadto, choć trudno było się do tego przyznać, już od pierwszego spotkania na urwisku odczuwała niesłychanie silny pociąg fizyczny do Justina O'Nialla. Na studiach uczyła się o ludzkich zachowaniach. Jej poczucie moralności nie potrafiło jednak zaakceptować fascynacji cielesnością, więc podświadomie - szukając usprawiedliwienia - oskarżyła ciemne siły o kierowanie jej działaniem.

Niemal u drzwi domu nagle dotarła do niej inna myśl. Może była młoda i zagubiona, zraniona i samotna, ale w głębi serca bardzo, bardzo kochała Michaela. Bez względu na pociąg fizyczny nigdy nie wskoczyłaby Justinowi do łóżka ani wtedy, ani nawet rok później. Została otumaniona, działała pod wpływem jakiś prochów. Nie wiedziała dlaczego, nie przychodził jej do głowy żaden rozsądny pomysł. A jednak to się stało naprawdę. Nawet Justin potwierdził jej przypuszczenia.

Spóźniła się, i to bardzo. Zobaczyła samochód Douga zaparkowany przed domem. Postawiła auto nieco z tyłu i pośpieszyła do gospody. Przy drzwiach wejściowych dobiegł ją śmiech Mike'a.

W środku oprócz chłopca i Douglasa siedzieli Jamie, i Barney Canail. Mike zanosił się śmiechem, bo Doug tarzał się po podłodze, usiłując wyrwać Samowi piłkę.

Barney Canail pierwszy ją zauważył.

- Dzień dobry, pani McHennessy! - zawołał. Pomachała ręką na powitanie i ruszyła ku rozbawionej kompanii, przepraszając:

- Tak mi przykro, czas minął...

- Kit McHennessy! - Douglas rozciągnął usta w czarującym, chłopięcym uśmiechu. - Nie spóźniłaś się więcej niż pięć minut, poza tym opieka nad Mike'em to prawdziwa przyjemność.

- To fakt, szczególnie Sam sobie chwali nowego znajomego! - zgodził się Barney, schylając się, by wytargać ulubieńca za uszy. - A jak tobie minął dzień? Czy masz już odpowiedzi na wszystkie frapujące cię pytania?

Czy to pytanie mogło mieć podtekst? - zastanawiała się Kit, patrząc z bladozielone oczy posterunkowego. Zabrzmiało zupełnie tak, jakby oczekiwał jakiejś konkretnej odpowiedzi, w żaden sposób nie związanej z historią wyspy.

- To była bardzo owocna podróż. Dowiedziałam się rzeczywiście bardzo wiele. Dziękuję za radę. - Może Barney wiedział, że Julie McNamara poleci jej wizytę w bibliotece. Mógł też wiedzieć, że na wystawie jest manekin wyobrażający zamaskowanego, rogatego boga. Popuściła wodze fantazji. Nie potrafiła zapanować nad koszmarami sennymi, lecz za dnia powinna umieć zapanować nad wyobraźnią, nie mogła pozwalać sobie na histerię. - Mike - zwróciła się do syna - jak było w szkole? Czego się nauczyłeś?

- Dużo matematyki. Świetnie mi szło! Naprawdę, zapytaj pana Johnstona.

Kit pogłaskała chłopca po głowie i uśmiechnęła do się do Douga.

- Mike jest doskonałym uczniem. Dzieci były zachwycone, gdy opowiadał o Nowym Jorku.

- No cóż, teraz, gdy już wróciłaś - odezwał się Barney Canail, podnosząc się miejsca - Jamie i ja wybralibyśmy się na małe piwko.

- Mama zabiera mnie na wybrzeże - obwieścił Mike dumnie.

- To piękny dzień na spacer - przyznał Douglas.

- Czeka nas wiele wspólnej zabawy, dzieciaku. Czy jutro też mam po niego przyjechać? - zapytał, zwracając się do Kit.

- Ja... to znaczy tak, jak najbardziej, ale...

- To naprawdę żaden problem. Nie ma sprawy.

Kit uczyła, że traci kontrolę na sytuacją. Wahała się przez chwilę, nie umiejąc zwalczyć zakłopotania, lecz szybko odzyskała równowagę.

- W porządku, Doug, dziękuję ci. Byłoby wspaniale

- powiedziała w końcu.

- No to do zobaczenia rano! - Skinął głową Kit, pomachał Barneyowi i Jamiemu i wyszedł, wesoło pogwizdując.

Mike zaczął ponaglać matkę.

- No i co, pojedziemy nad morze? Obiecałaś!

- Dobrze, Mike, możemy iść. - Zerknęła na Barneya i Jamiego.

Czy to możliwe, że w ich spojrzeniu dostrzegła coś osobliwego? - Do zobaczenia - wymamrotała.

- Tak, pewnie znów się spotkamy. Bawcie się dobrze

- pożegnał ich Barney.

Z wymuszonym uśmiechem na twarzy ruszyła do samochodu.

Douglas Johnston zdążył już odjechać, jego mały datsun znikł przed domu.

Mike sprawnie wskoczył do auta, ani na chwilę nie przestając mówić o szkole. Kit odpowiadała monosylabami, którymi chłopiec całkowicie się zadowalał.

Droga była krótka - zbyt krótka. Żadna racjonalna siła nie mogła uspokoić Kit.

Nic się nie zmieniło. Absolutnie nic.

Na końcu wijącej się, pełnej kolein drogi stała chata, świeżo pobielona, kryta strzechą. Wszędzie naokoło królowały wspaniałe polne kwiaty. Ciągająca się z tyłu gęstwina traw i paproci falowała na wietrze niczym ocean zieleni, fioletu i błękitu. Po obydwu stronach żyznej doliny opadał ku morzu las: ciemny, intrygujący, zdający się przywoływać amatorów przygody.

Tam, gdzie kończyła się zieleń, zaczynało się urwisko. Klif w tej okolicy był wysoki i stromy, skaliste wybrzeże schodziło wprost w objęcia szalejącego u jego stóp morza. Nad nimi rozciągało się ołowiane, ozdobione nielicznymi, kapryśnymi chmurkami niebo. Kit wiedziała, że wystarczy spojrzeć w dół, by móc podziwiać odwieczne zapasy wody i skał. Wiedziała, że ostatnie promienie słońca załamują się na rozbryzgujących się kropelkach. Łoskot fal zlewa się z wyciem wiatru, a morskie ptaki wykrzykują swoją pierwotną pieśń; tak samo było osiem lat temu.

Tak samo było całe wieki temu. Kit automatycznie zaparkowała samochód przy drodze do chaty. Siedziała z rękami założonymi na piersi, z całej siły wbita w fotel, dygocząc. Jedyne, o czym zapomniała, to przenikliwe zimno panujące nad samym morzem.

- Mamo?

Zerknęła na Mike'a, który patrzył na nią zakłopotany.

- Możemy już wysiadać?

- Jasne. Strasznie... zmarzłam. Jesteś pewien, że nie będzie ci zimno w tej kurtce?

- Absolutnie, jest mi nawet gorąco.

Kit pokiwała głową i wysiedli. Mike zatrzasnął drzwiczki, lecz Kit nie była w stanie oderwać się od swoich. Stała wsparta o samochód, ze wzrokiem utkwionym w chatę - i urwisko za nią.

Po raz pierwszy przyjechała w to miejsce w nocy. Wiatr wył jak potępieniec, niebo było czarne. Księżyc w pełni bladym światłem kładł tajemnicze cienie. To miejsce zdawało się żyć własnym życiem, czasami zapomniane, zadumane i samotne, czasami dzikie i groźne, czekające na przybycie niczego nieświadomej ofiary...

Zdawało się mieć oczy... Tutaj wrażenie, że jest obserwowana, nie opuszczało jej ani na minutę. Drzewa i skały zdawały się oddychać, żyć...

Kit uszczypnęła się. Doszło do tego, że nadaje kupie kamieni cechy ludzkie, zachnęła się. Nigdy nie bała się urwiska. Po śmierci Michaela często po nim spacerowała. Zatrzasnęła drzwiczki samochodu i z rękami w kieszeniach ruszyła w stronę chaty.

- Idziesz?- zawołała do Mike'a.

Przytaknął i biegiem ruszył za matką. Objęła go ramieniem i razem poszli dalej.

- Musisz mi obiecać, że nie będziesz się zbliżał do krawędzi - ostrzegła ciepłym, matczynym tonem.

Westchnął ciężko, dając do zrozumienia, że być dzieckiem, nie znaczy być głupcem. Założył kaptur.

- Straszny tu wiatr - skomentował.

- Owszem - zgodziła się. Chmurzyło się. Zerknęła w niebo, niemal całkowicie pokrywała go warstwa kłębiastych czap.

Zrozumiała, że ściemni się znacznie szybciej, niż się spodziewała. Ciężkie chmury bez wątpienia zwiastowały burzę.

- Możemy wejść do chaty? - zainteresował się Mike.
- Nie, nie możemy. Zresztą na pewno jest zamknięta.
- Aha - skwitował.

Kit nie wiedziała, czy jej odpowiedź rozczarowała go, czy też nie.

Minęli chatkę i skierowali kroki ku urwisku. Wszystko było jak osiem lat temu. Dokładnie tak samo: na zielonym zboczu wzgórza, które opadało ku morzu, dostrzegła sylwetkę mężczyzny.

Kit zatrzymała się, jej serce waliło jak młotem. Po chwili ruszyła, uświadamiając sobie, że miała nadzieję iż go tu zastanie. W głębi duszy musiała przyznać, że byłaby rozczarowana, gdyby się nie spotkali.

- To ten pan z cmentarza - wybełkotał Mike w podnieceniu.
- Wiem - szepnęła.

Justin, świadom, że są już blisko, odwrócił się ku nim. Stał z rękami w kieszeniach, na lekko rozstawionych nogach. Ten człowiek nie od dziś znał urwiska i wiatr i bez wahania rzucał im wyzwanie. Wiatr rozwiewał jego czarne włosy, lecz on sam stał niewzruszony niczym skała, ze wzrokiem utkwionym w przybyszów. Końce wełnianego szala, którym owinał szyję, raz po raz zrywały się w podmuchach do lotu, by po chwili spocząć na fioletowym swetrze.

Dumne, pewne siebie spojrzenie miażdżyło Kit. Dopiero gdy zbliżyli się na odległość kilku kroków, zerknął na Mike'a.

- Witam, panie Michaelu Patricku McHennessy. Przyszedł pan zobaczyć nasze klify?

Mike ochoczo przytaknął.

Justin z powrotem podniósł oczy na Kit. Zdawało jej się, że widzi w jego spojrzeniu cień rozbawienia.

- Mogę się z wami przejść? - zapytał, spuszczać wzrok ku Mike'owi. Kit jednak wiedziała, że pytanie było do niej skierowane.

- Jasne!- ucieszył się chłopiec.

Justin oparł dłoń na ramieniu Mike'a i ruszyli w stronę morza. Kit szła parę kroków za nimi. Słyszała, jak Justin opowiada chłopcu, że na skałach zazwyczaj mieszkają gnomy i wróżki.

- A pan zawsze tu mieszkał? - Mike'a interesowało wszystko.

- Prawie.

Kilka minut później stanęli na krawędzi urwiska. Patrzyli, jak poniżej szaleje morze, jak fale z łoskotem uderzają o skały, pozostawiając w rozpadlinach wodę, która migotała w słabych promieniach słońca.

Kit z zadowoleniem zauważyła, że Justin nie pozwolił Mike'owi podejść bliżej niż na odległość kilku kroków od krawędzi. W miejscu, w którym stali, skały schodziły do wody łagodnym stokiem, mimo to ostrzegł Michaela, że tutejsze urwisko zyskało sobie miano Czarciego Zęba.

- Wiem - odparł Mike poważnie - ono zabiło mojego ojca.

Justin nic nie odpowiedział. Kit niechętnie oddaliła się od nich, z wzrokiem wbitym w ziemię, ale czuła, że Justin nie spuszcza z niej oczu. Nie musiała go widzieć, żeby mieć pewność, iż ją obserwuje.

Justin schylił się i wziął garść kamieni. Cisnął jeden z nich do wody: zginął w pianistej topieli wiele metrów niżej. Dał Mike'owi pozostałe kamyki. Chłopiec rozpromienił się, a Justin ruszył w kierunku jego matki. Gdy na nią patrzył, Kit zastanawiała się, czy w jego oczach nie dostrzega przypadkiem czułości. Zdawała sobie sprawę z tego, że Justin chce odnaleźć to, czego szukał przez lata. Ku własnemu zdziwieniu wcale jej to nie przeszkadzało; czuła, że ma szansę poznać go na nowo, na przekór czasowi, który ich zmienił i zabił ich przyjaźń.

- Pół dnia tu na ciebie czekałem - powiedział. Wzruszyła ramionami, siląc się na obojętność.

- Jeśli tak bardzo chciałeś się ze mną zobaczyć, mogłeś zadzwonić.

- Dzwoniłem, ale cię nie było.

- Pojechałam do Cork. - Kit zawahała się przez moment. - Ja naprawdę piszę książkę - dodała, a w jej głosie brzmiały zarówno przekora, jak i wymówka.

Szeroki uśmiech rozjaśnił jego twarz, rzeźbiąc głębokie rowki wokół oczu i ust.

- Wierzę ci.

- Dzwoniłeś do mojego wydawcy? - nie umiała się pohamować przed zadaniem tego pytania, nie potrafiła również powstrzymać uśmiechu.

Nie odpowiedział jej od razu. Zamiast tego usiadł w wysokiej trawie, zerwał źdźbło i zaczął je bezwiednie ssać. Z cichym westchnieniem Kit usiadła obok O'Nialla.

- A więc? - powtórzyła pytanie, zirytowana.

- No cóż, przecież nie wiem, kto jest twoim wydawcą, nieprawdaż?

- Ja rzeczywiście piszę książkę o Irlandii.

- Jestem tego pewien.

- O dawnych obyczajach i przesądach, które zachowały się po dziś dzień - wypaliła.

Nadal się uśmiechał, tymczasem wiatr niepostrzeżenie wzmógł się, przypominając o sobie upiornym lamentem.

- W takim razie powinny cię zainteresować obchody Wszystkich Świętych. Będiesz mogła wziąć udział w naszych pogańskich rytuałach...

- Przestań, Justinie!

- Przecież to tylko zabawa przy ognisku.

- Czyżby?

- Naturalnie!

- Och, Justinie... - westchnęła zniecierpliwiona. - Czy ty tego nie rozumiesz?

- Co powinienem rozumieć?

- Justinie, sam powiedziałaś, że dosypano nam czegoś do herbaty...

- Zgoda, to fakt, ale nie widzę w tym działania sił nadprzyrodzonych.

Poderwała się.

- Jak to?! No tak, to przecież nie ty musisz żyć z takim ciężarem na sumieniu!

- Do cholery, ja też mam sumienie -odparował, wstając i patrząc na nią ze złością. Po chwili, już spokojniej dodał: - Nie stało się nic straszego. Jeżeli odłożyć na bok aspekt moralny, to cholernie dobrze się bawiłem.

- O co się kłóćcie?

Głos Mike'a zagłuszył złość Kit. W ferworze dyskusji zupełnie zapomniała, że chłopiec jest tak blisko.

- O nic - zapewniła pośpiesznie.

- I o wszystko - dodał Justin ze śmiechem. Schylił się do Mike'a i chwycił go za ramiona. - Chcesz zjeść kolację na zamku?

- O rany! - Mike nie posiadał się z radości.

- Nigdzie nie idziemy! - warknęła Kit.

- W porządku, ale chłopiec pójdzie - powiedział Justin.

Mike odwrócił się, błagalnie wpatrzony w matkę; Justin także nie odrywał od niej wzroku. Jego dłonie nadal spoczywały na ramionach Mike'a: zupełnie jakby miał moc, by jej chłopca odebrać.

Powinnam go posłać do diabła! - pomyślała Kit z wściekłością. Zawahała się. Czowała, że zaschło jej w gardle.

- Powinieneś najpierw mnie zapytać - stwierdziła chłodno.

- Idziemy na zamek! O rany! O rany! - Uradowany Mike puścił się w szalony tan wśród traw.

Justin wzruszył ramionami, nic sobie nie robiąc z jej wymówki.

- Molly chce cię zobaczyć. Zostaje dziś na kolację. - Zawahał się, po czym miękko zakończył: - Musisz przyjść, Kit.

Moc była po jego stronie. Ta sama moc, która przyciągnęła ją osiem lat temu: moc wzgórz i klifów, moc wiatru, który świstem i jękiem nakłaniał, by została...

Tu była odpowiedź na wszystkie jej pytania... i tu był Justin.

Spojrzała mu prosto w oczy. Ciemne jak rozciągające się nad nimi grafitowe niebo hipnotyzowały swoją tajemniczością.

- Chciałam zobaczyć się z Molly - westchnęła z rezygnacją - a kolację i tak musimy gdzieś zjeść.

Justin roześmiał się.

- Czy mam rozumieć, że się zgadzasz? Dziękuję bardzo, pani McHennessy. To uroczo. - Odwrócił się i ruszył pod górę.

Kit podążyła za nim, przeklinając w duchu.

Justin wziął Mike'a za rękę. Po drodze wypytywał chłopca o podróż samolotem i uważnie słuchał, jak Mike dumnie opowiadał o pierwszym dniu w irlandzkiej szkole.

Gdy doszli do chaty, Justin zatrzymał się. Włożył rękę do kieszeni, po czym ujął dłoń Kit i coś do niej wsunął.

Zaskoczona, rozwarła palce: Justin dał jej klucz.

- Do chaty - szepnął.

Ich oczy spotkały się ponownie.

Wpatrywał się w nią z taką pewnością siebie, że poczuła dreszcz, przeszywający jej ciało. Fala gorąca objęła ją od stóp po czubek głowy. Kazał jej odejść, a jednocześnie usiłuje ją zatrzymać...

- Do chaty? - wybełkotała głupkowato.

- Tak - odparł bezbarwnym głosem. - Przecież wiesz, że należy do mnie.

Nie, tego nie wiedziała.

- Rzeczywiście, jakżeby inaczej. Przecież wszystko w okolicy należy do ciebie - wymamrotała z rezygnacją. Rozejrzała się za synem: był już prawie przy samochodzie. Ściszyła głos i oświadczyła gwałtownie: - Ale ja nie należę do ciebie, Justinie O'Niall.

Chwycił ją za ramię i zdecydowanym ruchem przyciągnął do siebie.

- Czyżby, Kit? Czy część ciebie nie należy aby do mnie? - Głęboki, ochryply szept sprawił, że wbrew sobie zaczęła dygotać.

Patrzyła, jak Justin podchodzi do Mike'a, jak stoją obok siebie i rozmawiają. Ożywieni, zdawali się nie zauważać jej istnienia. Otuliła się swetrem; wiatr tańczył naokoło niej, chwytając raz po raz lodowatymi palcami.

Ukryła twarz w dłoniach. Myślała, że jest dojrzała i doświadczona, ale wobec Justina nadal była słaba. Nie umiała się oprzeć jego sile, woli, determinacji.

Nie umiała się oprzeć temu, jak działał na jej zmysły... i duszę.

ROZDZIAŁ 5

No więc? - odezwał się Justin. Wygodnie rozparty na krześle, wprawnym ruchem zapalił papierosa. - Co robiłaś przez ostatnie osiem lat?

Kit powoli sączyła kawę. Równie dobrze mógł pytać o to, co robiła w zeszłym tygodniu.

- Niewiele - odparła krótko, wzruszając ramionami w odpowiedzi na cyniczny błysk, jaki dostrzegła w jego spojrzeniu. Odwróciła wzrok.

To nie do wiary, jak dobrze czuła się w tym wygodnym wnętrzu, wyposażonym w nowoczesne urządzenia ułatwiające życie. Była przekonana, że Justin musiał wydać fortunę na modernizację: na nową kuchnię, centralne ogrzewanie, domofon i telefon do użytku wewnętrznego. Justin powiedział jej kiedyś, że pierwotna rodowa siedziba została wzniesiona z drewnianych bali i otoczona drewnianą palisadą. Zamek murowany powstał później, po najazdach Wikingów i Normanów. Był nieduży, a wąskie, strzeliste wykusze przekształcono z czasem w okna. Mury obronne obróciły się w ruinę, ale część gmachu, mieszcząca wspaniały hol i trzy dostojne wieże z kręconymi schodami, była w dobrym stanie.

Osiem lat temu Kit bardzo lubiła przebywać w zamku i teraz też potrafiła docenić urok tego niezwykłego miejsca. Zastanawiała się, czy Susan Accorn także pozostawała pod jego wrażeniem.

Duży, wysoki hol, który pełnił funkcję jadalni i salonu, niewiele się zmienił. Długi stół, wokół którego stały krzesła o wygiętych oparciach, nadal królował na podium nad resztą pomieszczenia. Naprzeciw ogromnego, kamiennego kominka stały te same fotele, na których przed laty siedzieli doktor Conar, Liam O'Grady, Molly i Justin, zastanawiając się, jak zorganizować pogrzeb Michaela.

Kit wstrząsnął dreszcz. Odstawiła filiżankę. To wnętrze przywoływało tyle dramatycznych wspomnień! Mimo to, wbrew logice, czuła się w nim jak we własnym domu. Płonący na kominku ogień dodawał przytulności dużemu pomieszczeniu, a szklaneczka whisky, którą Justin poczęstował Kit przed kolacją pozwoliła się jej odprężyć. Molly, pełniąc godnie rolę gospodyni, oprowadzała Mike'a po zamku, więc Kit i Justin zostali sami, ciekawi siebie po latach niewidzenia.

- Jesteś tu jeszcze? - Żartobliwe pytanie Justina wyrwało Kit z zamyślenia.

- Tak... Oczywiście - odparła i dodała: - Jak minęło mi te osiem lat? Podjęłam i skończyłam studia, obroniłam pracę magisterską. Następnie przeniosłam się do Nowego Jorku i zaczęłam pisać.

- Raczej niedużo jak na osiem lat - skomentował Justin.

- Jak dla kogo. - Wzruszyła ramionami.

- Zapomniałaś wspomnieć o dziecku - zauważył.

- No tak, Mike. Myślałam, że to dla ciebie oczywiste, iż zajął ważne miejsce w moim życiu - powiedziała i zamyśliła się na chwilę,

po czym dodała: - Mike sprawił, że moje życie stało się proste.

Opiekuję się synem i pracuję.

- Nie wyszłaś powtórnie za mąż - stwierdził raczej, niż zapytał.

- Nie. - Zawahała się. Teraz przyszła jej kolej na zadanie pytania. - A ty? - bąknęła w końcu.

- Och, nic specjalnego, raz na parę lat morduję sobie kogoś.

- Justinie! To wcale nie jest śmieszne!

- Nie trzeba było pytać!

- W porządku, może rzeczywiście nie powinnam poruszać tego tematu. A może jednak chcesz o tym pogadać?

- Niespecjalnie...

- Justinie...

- Powiedziałem, że niespecjalnie. Jeśli jednak musisz wiedzieć, to się nie krępuj, wal śmiało. Bóg jeden wie, że wystarczająco się już naopowiadałem.

- Cóż, nie sądzisz, że to może być źle odbierane? - broniła się Kit. - Twoja narzeczona została zamordowana ledwie miesiąc temu, a ty nawet nie nosisz żałoby.

- Pamiętam, pani McHennessy, że przed kilku laty, gdy pani mąż nie żył od bardzo niedawna, pani nie zachowywała się jak cnotliwa, nieutulona w żalu wdowa.

- Przecież doskonale wiesz, że byłam zrozpaczona!

- Kit nie kryła oburzenia.

Wzruszył ramionami, pobłażliwie machając ręką.

- Cóż, to było dawno temu, czyż nie?

Powinna zaprzeczyć, zbuntować się, nie pozwolić mu tak się traktować. Zamiast tego przyjęła postawę obronną.

- Nie byłam sobą, sam przyznałeś, że o tym wiesz. Ja bym nigdy...

- Ty byś nigdy...?

- Ja... - Kit urwała, speszona i zakłopotana. Pochyliła głowę, by ukryć rumieniec, ale czuła na sobie uważne spojrzenie Justina. - Nie! - wypaliła w końcu.

W odpowiedzi Justin O'Niall zaśmiał się głośno, serdecznie.

- Za kogo ty się masz! - wykrzyknęła Kit, po czym szybko rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy przypadkiem syn nie znajduje się w pobliżu.

Justin pochylił się, patrząc jej prosto w oczy.

- Nie wiesz? - zapytał pogrążony w zadumie. - Pomyślmy. Pozwoliłem ci odejść. Miałem ci usłać drogę różami?

Nie podobał jej się ton jego głosu; nie potrafiła poznać, czy drwi, czy mówi serio.

- Byłam bardzo młoda i bardzo zraniona - wyszeptała Kit, ze wszystkich sił starając się utrzymać kontrolę nad emocjami. - Ty byłeś starszy, doświadczony i wiedziałeś, że coś jest nie tak. Ty... - Urwała, gdyż Justin ponownie się zaśmiał.

- Kit! Kiedy zastajesz kobietę rozkoszującą się kąpielą, kobietę roześmianą i nagusienką, jak ją pan Bóg stworzył, nie jest łatwo pozostać obojętnym. Mnie się udało dopóty, dopóki... - Wzruszył ramionami. - Zachowywałem godną pochwały wstrzeźliwość.

Potem zarzuciłaś mi ramiona na szyję. Przyciągnęłaś do siebie.

Nalegałaś...

- Ale... - zaproponowała słabo.

- Gdybyś nie chciała...

- Justinie!

- No cóż, następnym razem nie będziesz pod działaniem narkotycznego omamu, prawda?

Kit czuła się zagubiona, nie potrafiła zrozumieć, czy Justin kpi, czy też mówi poważnie.

- Nie będzie następnego razu.

- Myślę, że będzie... I ty też tak myślisz.

- Justinie - zaczęła, siląc się na obojętność - wysłuchaj mnie, proszę. Nie zaprzeczam, że bardzo mnie pociągałeś. - I nadal pociągasz, dodała w duchu. - Dobrze wiesz, że kochałam Michaela. Nie zdradziłabym jego pamięci, ot tak. Byłam zbyt zagubiona, nie panowałam nad sytuacją. Nadal czuję się zagubiona. Kto i dlaczego mi to zrobił? Kto wsypał to świństwo do herbaty?

Justin sięgnął ręką ku jej dłoni i palcami zaczął delikatnie pieścić nadgarstek.

- Kit, jestem pewien, że nikt nie chciał cię skrzywdzić.

- To sprawka Molly.

- Molly nigdy by cię nie skrzywdziła. Ona cię uwielbia.

- Wiem. Może w herbacie było coś, co miało mi pomóc się odprężyć.

- Też o tym myślałem. Zdecydowałem się nawet ją zapytać, ale wszystkiemu zaprzeczyła.

- I nie nalegałeś?

- Nie, nie nalegałem. Nikt nie chciał cię skrzywdzić. Ktoś chciał jedynie ulżyć ci w cierpieniu.

- Och, Justinie, ty nic nie rozumiesz!

Zawahał się, po czym wbił w nią wzrok tak przenikliwy, że zaczęła drżeć.

- Właśnie, że rozumiem, Kit. Cały czas ci to powtarzam.

- Justinie, powinieneś być zaniepokojony...

- Ależ jestem.

- Mówię o morderstwach!

- Te sprawy mnie nie dotyczą.

- Justinie, co się stało z twoją narzeczoną? Słyszałam, że tamtego wieczoru bardzo się pokłóciliście.

Już na nią nie patrzył. Utkwił wzrok w ogniu trzaskającym w kominku. Po chwili rzucił niedbale:

- Rzeczywiście, pokłóciliśmy się.

- Dlaczego? O co? Chciała zerwać zaręczyny? A może ty tego chciałeś? O co wam poszło?

Obrzucił ją spojrzeniem pełnym sarkazmu.

- Tacy jak pani powinny zasilać szeregi policji, pani McHennessy.

- Justinie, proszę cię, odpowiedz na moje pytania. Wzruszył ramionami.

- W sumie dlaczego nie? Wszystkim innym odpowiadałem.

Poszło o gazetę.

- O gazetę?

- Nie możesz zrozumieć, dlaczego nie jestem pogrążony w żałobie, prawda? No cóż, w pierwszej chwili to rzeczywiście bolało, chociaż nigdy nie poprosiłem Susan o rękę.

Czy przed laty nie wyparł się związku z Mary Browne?

- Ale wy... wy przecież...

- Byliśmy razem, owszem. Poznałem Susan w Londynie, pracowała nad jakimś projektem. Była piękną kobietą.

I bardzo pociągającą.

- Ale nie szukałeś żony, tylko... przygody.

- Myślisz kategoriami opery mydlanej. Miałem spędzić życie, czekając, aż do mnie wrócisz? Nie ożeniłem się, bo jeszcze nie spotkałem kobiety, z którą bym chciał spędzić resztę życia. Jak mówiłem, poznaliśmy się w Londynie. Spędzaliśmy razem dużo czasu, w końcu zaprosiłem ją na tydzień do zamku. Przyjechaliśmy osobno, bo musiałem się jeszcze zatrzymać w Dublinie. W jednej z gazet znalazłem informację o naszych zaręczynach. Kiedy przyjechałem do Shallywae, Susan szarogęsiła się w moim własnym domu. Nie zdementowała plotki, wręcz przeciwnie, rozpowiadała ją okolicznym mieszkańcom.

- No i?

- Pokłóciliśmy się. To była prawdziwa awantura. -Skrzywił się. -
Lubiłem Susan. Myślę, że początkowo chciała mnie jedynie włączyć

do kolekcji. Zanim mnie poznała, spotykała się z Belgiem, akrobatą cyrkowym. Czyżbyś się tego nie doczytała?

- Nie. Zresztą i tak myślę, że gazety nie napisały całej prawdy. Dlatego pytam.

- Jakież to amerykańskie - powiedział gorzko. - Zbadać zakamarki ludzkiej duszy i na podstawie paru rozmów postawić diagnozę na całe życie.

- Ty tak to odbierasz.

- No dobrze, więc zaspokoilem twoją ciekawość. Susan święcie wierzyła, że każdy mężczyzna, którego zaszczyci sympatią, z wdzięczności padnie przed nią na kolana. Nie mieściło jej się w głowie, że ktoś mógłby nie chcieć pojąć jej za żonę. Z drugiej strony, zdawała się żywić przekonanie, że mężczyźni i worki treningowe to mniej więcej to samo. Podczas awantury wymierzyła mi kilka mocnych policzków.

- A potem? - niecierpliwiła się Kit.

- A potem została zamordowana. Oczywiście, nie przeze mnie. Wierzysz mi?

- Tak. Ja... Nie byłoby mnie tutaj, gdybym ci nie wierzyła - odpowiedziała Kit. Czy rzeczywiście? A może przyszła, bo Justin ją pociągał, bo wystarczyło jedno skinienie, żeby za nim poszła? Nie chciała tego przyjąć do wiadomości. Pragnęła wierzyć, że jedynym, czego szuka, jest prawda o tym, co się wydarzyło osiem lat temu. -A więc kto ją zamordował?

- Skąd, do diabła, mam wiedzieć? Myślisz, że morderca przyszedł mi się wypowiadać? Może ten belgijski artysta, nie wiem. Susan potrafiła przysparzać sobie wrogów.

- Jak możesz tak do tego podchodzić! Przecież osiem lat temu, tej samej nocy, kiedy zginął Michael, inna młoda kobieta została zamordowana.

- A ty jesteś przekonana, że te sprawy coś łączy?

- Tak. Zresztą nie tylko ja jedna.

Przez chwilę milczał, by wreszcie zauważyć chłodno:

- Powinnaś wracać do domu, Kit.

- Dopiero co wręczyłeś mi klucz do chaty - zauważyła. -

Dlaczego nigdy mi nie powiedziałeś, że należy do ciebie?

Wzruszył ramionami.

- A co to za różnica? W tej okolicy niemal wszystko do mnie należy.

Uwagę Kit przyciągnęły coraz głośniejsze porywy wiatru. Wzdrygnęła się— wicher przywodził na myśl lamenty płaczek, zawodzących pośród nocy na klifach. Nic dziwnego, że w tej surowej krainie krążyły legendy o zjawach zwiastujących śmierć. Nie wierzyła w nie, lecz gdy patrzyła na Justina, nie umiała opanować drżenia. Na jego twarzy kładły się cienie rzucane przez migotliwe płomienie na kominku, a oczy zdawały się płonąć.

Kit wyczuwała, że dzieje się coś dziwnego.

- Dolać ci kawy? - zaproponował Justin. Skinęła głową. Potrzebowała czegoś ciepłego. Wstał, by przynieść dzbanek z kawą, który stał na stole.

Kit obserwowała każdy jego ruch. Miał silne ręce. Był postawnym, dobrze zbudowanym mężczyzną grubo powyżej metra osiemdziesięciu, o szerokich, umięśnionych barkach. Z punktu widzenia możliwości fizycznych mógł dokonać wszystkich tych morderstw.

Podskoczyła na krześle, gdy niespodziewanie położył dłoń na jej ramieniu. Widziała, że twarz Justina raptownie stężała. Zaciśnął usta i milcząc, postawił przed nią dymiącą filiżankę. Napelniwszy swoją, wrócił na miejsce. Gdy na nią spojrzał, w jego wzroku nie było nawet cienia poprzedniego ciepła.

- Możesz znowu uciec... jeśli się boisz.

- Nie boję się ciebie, Justinie. - Kłamała? Nie umiała sobie odpowiedzieć na to pytanie.

Nie musiał nic mówić, by zrozumiała, że wątpi w szczerość jej słów. Nerwowo sięgnęła po papierosa. Patrzyła, jak podaje jej ogień, po czym podjęła kolejną próbę zebrania rozbieganych myśli.

- Wydaje mi się, że powinieneś przemyśleć to, o czym mówię. Zamordowano dwie kobiety, moim zdaniem także Michael padł ofiarą mordu. Nie był głupi. Nie wyobrażam sobie, by mógł tak po prostu spaść z klifu.

- Zrobiono sekcję zwłok Kit Nie znaleziono śladów walki. Jego śmierć da się racjonalnie wyjaśnić. Spacerował nad urwiskiem. Było ciemno. Nie znał okolicy, potknął się i spadł.

- Nie ja jedna uważam, że został zamordowany - powiedziała z wyrzutem w głosie.

- Doprawdy? Kto podziela twoje zdanie?

Nie chciała odpowiadać, lecz jedno baczne spojrzenie Justina wystarczyło, by się poddała.

- Posterunkowy Barney Canail z Baitree.

- Posterunkowy? - Justin nie sprawiał wrażenia specjalnie zainteresowanego.

Kit wstała, dopalając papierosa. Z filiżanką w ręku podeszła do kominka. Nie odrywała wzroku od trzaskającego ognia.

- Nie zauważyłeś, że giną wyłącznie kobiety, które coś z tobą łączyło?

- Dopiero co mi oświadczyłaś, że twój mąż został zamordowany, a on nie był „kobietą, z którą coś mnie łączyło”. Jeśli chcesz mnie oskarżyć o morderstwo, to zrób to i skończmy z tym!

- O nic cię nie oskarżam, Justinie. Po prostu nie jestem w stanie zrozumieć, jak możesz być taki spokojny!

- Spokojny? Na Boga, kobieto, chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz. W moim domu buszowali policjanci i komisarze, że nie wspomnę o prywatnych detektywach i węszących sensację dziennikarzach. Nie jestem spokojny. Natomiast jestem zmęczony. Nigdy nie widziałem pani męża żywego, pani McHennessy; nic mnie

nie łączyło z Mary Browne. Nie miałem wpływu na to, co rozpowiadała.

- Nie zamierzam cię obwiniać, ale ktoś to zrobił i ten ktoś pozostaje bezkarny.

- I dlatego powinnaś jechać do domu.

- Nie sądzisz, że to jakoś się łączy z obchodami Halloween?

- Czy ty nigdy nie przestaniesz? Obchody wigilii Wszystkich Świętych w dzisiejszych czasach ograniczają się do hucznego pikniku na wzgórzach. Zresztą to już niedługo, będziesz mogła sama się przekonać. Podobno to my, Irlandczycy, mamy słabość do podań i legend.

- Justinie, nie rozumiesz? Nie uwolnisz się od podejrzeń, dopóki morderca nie zostanie schwytany.

- Liam, stary Barney i ja tysiące razy przemyśliwaliśmy nad całą sprawą. Na nasze pytania nie ma odpowiedzi. A przynajmniej my nie umiemy jej znaleźć. - Uśmiechnął się, po czym dodał: - Może druidzi powstaną z grobów? Może oni nam pomogą?

- To wcale nie jest śmieszne, Justinie.

- Kit, nie możesz wszystkiego brać poważnie. Mordercy i tak nigdy nie złapią. Chyba że znów zaatakuje.

- Myślisz, że będzie próbował?

- Mnie pytasz? Sam chciałbym wiedzieć.

- Dlaczego dałeś mi klucz do chaty, skoro jednocześnie każesz mi wyjechać?

- Wolę być w pobliżu na wypadek, gdybyś zdecydowała się zostać. Już ci to mówiłem. Stąd do domku nad morzem jest dziesięć minut.

- Ale czy chcesz, żebym została?

- Wolałbym, żebyś wyjechała przez wzgląd na twoje bezpieczeństwo. W razie potrzeby tym razem cię odnajdę.

Kit patrzyła, jak się do niej zbliża. Jeszcze kilka kroków i już stał przed nią, opierając ręce na jej ramionach. Przy nim czuła się krucha i bezradna. Serce biło jej mocno, nie umiała jednak powiedzieć, czy ze strachu, czy z podniecenia.

Twarz Justina rozjaśnił tajemniczy, odrobinę arogancki uśmiech. Zdawał sobie również sprawę z tego, że simie na Kit działa, że ją pociąga.

Kit ogarnęło upokarzające uczucie słabości. Gdyby zaproponował pójście do łóżka, nie miałyby siły odmówić. Dopiero później zastanawiałyby się, dlaczego tak postąpiła.

- Sądzę, że powinnaś wyjechać - powiedział - ale chcę, żebyś została.

- Powinieneś być w żałobie, Justinie.

- Nie kochałem Susan.

- Mnie też nie kochasz.

Jeden z kącików jego ust uniósł się w grymasie, który mogła wziąć za tęskny uśmiech.

- Ale mogłem cię pokochać.

Musiała powiedzieć coś, co by rozwiało urok, jaki Justin na nią rzucił. Była pewna, że mógł zdobyć każdą, nawet najatrakcyjniejszą kobietę. Zapewne starczała mu jedna chwila, by ocenić jej walory i zdecydować, czy chce się z nią kochać, czy nie. Kit była przekonana, że większość kobiet nie umiałby mu się oprzeć.

Tyle że ona nie chciała być kolejną przypadkową kochanką. Nie chciała, by wzbudzał w niej uczucie niemal obsesyjnej fascynacji. Nie potrafiła jednak tego zmienić; wpatrzona w jego twarz pozwalała mu mówić.

- Wiesz, Kit, omal się w tobie nie zakochałem, gdy zobaczyłam cię po raz pierwszy. Miałaś na sobie przezroczystą koszulkę, a twoje jedwabiste włosy falowały na wietrze. Wiedziałem, że właśnie opuściłaś łóżko innego mężczyzny i że było ci z nim dobrze. W głębi serca poczułem zazdrość. Byłaś taka młoda i niewinna. Pragnąłem cię dotykać. Pragnąłem tego również wtedy, gdy między nami doszło wreszcie do zbliżenia. Wiedziałem, że nie powinniśmy tego robić: byłaś dokładnie taka, jak to opisujesz, młoda, niewinna i bardzo samotna. Przez te osiem lat nie żyłem jak zakonnik, ale często o tobie myślałem. Gdy cię ostatnio zobaczyłem, zrozumiałem, że nic się nie zmieniło. Nadal jest w tobie niewinność, która sprawia, że mężczyzna pragnie cię chronić.

- Mamo! - usłyszeli i do pokoju wpadł Mike. - Mamo! Chodź zobaczyć, co przygotowała Molly. Są naprawdę wspaniałe! Obiecała, że mi powie, skąd się wzięły i do czego służą.

Kit odetchnęła z ulgą. Dzięki chłopcu pokój znowu wyglądał zwyczajnie. Nawet Justin z demonicznego stał się przyjacielski.

Wsparty o kominek uśmiechał się do Mike'a.

- O czym ty mówisz? - Kit zwróciła się do syna.

- Gęby, pani McHennessy - usłyszała w odpowiedzi głos Molly, która stanęła w progu. Była wysoką kobietą o siwych włosach i ciepłym, szerokim uśmiechu. Douglas ma go po niej, pomyślała Kit. - Chodź, dziewczyno, sama zobaczysz - ponagliła.

Mike chwycił matkę za rękę i pociągnął za sobą. Kątem oka zobaczyła, jak Justin wzrusza ramionami. Nie słyszała za sobą jego kroków.

Zgromadzili się wokół kuchennego blatu. W pierwszej chwili Kit miała wrażenie, że patrzy na zwyczajne warzywa: rzepę, buraki, ziemniaki. Potem dostrzegła, że każde z nich miało wyrzeźbione rysy twarzy: makabryczne gęby ze skośnymi oczami i szerokim, bezzębnym uśmiechem. Poczowała się nieswojo, lecz nie potrafiła oderwać od nich wzroku.

- To lampiony na Halloween! - wyjaśnił Mike z entuzjazmem. - Molly pozwoliła mi sobie pomóc, ale tylko troszkę.

- Lampiony na Halloween? - wybełkotała głupawo Kit.

- Tak, to na Wszystkich Świętych. - Wyjaśniła Molly czystym głosem. Podniosła jeden z ziemniaków i nakreśliła bezzębny uśmiech. - To na kiermasz do kościoła na niedzielę. Przed samym Halloween zrobimy nowe, te by nie dotrwały.

- Ziemniaki? - dziwiła się Kit.

Za plecami usłyszała śmiech Justina.

- Musi pani wiedzieć, pani McHennessy, że oryginalnie lampiony robiono właśnie z ziemniaków. To Amerykanie wymyślili dynię.

- Naprawdę? - dopytywał się Mike.

- Oczywiście - odparł Justin. Przysiadł na jednym z krzeseł kuchennych, przysunął Mike'a do siebie i wręczył mu inną ziemniaczaną gębę. - Irlandczycy robią takie buzie na Halloween od wielu, wielu lat i nazywają je Latarniami Jacka. Mają one odganiać złe duchy, które mogą czaić się gdzieś w pobliżu. Dlatego są takie upiorne.

- Nazwę tę zawdzięczają irlandzkiej legendzie - dodała Molly dumnie.

- Naprawdę? - powtórzył Mike, zafascynowany. Justin roześmiał się.

- Jasne! Podobno żył kiedyś na tych ziemiach bardzo samolubny mężczyzna o imieniu Jack. Był tak samolubny, że wyparł się i Boga, i szatana, wierząc jedynie w siebie samego. Kiedy umarł, nie został wpuszczony do nieba. W piekle też nie chciano mieć z nim nic wspólnego. Tak więc bezdomna dusza Jacka została skazana na wieczną włóczęgę po ziemi.

- Wow! - pisnął Mike. Spojrzał na Justina i uśmiechnął się. - A teraz ludzie wkładają do środka małe świece i z buzi robią się lampiony.

- Zgadza się!

Mike zwrócił się do Molly.

- Mogę ją zatrzymać? Tylko tę jedną, proszę!

- Weź - zgodziła się Molly.

- Mike, nie sędzę, żeby... - zaczęła Kit.

- To tylko ziemniak! - zaproponował Justin, wybuchając śmiechem.

Ma rację, to tylko ziemniak. Za kilka dni zaczną gnić i Mike będzie musiał go wyrzucić.

- Kiedy zaczną śmierdzieć, musisz się go pozbyć - ostrzegła.

- Wiem, mam.

Wszyscy troje gapili się na nią, jak gdyby zrobiła coś dziwnego. Była przekonana, że udało jej się ukryć swoje uczucia, lecz najwidoczniej się myliła. Powinna być ostrożniejsza, pomyślała.

Uśmiechnęła się i objęła Molly.

- Molly, Justinie, dziękuję za przemiłą kolację. Myślę, że Mike powinien już iść spać.

- Ach, nie ma za co, tak miło było cię znów zobaczyć! Mam nadzieję, że jeszcze wpadniecie - powiedziała Molly.

Uścisk starszej pani był równie ciepły, jak jej słowa. Kit cofnęła się z poczuciem winy.

- Jeszcze nie wiem, jak długo tu zostaniemy, ale obiecuję, że przyjdę się pożegnać.

- Odprowadzę cię do samochodu - zaproponował Justin.

Po drodze do auta Mike kurczowo ścisnął swój skarb. Czarne, nocne niebo rozświetlał wąły księżyc. W jego blasku ziemniaczana gęba nabierała dziwnego, przerażającego wyrazu. Wtedy Kit zrozumiała, dlaczego halloweenowe lampiony napawają ją lękiem. Było w nich coś, co przypominało koźlą maskę Bala. Może w grymasie, może w szparkach na oczy.

Przełknęła ślinę. To jest zwyczajny ziemniak, powtórzyła w myśli.

Mike wdrapał się na swoje miejsce. Justin otworzył drzwiczki od strony kierowcy.

- Jutro pomogę ci przeprowadzić się do chaty.
- Nie ma takiej potrzeby. Jeszcze nie wiem, co postanowię.
- No cóż, może przez noc decyzja dojrzeje. Będę u ciebie rano.
- Justinie...

- Dobranoc, Kit. - Spojrzeli sobie w oczy. - Będę rano. Musimy jeszcze wyjaśnić pewne sprawy, prawda? - Nie dając jej czasu na odpowiedź, zwrócił się do Mike'a. - Dobranoc, chłopcze.

- Dobranoc, dziękuję.
- Justinie - próbowała wtrącić Kit - my nie.
- Ależ owszem.

Drżącą ręką włożyła kluczyk do stacyjki. Mimo że nie patrzyła na Justina, wiedziała, że nie odrywa od niej wzroku. Była roztrzęsiona. Nie zdołała się uspokoić ani w drodze do gospody Jamiego, ani nawet później, gdy w nocnej ciszy mijały kolejne, bezsenne godziny.

ROZDZIAŁ 6

Kit przysunęła się bliżej do lustra nad umywalką i starannie rozprowadziła róż na policzkach. Wyprostowała się, by z pewnej odległości ocenić efekt upiększającego zabiegu. To, czy jej makijaż jest idealny ani czy jej strój - miękka, ciemna spódnica z dzianiny, podkreślająca zgrabną figurę - czyni ją atrakcyjną, nie powinno być ważne. A jednak było. Również gorączkowe podniecenie pomieszanego z nieokreślonym niepokojem, które odczuwała w obecności Justina, nie miało sensu. Tymczasem miało. On nie powinien się liczyć, a jednak się liczył.

Justina opuściła wiele lat temu, wymazując go na zawsze z pamięci. Przynajmniej tak jej się zdawało. Okazało się jednak, że nie zdołała definitywnie odciąć się od przeszłości, że gnębią ją nie rozwiązane zagadki, że nadal szuka odpowiedzi na pytania o to, co naprawdę się wydarzyło, i dlaczego ona zachowała się tak, a nie inaczej.

Nie powinna wracać na miejsce tragedii. Nie należało się spotykać z Justinem. A jednak nie potrafiła odmówić jego zaproszeniu. Spotkali się i emocje sprzed lat znów ożyły z zadziwiającą siłą, która mogła zabrać jej spokój ducha i zburzyć życiową stabilizację.

- Oskarża się o morderstwo niewinnego człowieka - powiedziała do swojego lustrzanego odbicia. - Jesteś mu winna pomoc i wsparcie. Tylko tyle.

„Powinność” - słowo nie mające najmniejszego związku z przyśpieszonym biciem serca ani z nadzieją, że Justin przyjedzie dziś rano i że będzie nalegał, by się przeprowadziła do domku nad morzem; że go ponownie zobaczy.

Zła na siebie, mruknęła coś pod nosem i odwróciła się od lustra. Zamierzała zejść na dół i zjeść śniadanie z Jamiem, ucinając sobie przy okazji miłą pogawędkę. Potem chciała pojeździć trochę po okolicy, by wreszcie przejść do studiowania książek kupionych u Julie McNamary. Mike pojechał do szkoły z Douglasem i w związku z tym miała cały dzień dla siebie.

Kit zamknęła drzwi i szybkim krokiem zeszła na dół. Weszła do kuchni, aby przywitać się z Jamiem, ale zaniemówiła na widok Justina, który jak gdyby nigdy nic siedział przy stole z filiżanką kawy w ręku.

Stała jak wryta, nie mogąc oderwać od niego wzroku. Może Justin na nią nie czekał, lecz nagle zrozumiała, że przez te wszystkie lata ona czekała na niego. Nie było sensu dłużej się oszukiwać, udawać, że to, co kiedyś połączyło ją z tym mężczyzną, dziś nic już nie znaczy.

- Justin! Jak się masz - powiedziała z udawaną obojętnością, usiłując ukryć radość i podniecenie, jakie ją ogarnęły na myśl, że oto do niej przyszedł.

- Dzień dobry, Kit. Właśnie poinformowałem Jamiego, że zdecydowałaś się przenieść do domku nad morzem.

- Ja wcale... - Urwała. W pierwszym odruchu chciała zaprotestować, powiedzieć, że nie podjęła takiej decyzji. Nie zdołała wykrztusić słowa, ponieważ Justin wstał, podszedł do niej i zamknął jej dłonie w swoich. Czowała na sobie jego spojrzenie - badawcze i zarazem serdeczne. Uśmiechnął się odrobinę zawadiacko.

- Czy znów zachowuję się zbyt po irlandzku, Kit? Jestem zbyt władczy? - zapytał.

Uwolniła dłonie i bez słowa odwróciła się do Jamiego.

- Myślę, że to dobry pomysł. Mike i ja przeniesiemy się do domku nad morzem. Postanowiłam spędzić tu trochę czasu, przynajmniej do Wszystkich Świętych. Chciałabym poznać obchody tego święta po to, aby je potem opisać.

- Tak, chyba rzeczywiście będziesz miała okazję zebrać ciekawe materiały do książki. - Jamie zdawał się nie mieć żalu z powodu utraty klientów. - Zapraszam na śniadanie.

- Dziękuję, Jamie, jestem głodna.

- Bekon, tost i jajka zaraz będą gotowe - oznajmił Jamie - kawa jest w dzbanku, a owsianka stoi na stole.

- Przecież nie będę jadła sama - zaprotestowała Kit.

- Justinie? - Zapytał Jamie.

- W takim razie dla mnie to samo. Przynieś, proszę, chleb, sam zajmę się tostami.

Kit czuła się niezręcznie, pozostawiając mężczyznom całą robotę, więc naląła resztkę kawy i postawiła wodę na nową. Nie

umiała się powstrzymać od zerkania w kierunku Justina; cieszyła się z jego obecności.

Gdy zasiedli do śniadania, rozmowa potoczyła się swobodnie. Jamie zakomunikował, że widział w wiadomościach telewizyjnych relację z uroczystego otwarcia w Dublinie biurowca zaprojektowanego przez Justina.

- Pracuję nad nowym gmachem, który ma stanąć w Londynie - powiedział Justin, po czym wdał się w interesujący wywód o najnowszych rozwiązaniach architektonicznych, mających na celu nie tylko zapewnienie właściwych warunków pracy, lecz także maksymalnego bezpieczeństwa. W pewnym momencie chwycił ołówek i na serwetce naszkicował z grubsza sylwetkę biurowca. - Widzisz, Kit - tłumaczył, wskazując kluczowe miejsca na rysunku - gdyby zaszła taka konieczność, miałabyś możliwość zejścia na dół po zewnętrznej ścianie.

- To wspaniały projekt, Justinie, naprawdę wyjątkowy - zapewniła entuzjastycznie i odważyła się popatrzeć mu prosto w oczy. Odwzajemnił jej spojrzenie i Kit nagle poczuła więź z tym niezwykłym mężczyzną. Zarumieniła się i wiedziała, że on to widzi. To sprawiło, że jeszcze bardziej się spieszyła. Pośpiesznie odwróciła wzrok i skupiła się na rysunku. - Muszę powiedzieć, że znajomość z tobą to prawdziwy powód do dumy. Niewielu architektów tak bardzo troszczy się o bezpieczeństwo ludzi. Myślę, że to, co robisz, jest wspaniałe.

- Dziękuję. Miło to słyszeć. - Wyciągnął rękę i zmiął serwetkę. -
Chcesz jeszcze kawy czy będziemy się zbierać?

- Może powinnam poczekać, aż Mike wróci ze szkoły.

- To nie będzie konieczne - wtrącił Jamie. - Douglas może
równie dobrze przywieźć go do domku nad morzem.

Uśmiechnęła się słabo. Czowała na sobie spojrzenie Justina.
Odniosła wrażenie, iż wstrzymuje oddech. Czy to możliwe, by się
obawiał, że może się rozmyślić?

Nie musiał się niepokoić: nie zamierzała zmieniać zdania. Zdała
się na ślepy los; czuła, że gna ją przeznaczenie. Odsunęła krzesło od
stołu i wstała.

- W takim razie pójdę na górę po bagaż.

- Nie musisz się spieszyć - powiedział Justin. Pakowanie nie
zajęło Kit dużo czasu, mimo że Mike zdołał porzucić swoje
rzeczy.

Jeszcze mogę się wycofać, pomyślała. Mogę zabrać bagaże,
zejść na dół, pożegnać się z Justinem i Jamiem, pojechać po Mike'a
do szkoły i dalej ruszyć swoją drogą.

Mogliby opuścić tę część Irlandii.

Czy rzeczywiście byłaby do tego zdolna? Czy potrafiłaby
zmusić się do wyjazdu? Na zawsze rozstać z Justinem? Już nigdy go
nie zobaczyć? Nie - to jedyna odpowiedź na wszystkie te pytania.
Emocje, jakie w niej wywoływał Justin, okazały się zbyt silne, aby
mogła je stłumić i o nich zapomnieć.

Usłyszała odgłos kroków na schodach. W przyływie paniki chwyciła bagaże i wybiegła na korytarz: nie chciała zostać sam na sam z Justinem. Nie jego się obawiała; to siebie nie była pewna.

- Dajesz sobie radę, Kit? Może ci w czymś pomóc? - usłyszała głos Jamiego.

- Tak, dziękuję. Jeśli chcesz, to weź torbę Mike'a... Jamie chwycił jej walizę. Bała się, że okaże się dla niego zbyt ciężka, zanim jednak zdążyła zejść na półpiętro, starszy pan już wchodził na górę, gotowy znieść także torbę chłopca.

Wkrótce bagaże znalazły się w samochodzie.

- Jamie... - zaczęła Kit, chcąc serdecznie podziękować za wspaniałą gościnę, lecz Jamie jej przerwał, mówiąc:

- Będziemy się widywali, panienko, jeszcze nieraz. Nie martw się o chłopca: Douglas będzie po niego przyjeżdżał i odwoził go do domu.

- Do zobaczenia - rzucił Justin. Stał przy samochodzie Kit, po stronie kierowcy.

- Jak tu dotarłeś? - spytała Kit, nie widząc nigdzie wozu Justina.

- Molly mnie podrzuciła. Jedźmy już, Kit.

Jamie podszedł i otworzył przed nią drzwiczki od strony pasażera, lecz Kit - nie zamierzając bynajmniej zachować się niegrzecznie - nie zwróciła na to uwagi, pochłonięta jedną myślą.

- Justinie O'Niall, kazałeś jej się tu przywieźć, prawda? Jesteś cholernie pewny siebie!

- Och, Kit! Daj spokój. Czy możesz wsiąść do samochodu?

Patrzyła na niego, nie ruszając się z miejsca. Westchnął zrezygnowany.

- Katherine, gdybyś nie zdecydowała się przeprowadzić, Molly by po mnie przyjechała.

- Ja wynajęłam samochód, ja go poprowadzę.

- Kit, proszę...

- Powiedziałam, że poprowadzę.

Uniósł ręce w geście rezygnacji i obchodząc auto, rzekł do Jamiego.

- Niech nas wszyscy święci bronią przed głupcami... i kobietami.

- Wściekły zajął miejsce dla pasażera.

Kit zapuściła silnik. Pomachała na pożegnanie Jamie-mu, a Justinowi rzuciła cierpkie:

- Słyszałam!

- Cóż, taka jest prawda. Chciałaś prowadzić, więc prowadź.

Zatrzasnęła drzwiczki z taką furją, że Jamie odskoczył jak oparzony. Chciała go przeprosić, ale uznała, że to zabrzmiałoby jak przyznanie się do winy, postanowiła więc ograniczyć się do ostrożniejszego postępowania przy manewrowaniu samochodem na niedużym podwórzu.

- Sama nie wiem, co robię - wymamrotała.

- Nigdy nie wiedziałaś. - Justin jej nie oszczędzał.

- Jeśli to jest twój sposób na uwodzenie kobiet, to niewiele uzyskasz.

- Ach, racja, znów zachowuję się jak Irlandczyk.

- Nie, raczej jak sierżant.

- Szczerze mówiąc, Kit, to nie ja zacząłem. Nie powiedziałem ani jednego przykrego słowa. To ty prowokujesz kłótnie.

- Nie, to ty zacząłeś. Za dużo sobie pozwalasz.

- Ja za dużo sobie pozwalam! Daj mi wreszcie spokój, Katherine! Niech to szlag! - wykrzyknął Justin ze wzrokiem utkwionym w szosę.

Kit zorientowała się, że pędzi prosto na jadącą w przeciwnym kierunku ciężarówkę. Skreśliła gwałtownie, zatrzymując się na poboczu. Puściła kierownicę i ukryła twarz w dłoniach. Gdyby znajdowali się bliżej granitowego klifu, nie zdołałaby uniknąć czołowego zderzenia.

Nie miała odwagi spojrzeć na Justina. Spodziewała się, że ją zwymyśla, zmiesza z błotem. Nic podobnego nie

nastąpiło. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest roztrzęsiona, dopóki nie poczuła, że Justin odejmuje jej dłonie od twarzy, zmuszając, by na niego spojrzała.

- Mogę poprowadzić? - zapytał miękko. - Oboje jesteśmy podenerwowani. - Uśmiechnął się smutno - Ja przynajmniej znam tutejsze drogi.

Kit w milczeniu otworzyła drzwiczki i wysiadła z samochodu. Justin przesiadł się na miejsce kierowcy, a ona obesła auto. Gdy wsiadła, silnik znów pracował.

W milczeniu wjechali na szosę. Z czasem cisza stała się coraz bardziej dokuczliwa, pełna napięcia. Kit zerknęła na swoje ręce: wciąż drżały. W końcu Justin przerwał milczenie.

- Przeczytałem twoją książkę o Nassau.

- Naprawdę?

Skinął głową, nie odrywając wzroku od szosy.

- Szczerze mówiąc, mam wszystkie twoje książki.

- Serio?

- Bardzo mi się podobają.

- No cóż - bąknęła Kit - to są raczej specjalistyczne tytuły. Piszę je z myślą o turystach, którzy szczególnie interesują się historią, to nie są książki dla amatorów plaż czy hazardu.

- Sądzę, że wielu ludzi chciałoby poznać historię kraju, który zwiedzają.

- Mam nadzieję.

- Zamierzałaś dzisiaj pracować? Kit zawahała się.

- Chciałam pojeździć trochę po okolicy, chłonąć klimat tego miejsca. Po południu planowałam poczytać.

- A co byś powiedziała na to, żebyśmy pojechali do pubu na lunch, a potem odwiózłbym cię do domku jeszcze przed powrotem Mike' a?

Zerknął w jej kierunku; uśmiechał się. Kit skinęła głową, ogarnięta nagłym uczuciem wdzięczności za tę spontaniczną rozmowę, za ten powrót do normalności.

- Lunch to dobry pomysł.

Gdy odwróciła głowę z powrotem w stronę okna, zauważyła, że krajobraz zdążył się już zmienić. Zbliżali się do wybrzeża. Szmaragdowozielone pola znikły, a zastąpiły je kamienie i skalne urwiska. Zerwał się wiatr. Polne kwiaty przeplatały się z nieregularnymi połaciami trawy płożącej się na skalistej ziemi. Powietrze było przesycone zapachem soli

Zbliżali się do domku.

Justin zatrzymał samochód. Kit nerwowo zacisnęła dłonie na kolanach, wpatrzona w niewielki domek. Widziała go zaledwie wczoraj, gdy przyjechała pokazać Mike'owi urwisko. A jednak dużo się zmieniło: wczoraj nie chciała nawet wejść do środka, dzisiaj zamierza w nim zamieszkać.

Justin wysiadł z samochodu, zatraskując za sobą drzwi. Poszedł otworzyć domek, a Kit z trwogą pomyślała, że otwiera go sam, mimo iż dał jej klucz.

Jako właściciel ma zapasowy, zreflektowała się szybko; nie mogła Justinowi zabronić wstępu do jego własnego domu tylko dlatego, że przejściowo ona w nim zamieszka.

Wrócił do samochodu i otworzył bagażnik. Wziął walizkę i podszedł do Kit.

- Wszystko w porządku?

Skinęła głową.

- Czy wspomnienie Michaela nie jest... zbyt natarczywe?

Zawstydzona, spuściła głowę. Ani przez chwilę nie myślała o Michaelu; jedyne, co wspominała, to ostatnią noc spędzoną w tej chacie.

- Nie.

Wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę domku. Nie umknęły jej uwagi przepiękne, polne kwiaty rosnące wokół.

Kit weszła do środka i w tym momencie odniosła wrażenie, że czas się zatrzymał. Poczwała się jak u siebie, tak dobrze znała to wnętrze! Kuchnia na prawo, salonik na lewo. I schody prowadzące do sypialni na górze.

Justin stał tuż za Kit, lekko napierając. Musiała się przesunąć, więc weszła do saloniku. Na przykrytym koronkowym obrusem stole stała wspaniała kompozycja ze świeżych kwiatów, a w kominku palił się ogień, ogrzewając wnętrze i nadając mu przytulny wygląd.

Kit podeszła do paleniska i wysunęła rękę, by poczuć ciepło płomieni. Nie tyle chciała się ogrzać, co uspokoić. Drżała na całym ciele. Była zarazem podniecona i przestraszona.

Justin stał za krzesłem, zaciskając palce na oparciu.

- W lodówce znajdziesz mleko, masło, parę jajek, bekon i chleb. Niewiele, ale na początek wystarczy.

- To takie miłe z twojej strony. Jedzenie, kwiaty... ogień na kominku. Naprawdę miłe.

- Cóż, kwiaty ja zamówiłem, ale za jedzenie musisz podziękować Molly.

- Aha... Tak czy inaczej jestem przyjemnie zaskoczona.

- Czyli że nie postąpiłem jak zarozumialec? Przytaknęła, cały czas odwrócona do niego plecami.

- Cóż, jesteś niezwykle pewny siebie, to prawda. Ale i tak dziękuję.

- Napijemy się czegoś? Herbaty?

- Nie! - obróciła się, przerażona.

Gdy ich oczy się spotkały, zrozumiał, co powiedział, i uśmiechnął się, potrząsając głową.

- Zwykłej herbaty, Kit.

Zakłopotana, spuściła wzrok. Zapadło niezręczne milczenie.

- Justinie, osiem lat temu - powiedziała w końcu Kit - Michael zginął na urwisku i zamordowano młodą dziewczynę. Teraz ty jesteś oskarżony o morderstwo... - dodała, spoglądając na Justina. - Wiem, że tego nie zrobiłeś i...

Nie dokończyła, ponieważ Justin stanął tuż obok niej, jedną rękę oparł na jej ramieniu, drugą zaś ujął podbródek, unosząc go delikatnie. Patrzyli sobie prosto w oczy.

- Katherine, nie wolno ci się o mnie martwić. Jestem niewinny, a pragnę, byś była tutaj, niedaleko mnie, bo przecież ktoś inny jest mordercą. Nie chcę, żeby stała ci się krzywda. Odkryję prawdę; obiecuję...

- Justinie...

Niespodziewanie poczuła na wargach jego usta. Jedno muśnięcie sprawiło, że jej serce zabiło mocniej. Niemal bezwiednie przywarła do

Justina, a on, ogarnięty pożądaniem, obsypał jej twarz i szyję czułymi pocałunkami, po czym wrócił do jej ust i wziął je w posiadanie.

Na tę chwilę czekał osiem lat. Całą wieczność.

Przez dzielące ich ciała ubranie - jej leciutką bluzkę i własną, bawełnianą koszulę - czuł jej piersi wsparte o tors. Czuł, jak stwardniały jej sutki, i miał wrażenie, że zaraz eksploduje. Pożądanie sięgało zenitu, sprawiając niemal ból. Wiedział, że powinien ją puścić, że powinien się wycofać, przywrócić dystans. Albo...

- Och...

To był najbardziej zmysłowy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszał. Wycofał się, lecz tylko o pół kroku i na nie dłużej niż sekundę. Nie potrafił jednak przerwać tego, co zaczął. Jedynym, co miało jakiegokolwiek znaczenie, była namiętność, która połączyła ich już przed laty. Przyszło mu nagle do głowy, że to coś więcej niż pożądanie. Gdy patrzył na Kit, gdy jej dotykał, gdy czuł jej zapach, ogarniała go fala czułości silniejszej niż wszystkie znane mu emocje.

- A teraz...

Piękne, rozrzucone w nieładzie włosy stanowiły niebanalną oprawę dla oczu Kit, świecących magicznym blaskiem. Miała smukłą szyję, na której wdzięczną linią rysowały się pulsujące tętnice. Zwilżył wyschnięte wargi; czuł drżenie każdego mięśnia swojego ciała.

- Lunch... - szepnęła, mimo iż jej lekko rozwarte usta zdawały się być zupełnie nieruchome.

Nie odrywała od twarzy Justina tęsknego spojrzenia; słodkie, wilgotne wargi błagały o kolejny pocałunek. Widział jej falujące piersi, unoszące się i opadające w rytm przyspieszonego oddechu. Na policzku czuł ciepło oddechu.

To nie może się dziać naprawdę, pomyślała Kit w przebłysku świadomości. Nie mogła się poruszyć; uprzytomniła sobie, że niczego nie pragnie mocniej niż tego, by Justin okazał się tak pewny siebie i arogancki, jakim go zapamiętała. Modliła się, by znów poczuć dotyk jego rozgrzanych dłoni.

- Lunch - powtórzył.

Głęboki baryton jego głosu brzmiał ochryple, musiała jednak zauważyć, że Justin zachowuje więcej przytomności niż ona.

Przywarł wargami do jej ust. Miała wrażenie, że oszaleje, jeśli Justin nie ukoi jej pieczętą rąk.

I wtedy uśmiechnął się i powoli, pewnym ruchem wyprostował ramię, przesunął palcami po jej lśniących włosach i przyciągnął. Kit ku sobie. Musnął wargami jej czoło i szepnął:

- Kogo my chcemy oszukać?

Kiedy ich usta zwały się w namiętym pocałunku, miała ochotę krzyknąć: tak silne było pragnienie, które w niej rozbudził.

Rozkoszowała się każdym ruchem jego języka, poznając smak prawdziwej namiętności.

Poczuła, jak jedną ręką sięga pod jej bluzkę i gładzi nagie, gorące ciało. Jej skóra zdawała się płonąć pod tym dotykiem. Potem

poczuła, jak wędruje ku piersiom, obejmuje je, pieści przez koronkowy biustonosz.

Następnie wziął ją w ramiona, przeniósł i postawił na miękkim dywaniku przed kominkiem. Uśmiechając się, ułożył jej włosy wokół ramion. Chciała go pocałować, lecz umknął jej wargom. Odsunął się i zaczął rozpinać prążkowaną koszulę, a gdy przemówił, jego głos brzmiał ochryple.

- Nic nas nie dzieli, Kit. Ani chemia, ani siła, ani udawanie.

Nie mogła mówić, lecz przytaknęła ruchem głowy. Poczowała nieodpartą chęć dotykania, pieszczenia, poznawania jego ciała. Wyciągnęła dłoń ku prężnym mięśniom i kręconym, czarnym włoskom na torsie, zafascynowana męskim ciałem. Myli się, pomyślała. Także i tym razem była pod wpływem chemii: nic na ziemi nie działało na nią równie silnie, jak widok i dotyk Justina.

Mruczając, zrzucił buty, zsunął skarpety, by wreszcie sprawnym ruchem zdjąć dzinsy. Spojrzał na Kit, nie kryjąc zdziwienia: nie mógł uwierzyć, że jeszcze jest ubrana.

Wspaniałe ciało, pomyślała Kit, smukłe i umięśnione, fascynujące. Nie trudno było zauważyć, jak bardzo jej pożąda.

— Katherine...?

W jego głosie brzmiały zarówno pytanie, jak i wymówka, lecz było w nim również tyle czułości, że natychmiast stopniała. Nikt nigdy nie wypowiedział jej imienia w taki sposób. W jego ustach zabrzmiało jak zmysłowa pieszczota.

Podszedł do niej, zsunął jej buty i jednym zdecydowanym ruchem zerwał spódnicę, a w ślad za nią pończochy i figi. Na nagiej skórze poczuła jego gorące ręce. Omdlewając z rozkoszy, ledwie zauważała, jak sięga, by rozpiąć jej bluzkę. Niespodziewanie zatrzymał się, zafascynowany jej kolanem. Okrył je pocałunkami, lecz nie poprzestał na tym, kierując spragnione wargi coraz wyżej, ku jej udom. Gwałtowny przypływ pożądania kazał jej zerwać bluzkę i przyłgnąć do rozpalonych ramion mężczyzny.

Justin rozpiął Kit biustonosz i uwolnił piersi, które spoczęły w jego dłoniach jak wspaniałe, dojrzałe owoce. Całował je i pieścił, a ona, ogarnięta pożądaniem, drżała. To nie mogło dziać się naprawdę. Tak cudownie się czuła w jego ramionach, bez reszty oddając się namiętności.

Czuła, że to najwspanialszy moment jej życia, coś niepowtarzalnego, jedyne w swoim rodzaju. Zdawało się, że znają się od zawsze, że nigdy się nie rozstawali, że są dla siebie stworzeni.

Justin nie mógł się nadziwić pięknu jej włosów, temu, jak jedwabistą falą opadają na ramiona. Rozkoszował się jej zapachem, delikatną skórą, ciepłem pełnych piersi, linią łydek i zmysłową obłóścią ud.

To, że się teraz kochali, Justinowi zdawało się cudem. Kit oblizywała schnące wargi i przymykała pełne namiętności oczy. Gdy się połączyli, pojął, że ich ciała wspaniale się dopełniają. Byli jak dwie połówki całości. Ich spojrzenia, roziskrzone i pełne nadziei, spotkały się ponownie. W jej oczach wyczytał, że pragnie go równie

mocno, jak on jej; wiedział, ile może ją kosztować podobna szczerość i umiał to docenić.

Nie potrafiła mu się oprzeć. Musiała go dotykać i głaskać. Gdy się w niej poruszał, przywierała mocno do jego torsu, czując rozkosz tak wielką, że prawie nierealną. Nie spuszczała z niego wzroku: musiała widzieć jego twarz, zaciśnięte zęby i napięte mięśnie. Ich ciała zwały się w ekstatycznym spełnieniu. Zamroczona kulminacyjnym, najintensywniejszym przyływem rozkoszy, Kit wykrzyknęła ochryple jego imię, by zaraz - wyczerpana - z powrotem opaść na poduszki.

Jeszcze długie minuty tkwił w niej, czerpiąc słodycz z tego magicznego połączenia. Byli tak blisko, jak tylko kobieta i mężczyzna mogą być. Zmęczeni, lecz szczęśliwi patrzyli sobie prosto w oczy. Kit uśmiechnęła się nieśmiało i czule pogładziła Justina po twarzy.

Ujął jej dłoń, ucałował i przytulił do policzka.

- Musisz mi coś obiecać, Katherine.

- Co takiego?

- Że nie uciekniesz... tak jak wtedy. Zresztą tym razem i tak cię odnajdę.

Obawiała się samej siebie: czuła, że może się rozplakać ze szczęścia.

- Przysięgam - powiedziała. Czuła na sobie jego uporczywe spojrzenie. - Czy nadal... czy nadal chcesz iść na lunch?

Nie zaśmiał się; złożył na jej ustach czuły pocałunek.

- Nie, maleńka, nie chcę lunchu. Chcę czasu. Czasu spędzanego z tobą. Musimy odrobić te wszystkie stracone lata.

Scandalous

ROZDZIAŁ 7

Justin leżał wygodnie wyciągnięty, wsparty na dwóch wielkich poduszkach, pod głowę wsunął ramię. Przez na wpół przymknięte oczy obserwował Kit.

Od dnia przeprowadzki do domku nad morzem minął tydzień. Tydzień, w czasie którego byli niemal nierozłączni. Ze względu na Mike'a zachowywali się niezmiernie dyskretnie. Oboje mieli też obowiązki zawodowe, o których nie dało się zapomnieć. Mimo to ani jeden dzień nie minął bez spotkania, bez chwil czułości i namiętności, które tak silnie ich ze sobą związały.

Ten tydzień był prawdziwym odkryciem. Dzięki cichej umowie nie podjęli żadnego z drażliwych tematów, które mogłyby zniszczyć magię tego, co się między nimi zrodziło. Nawet gdy Justin pokazywał Kit dodatkowe zamki i zasuwy w okiennicach, żadne z nich nie wspomniało o tym, dlaczego tak ważne były dobre zabezpieczenia. Dzięki specjalnie zainstalowanemu systemowi bezpośrednich połączeń telefonicznych Kit za pomocą czterech przycisków natychmiast nawiązywała kontakt z Justinem, posterunkowym Liamem O'Gradym, Barneyem Canailem, a także z Jamiem Jamesonem.

Nie rozmawiali o przeszłości, jedynie o teraźniejszości.

Kit nie zdecydowała się na zwierzenia, a on nie nalegał. Oboje podświadomie obawiali się, że mogłyby zakłócić to, na co tyle lat czekali.

Czasami Justina ogarniała osobliwa rezygnacja i wtedy lubił patrzeć na Kit. Tego wieczora powróciła melancholia. Spotykali się codziennie, ale tylko dwa razy znaleźli chwile tylko dla siebie.

I wreszcie nadeszła dzisiejsza noc.

Mike wyjechał na szkolną wycieczkę. Justin zdawał sobie sprawę, że Kit nie przyszło łatwo wypuścić go spod matczynych skrzydeł, zresztą sam również wahał się, czy to słuszna decyzja. Dzieci były jednak pod wyśmienitą opieką: oprócz kierującego grupą Douglasa Johnstona pojechała z nimi Molly, a także Barney Canail, który na czas nieobecności mianował zastępcę.

Zostali więc sami. Całkiem sami. Nie planowali nic wielkiego, ot, cichy, spokojny wieczór przy kominku, jak stare dobre małżeństwo. Justin przyniósł kwiaty i wino, a Kit przygotowała wyśmienitą pieczeń wołową z ziemniakami posypanymi świeżą pietruszką i sałatkę. Zjedli kolację przy świecach. Pod stołem ich kolana spotykały się raz po raz, jej drobna stopa mimo woli ocierała się o jego kostkę, a jego palce głaskały jej dłoń. Kit śmiała się dużo, lecz dość nerwowo, czym dodatkowo pobudzała pożądanie Justina. Przy akompaniamencie delikatnej muzyki Vivaldiego rozmawiali o filmach, sztukach teatralnych i muzyce. Z niekłamaną radością odkryli, że mają niemal identyczne upodobania. Doceniali też swobodę, z jaką mogli dyskutować.

Kit miała na sobie jedwabną, długą do kostek, skromną, lecz niezwykle elegancką suknię - fioletową z niebieskimi wykończeniami. Delikatny deseń zdobił dekolt i mankiety. Suknia wspaniale

podkreślała kolor jej włosów i oczu. Przy tak pięknej i pociągającej kobiecie Justinowi z trudem przychodziły najprostsze czynności, choćby takie jak otwieranie butelki wina; granie roli dżentelmena graniczyło niemal z cudem.

Po kolacji był u kresu wytrzymałości. Gdy Kit zaproponowała, by napili się kawy przed kominkiem, zdecydowanym ruchem zatrzymał ją, sugerując odłożenie picia kawy na później. Kit okryła się rumieńcem i onieśmielona spuściła wzrok. Rzęsy zakryły błękit jej oczu i pod byle pretekstem uciekła na górę, do sypialni.

Gdy po chwili poszedł za nią, zastał ją siedzącą przed toaletką i szczotkującą włosy. Mijały minuty, a Kit nadal się czesała. Nie miała już na sobie jedwabnej sukni; ubrana była w błyszczącą, fiołkoworóżową koszulkę, która więcej odkrywała, niż zakrywała. W pokoju paliła się jedynie mała lampka, lecz nawet mimo półmroku Justin widział jej piersi falujące zgodnie z rytmem ruchu rąk. Były wspaniałe, pełne i kragłe, jędrne i w najcudowniejszym z odcieni różu, jaki kiedykolwiek widział. Skóra, której fiołkowy odcień koszulki dodał wdzięku i tajemniczości, wydawała się miękka niczym aksamit.

Dosyć, zdecydował Justin. Zaczął pospiesznie zrzucić z siebie ubranie, ciskając je bezładnie w kąt pokoju. Gdyby Kit nie wstała i nie przysłała do łóżka, rzuciłby się na nią jak oszalałe z głodu zwierzę.

Uśmiechnął się na wspomnienie ich pierwszego spotkania: biegła po wrzosowiskach odziana w cieniuteńką, białą koszulkę. Niemal uwierzył, że jest urzeczywistnieniem jego najskrytszych

marzeń i fantazji, młoda i niewinna, jakby zrodzona z delikatnej mgiełki. Nie potrafił zapomnieć jej oczu: wielkich, pełnych lęku, wilgotnych od łez. Potem, naturalnie, znaleźli Michaela.

Wszystko, co wydarzyło się później, nosiło silne znamiona tragikomedii. Nie miał zamiaru się zakochać. Był O'Niallem - ponosił konsekwencje, wynikające z noszenia tego nazwiska i odpowiedzialność z racji tytułu. Być może miał poglądy nieco staroświeckie, niemniej jednak musiał pamiętać o zamku, o rodzinnej ziemi, o dziedzictwie krwi. Skończył dwadzieścia osiem lat i był o dziesięć lat starszy od Kit, za dużo jak na związek z osiemnastolatką, nawet jeżeli była już wdową.

Kit, zagubiona i zraniona, nie potrafiła się odnaleźć w nowej sytuacji; jedyne, czego pragnął, to okazać jej trochę ciepła, życzliwości, przyjaźni. Przez pewien czas mu się to udawało, lecz nie sposób długo oszukiwać serca. Jak trudno wracać do przeszłości...

Dlaczego mnie opuściłaś? - chciał zapytać. Dlaczego wróciłaś?

Nie miał zamiaru się zakochać. Ani wtedy, ani teraz. Minęło osiem lat, w czasie których pozostał wolnym mężczyzną, nie związał się z nikim, jakby przeczuwając, że Kit do niego wróci. Żadnej kobiety nie pragnął równie mocno jak jej; nigdy nikomu nie chciał się poświęcić tak jak Kit, bez reszty. Pragnął trzymać ją w ramionach, poznać najskrytsze tajemnice jej duszy, słyszeć śmiech; była jedyną kobietą, przy której pragnął się budzić co rano, dzień w dzień, przez całe życie. Gdy po latach ujrzał ją na cmentarzu, zrozumiał, że nic się nie zmieniło: nadal potrzebował jej bliskości.

Rozumiał, dlaczego go zostawiła. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo kochała męża. Była jednocześnie zbyt młoda i niedoświadczona, by pogodzić się z myślą, że wdowa także ma prawo do uczuć - nawet do pożądania. Nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek będzie mogła z czystym sumieniem związać się z innym mężczyzną - pragnąć innego mężczyzny.

To prawda: zostali otumanieni jakimś specyfikiem. Wiedział, że tak było. Jednak to odkrycie nie poruszyło nim tak, jak wstrząsnęło Kit. Wierzył, że herbata miała dać dziewczynie chwilę zapomnienia, przynieść ulgę w cierpieniu.

Zacisnął palce; leżał z głową wspartą na ramieniu i obserwował czeszącą się Kit. Siedziała przed lustrem, ze wzrokiem utkwionym we własnym odbiciu, lecz był pewien, że nic nie widzi. Bezwiednie przeciągała szczotką po włosach i Justin zaczął się zastanawiać, czy ona także rozpamiętuje przeszłość i wyobraża sobie przyszłość.

Prawie się nie zmieniła. Wdzięk podlotka zastąpił powab młodej kobiety z klasą. W dalszym ciągu nosiła długie włosy, teraz jednak rozjaśniła je nieznacznie drobnymi, wdzięcznymi pasemkami. Stała się niezależna; mieszkała w Nowym Jorku. Ale jej oczy...

Były nadal takie same: piękne, niewinne, egzotyczne. Mogły lśnić, mogły pieścić. Przypominały niebiańskie firmamenty, głębokie i szczerze; a przecież wiedział, że kłamią. I to bolało, Boże, jak bolało!

Nieznacznie zmieniła pozycję. Obcisła koszulka rozbłysła w wątlym świetle, eksponując kształty Kit tak zmysłowo, że Justin wydał z siebie głuchy jęk, zrzucił koc i poderwał się na nogi.

Zaalarmowana niespodziewanym ruchem podniosła wzrok, by spotkać w lustrze jego spojrzenie.

Uśmiechał się, ale nie wyglądał przyjaźnie. W jego oczach dojrzała coś jakby cień groźby: ostrzegał, że nie wytrzyma dłużej tortury, na jaką go nieświadomie wystawiła.

- Justinie...

Oparł dłonie na jej ramionach. Nachylił się i przywarł ustami do jej ciała, muskając końcem języka miękką skórę. Całował szyję, zostawiając wilgotne ślady. Czuł, jak Kit drży i słyszał coraz szybszy oddech - to wystarczyło, by wzbudzić reakcję jego własnego ciała.

Ich oczy ponownie spotkały się w lustrze: promieniały szczęściem. Dłonie Justina pieściły jej ramiona, potem zeszły niżej, jeszcze niżej - aż wreszcie odnalazły i okryły piersi. Twarz Kit natychmiast oblała się rumieńcem, lecz nie potrafiła oderwać wzroku od jego oczu w lustrze. Kciukiem drażnił jej sutki, które twardniały pod seksowną koszulką. Odrzuciła głowę do tyłu, opierając ją o jego tors i pozwalając włosom opaść w nieładzie na jego rozpalone ciało; porwany nagłą falą pożądania, Justin wydał z siebie pełen tęsknoty jęk.

- Co robisz? - zdołał spytać, widząc, że Kit przestaje reagować.

- Ja... Myślę, że powinniśmy porozmawiać - szepnęła w odpowiedzi.

- A nie możemy porozmawiać później?

-Ja...

Nachylił się, by chwycić wargami sterczący, schowany pod delikatną tkaniną sutek. Łagodnymi, zmysłowymi ruchami języka drażnił coraz twardszą brodawkę. Kit, początkowo niezdecydowana, szybko dała się porwać pożądaniu.

- Ja... Och...

Odwróciła się ku niemu, a gdy podniósł głowę, przywarła wargami do jego ciała, pokrywając pocałunkami tors i brzuch. Targany niewypowiedzianą rozkoszą drżał, gdy dotykała jego spragnionego ciała gorącym, wilgotnym językiem. Przeczesał palcami jej włosy. Każdy jego mięsień płonął pożądaniem.

- Katherine...

Kit zmysłowa i prowokująca, przełamywała wszelkie bariery intymności. W końcu Justin dotarł do kresu wytrzymałości i powtarzając jej imię, zaczął z niej zrywać satynową koszulkę. Usiłowała się bronić, protestując bezsilnie.

- Kupiłam ją specjalnie dla ciebie! Chciałam wyglądać kusząco i...

- Udało ci się - uciał krótko i fiołkoworóżowa koszulka wylądowała na podłodze.

Przywarł wargami do jej ust, chciwie spijając z nich słodycz. Ich ciała leżały zespolone w namiętym uścisku, a ręce błędziły po nich gorączkowo. Kit nie pamiętała, jak znaleźli się na łóżku: po prostu tam byli, on i ona, razem. Uwielbiała czuć jego bliskość, kochała jego męskie, prężne ciało, fascynowało ją, że tak idealnie do siebie pasują. Gdy się zespali, nie potrafiła powstrzymać krzyku: tak wspaniale

było czuć, jak ją wypełnia, jak stają się jednością... Potem, gdy się w niej poruszał, straciła panowanie nad sobą: jedyne, czego pragnęła, to jego ruch, kolejna pieszczota, kolejny krok, aż do wspólnego, cudownego lotu w przestworza.

Kiedy całym swym jestestwem była bliska zaznania słodkiej eksplozji, on nagle się wycofał. Opuszczona i zagubiona pisnęła jak kociak. Justin ujął jej stopę i pokrył namiętymi pocałunkami, przesuwał językiem wzdłuż łydek, kolan i ud, coraz wyżej i wyżej, a ona wiała się, niezdolna zapanować nad pożądaniem. Kiedy ponownie wdarł się w samo serce jej miękkości, Kit poczuła dreszcz wstrząsający jej ciałem i szum w głowie, nie mogła złapać tchu. Cały świat wirował wokół niej, dając jej rozkoszne poczucie spełnienia i odprężenia. .

Justin przyglądał się jej, palcem gładząc po policzku. Uśmiechał się, wprawiając ją w zakłopotanie. Złościło ją, że jest taki pewny władzy nad nią, że jest świadom swojej mocy.

Przymknęła oczy, przysłaniając je pięknymi, długimi rzęsami. Nadal miała przyśpieszony oddech, a jej serce waliło jak oszalałe. Wiedziała, że się rumieni, i bardzo ją to irytowało.

- Torturujesz mnie - poskarżyła się.

- Ja?!

- Ty... ty... To, co zrobiłeś... Ja już... Wybuchnął śmiechem i po raz kolejny musiała przyznać, że uwielbia ten dźwięk.

- Ja! - powtórzył. - Siedziałaś z tą cholerną szczotką chyba z pół godziny.

- Tylko dziesięć minut.

- A później, kiedy bliski eksplozji podszedłem do ciebie, ty odwróciłaś się i zaczęłaś... rozpałałaś mnie tak, że nie mogłem dłużej wytrzymać.

- Nie podobało ci się?

- Byłaś wspaniała i odpłaciłem ci pięknym za nadobne. -

Zmarszczył czoło i zapytał: - A tobie się nie podobało?

Otworzyła usta ze zdziwienia, zawahała się, po czym uśmiechnęła i odparła:

- Bałam się, że nie wrócisz.

Przysunął się bliżej i czule ucałował usta Kit. Przytuliła się, niemal ginąc w jego szerokich ramionach. Bawiła się czarnymi, kręconymi włosami, które czyniły jego tors jeszcze bardziej fascynującym. Przez kilka minut leżeli przytuleni do siebie, milcząc. Kit nie chciała psuć tak wspaniałej chwili. Pragnęła udawać, że wszystko jest w porządku, że nie dzielą ich żadne tajemnice.

W końcu odezwała się.

- Justinie?

- Hm?

- Musimy porozmawiać.

- Owszem, musimy.

Czuła na sobie jego uważne spojrzenie, nie rozumiała jednak, czemu tak się jej przygląda. Uniosła się, opierając o jego tors, by móc patrzeć mu prosto w oczy – ciemne i nieodgadnione.

Była w nim zakochana, ale nie wiedziała, czego od niej oczekuje. Przeczuwała, że on również kryje przed nią jakieś tajemnice.

Ułożyła się wygodnie z podbródkiem opartym na dłoniach.

- Justinie, kiedy byłam tu poprzednim razem, cały czas miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. - Ponownie uniosła głowę. - Jak gdyby drzewa miały oczy. Jak gdyby ktoś chciał poznać... każdy mój krok.

Nie podobał jej się wyraz jego twarzy. Uśmiechał się pobłaźliwie jak do dziecka o zbyt bujnej wyobraźni.

- Drzewa?

- Do diabła, dobrze wiesz, o co mi chodzi! Westchnął.

- Nie, Kit, nie wiem. Zapewniam cię, że kiedy chciałem się z tobą zobaczyć, przychodziłem tutaj, nie szpiegowałem cię!

- Wcale tego nie powiedziałam.

- Kit, miałaś ciężkie przeżycia. Twój mąż dopiero co zmarł.

- Ale od tego nie zwariowałam! Ponownie westchnął.

- Dobrze, niech ci będzie. Ktoś cię obserwował. Do czego zmierzasz?

- Nie wiem.

Wściekła, odwróciła się do niego plecami i usiadła na łóżku, rozglądając się za swoją koszulką. Gdy ją włożyła, z hukiem otworzyła drzwi do łazienki w poszukiwaniu szlafroka. Justin obserwował jej szamotaninę z wyrazem chłodnej obojętności na twarzy. Zarzuciła szlafrok na ramiona, podeszła do okna i rozsunała

zasłony. Była czarna, bezksiężycowa noc, a niezmordowany wiatr nie przestawał wyć. Widziała krzewy jałowca i paprocie płożące się pod jego naporem niczym wątłe źdźbła trawy. W oddali, poza zasięgiem wzroku, rozszalałe fale rozbiły się o skalisty klif.

- Kit? - zaczął w końcu miękkim głosem. Nie poruszył się, cały czas obserwując ją z łóżka.

Pogrążona w myślach, nie odwróciła się od okna.

- Co?

- Nie zamierzałem cię rozzłościć. Ty wtedy naprawdę byłaś młoda i bardzo nieszczęśliwa...

- Nie byłam ani głupia, ani chora psychicznie. Zawahał się. Kiedy znów się odezwał, mówił cicho i spokojnie.

- Nie chcę, żebyśmy się kłócili, Kit.

Pokazała zęby w kąśliwym uśmiechu.

- Justinie, przecież ty nigdy nie brałaś poważnie tego, co mówię.

- Nieprawda, kochanie. Poza tym, to przecież ja jestem głównym podejrzanym.

Zamilkł, a ona niespodziewanie odeszła od okna i oparła się o łóżko.

- Justinie, coś się wtedy działo. Mam rację? Tamtej nocy, kiedy tu przyjechałam z Michaeliem, została zamordowana młoda dziewczyna, która utrzymywała, że jesteś ojcem jej dziecka. Tej samej nocy Michael zginął na urwisku. Twoim zdaniem spadł, a moim - został zepchnięty. Trzy miesiące później ktoś szperał po mojej kuchni i dosypał mi czegoś do herbaty, sprawiając, że cię uwiodłam...

- Kit, zbyt łatwo przekraczasz granicę między faktami a domysłami!

- Sam powiedziałeś, że...

- Zgoda, w herbacie coś było; coś, pod wpływem czego oboje straciliśmy kontrolę nad własnym zachowaniem. Nie sądzę jednak, żeby ktokolwiek chciał cię skrzywdzić. Ten ktoś chciał ci ulżyć w cierpieniu, ofiarować chwilę zapomnienia. Sama siebie posłuchaj! Przecież nikt nawet nie wiedział, że tam będę! Zresztą dokąd by cię to miało zaprowadzić?

- Do O'Nialla.

Oczy Justina raptownie pociemniały, dłonie zacisnęły się na pościeli.

- Myślałem, że już uwierzyła pani w moją niewinność, pani McHennessy.

- Nie przypisuj mi czegoś, czego nie powiedziałam!

- Chyba nie muszę; sama doskonale dałaś sobie radę.

- Ciężko z tobą wytrzymać! - powiedziała z wyrzutem, opierając się o zagłówek. - Przecież usiłuję ci pomóc...

- Tyle że ja nie potrzebuję pomocy, pani McHennessy, i będę wdzięczny, jeśli pani to zapamięta!

Złorzeczając, Kit odskoczyła od łóżka. Nie zakładając kapci, zbiegła na dół, do kuchni. Nalała sobie filiżankę kawy, która nie zdążyła jeszcze ostygnąć, i wlała do niej porządną porcję brandy. Była bliska płaczu. Wydawało się, że tak się do siebie zbliżyli...

Tymczasem on nic a nic się zmienił. Powinien się o nią troszczyć,

opiekować; powinien troszczyć się o samego siebie, chociażby przez wzgląd na nią. Dlaczego nie potrafiła do niego dotrzeć?

Gdy poczuła mocne, męskie ramiona niespodziewanie obejmujące ją w talii, nie potrafiła powstrzymać krzyku.

- Kit, to ja! Maleńka, nie chciałem cię przestraszyć, tylko przeprosić.

Odwróciła się twarzą do Justina. Tors miał nadal nagi, jedynie wokół bioder ciasno zawiązał biały ręcznik.

- Mogę się przyłączyć? - zagadnął. Nalał sobie kawy z brandy i westchnął ciężko: - Irlandzka whisky byłaby lepsza. - Posłał jej figlarny uśmiech, lecz go nie odwzajemniła.

Wszedł do salonu i odstawił kubek, by dołożyć drewna do kominka. Po chwili sięgnął po kawę i usiadł po turecku, rozkoszując się ciepłem płynącym z paleniska. Pokazał miejsce koło siebie i gestem zaprosił Kit.

Zawahała się, by w końcu usiąść sztywno i spuścić głowę.

- Nic więcej nie powiem, jeżeli nie zaczniesz brać poważnie tego, co mówię, Justinie.

- Biorę cię poważnie, Kit. Tyle że czasami zachowujesz się, jakbyś postradała zmysły.

- Wysłuchaj mnie, Justinie, proszę cię - zaklinała. - Myślę, że ktoś inny musiał oszaleć. W zamierzchłych czasach wy, O'Niallowie, byliście lokalnymi królami. Byliście politycznymi i religijnymi przywódcami. Kozłogłowy - w osobie O'Nialla - dostawał w ofierze dziewczinę, która miała dać mu syna. W następnym roku jego

oblubienica była rytualnie mordowana, a jej krew miała zapewnić żyzność ziemi.

- Kit, sama powiedziałaś, że to były zamierzchłe czasy.

- Znowu się złościysz.

- No cóż, nie bardzo lubię, gdy mi się ustawicznie przypomina, że moi przodkowie byli ludźmi zdolnymi do podobnych rzeczy!

- Zawsze się z tego śmiałaś.

- Rzeczywiście, czasami tak. Sama pomyśl: a gdyby wybrał bezpłodną dziewczycę?

- Znów się nabijasz.

- Maleńka, dopiero co narzekałaś, że się złościysz. Zdecyduj się.

- Justinie...

- Przepraszam, Kit. Po prostu w to nie wierzę. To nedorzeczne.

- Chciałaś, żebym wyjechała. - Zmieniła temat. - Dlaczego? I po co te wszystkie dodatkowe zamki? Boisz się czegoś, prawda?

- Oczywiście, że tak! - zachnął się. Zaczerpnął głęboki oddech i ze wzrokiem utkwionym w ogień sięgnął po kawę. - Kit, rekin, który zaatakował dziecko w pobliżu plaży, prawdopodobnie nie będzie czyhał na następne ofiary w tym samym miejscu. A jednak trudno mi sobie wyobrazić rodziców, którzy bez obaw puszczają swoje pociechy, by się kąpały w miejscu, w którym rozegrała się tragedia. I to przez długi, bardzo długi czas.

Kit przyglądała mu się chwilę, po czym pokiwała głową.

- Wiem, że mam rację, i myślę, że w głębi duszy się ze mną zgadzasz. To niemożliwe, żeby to był zbieg okoliczności. Zbyt dużo

się wydarzyło w tej okolicy. Następną ofiarą stała się twoja narzeczona...

- Nie była moją narzeczoną.

- Ale wszyscy myśleli, co więcej, i nadal myślą, że była.

Odwrócił się do niej.

- No i tu twoja teoria bierze w łeb. Susan z całą pewnością nie urodziła mojego dziecka; nie poczęła kolejnego O'Nialla. Mary też nie i wie to każdy, kto ma choćby odrobinę oleju w głowie.

Kit poderwała się na nogi, nerwowo zaplotła ręce na piersi, by natychmiast się rozmyślić, sięgnąć po kawę i wycofać w kierunku stojącego w kącie krzesła.

- Musimy się dowiedzieć...

- Kit, policja już to wszystko przerabiała. Pomijając te tabuny policjantów miejscowych i z Dublina, którzy tygodniami roztrzęsali całą sprawę, pamiętaj, że byli tu także prywatni detektywi wynajęci przez rodzinę Susan. Nikt nic nie znalazł, najmniejszego, cholernego śladu. Słuchaj, doceniam, że się o mnie troszczysz, naprawdę. Nie życzę jednak sobie, byś usiłowała rozwikłać zagadkę. A jeśli masz rację i naprawdę ktoś stąd jest mordercą? Kit, to zbyt niebezpieczne, nie mieszaj się do tego. Gdybym tylko miał dość silnej woli, za żadne skarby świata nie pozwoliłbym ci tu pozostać.

Poczuła lodowaty dreszcz przebiegający po plecach. Spuściła wzrok, jakby nagle zaintrygowana rysunkiem na kubku.

- Jestem tu bezpieczna - powiedziała.

- Skąd ta pewność?

Zerknęła w jego kierunku: siedział cały czas w tym samym miejscu i bacznie ją obserwował. Nie potrafiła spojrzeć mu prosto w oczy.

- Te wszystkie dodatkowe zamki w drzwiach, w oknach. Staram się zachowywać rozsądnie i ostrożnie, nie powinno mi się nic przytrafić.

- No cóż, staraj się dalej - rzucił oschle. Odwrócił głowę i wbił wzrok w ogień płonący na kominku.

Niespodziewanie poderwał się i cisnął kubek do kominka. Szkło roztrzaskało się o cegły, rozlany płyn zaskwierczał w zetknięciu z rozgrzаныmi kamieniami. Przez krótką chwilę płomienie rozbłyskiwały jaskrawożółtym blaskiem. Justin stał nieruchomo; jego nagi, muskularny tors w pełgającym świetle ognia i dumnie skrzyżowane ręce upodabniały go do pogańskiego boga. Na dźwięk rozbijanego szkła Kit odwróciła się w kierunku Justina. Gdy zobaczyła wyraz jego twarzy, pobladła, a kubek wypadł jej z ręki. Jęknęła; nie miała siły się poruszyć ani uciekać.

Podszedł do niej i przyparł do krzesła. Patrząc jej prosto w oczy, wycodził przez zaciśnięte zęby:

- Na potencjalnej liście ofiar jesteś kandydatką numer jeden, jeżeli mam brać poważnie twoje teorie.

Zaschło jej w gardle, nie potrafiła wykrztusić z siebie ani słowa. Zagubiona, pokręciła głową.

- O czym... o czym ty myślisz? - szepnęła po dłuższej chwili.

- O czym myślę? Kiedy, do diabła, mi powiesz? -krzyczał targany niepohamowanym przyływem gniewu. Długo skrywane emocje wzięły wreszcie górę nad zdrowym rozsądkiem. - Niech to szlag! Dlaczego wróciłaś? Po co? Na co czekasz?

- O co ci chodzi?

- Jak możesz teraz udawać? Zrobiłem, co mogłem, żeby ci ułatwić wyjawienie mi prawdy.

- Nigdy cię nie okłamałam!

- Ale prawdy też mi nie powiedziałaś.

Patrzyła mu prosto w oczy i niemal fizycznie czuła napięcie, które się między nimi wytworzyło. Wiedziała... wiedziała, że on wie. Nie pojmowała, jak mógł odkryć prawdę, ale nie czuła się na siłach roztrząsać tej kwestii. Bała się. Spuściła głowę, by uniknąć jego spojrzenia.

- Wynoś się stąd, Justinie - starała się powiedzieć to stanowczo.

Chciała wstać i odepchnąć go od siebie, ale nie pozwolił jej odejść. Chwycił ją za rękę i przyciągnął ku sobie.

- Justinie...

Łzy napłynęły jej do oczu, gdy wsunął palce między jej włosy i zmusił do patrzenia na siebie.

- Mike, Kit, mówię o Mike'u. Kiedy wreszcie mi powiesz, że jest moim synem?

- Mylisz się! - skłamała zdesperowana.

- Nie, Kit, nic z tego. Po naszym spotkaniu na cmentarzu wykonałem parę telefonów. Mike urodził się za wcześnie, co tobie

musiało być bardzo na rękę, skoro chciałaś, żeby był synem Michaela. Okłamywałaś nawet samą siebie.

- Michael mógł...

- Przestań, Kit, już dosyć.

Czułym gestem otarł łzy płynące jej po policzkach: dopiero teraz zdała sobie sprawę, że płacze. Objął ją ramieniem i mocno przytulił. Ledwie słyszalnym, ciepłym głosem szeptał czułe słowa. Wziął ją na ręce i usiadł na krześle. Trzymając Kit na kolanach, uspokajająco muskał jej włosy wargami.

- On jest moim synem, Kit. Mike jest moim synem. Targana histerycznym łkaniem zaczęła się tłumaczyć.

- Ja... ja tak bardzo chciałam wierzyć w to, że on jest dzieckiem Michaela. Byłam wtedy taka młoda. Samotna. Tak bardzo się bałam... Nie wiedziałam, co mam robić. Musiałam żyć w kłamstwie, wierzyć w to, w co wierzyli inni.

- Kocham cię, Kit. Kochałem cię przed laty i nadal cię kocham. - Zawahał się. - Wiem, jak bardzo kochałaś Michaela, ale on nie żyje. I żadne kłamstwo świata nie jest w stanie tego zmienić.

Nie odpowiedziała. Drżała; nadal nie mogła ochłonąć: jakim cudem domyślił się prawdy? Dlaczego nie zauważyła, że zaczyna coś podejrzewać? Czuła się coraz bardziej zagubiona, nic już nie było proste i oczywiste.

A przecież gdy tu przyjechała, nie miała nawet pewności, czy ją jeszcze pamięta.

Może to podświadomość nakazała jej wrócić do Irlandii? Może w głębi duszy zrozumiała, że Michael zamiast czcić pamięć zmarłego ojca, ma prawo poznać ojca prawdziwego, żyjącego w dalekim kraju?

Ale co to wszystko znaczy... ?

Oparła się, chcąc spojrzeć Justinowi prosto w oczy. Szukała w nich czegoś, lecz nie umiała sprecyzować czego; bała się, że znów zacznie płakać.

- Czy my... ty i ja... Justinie, czy jesteś ze mną tylko dlatego, że chciałeś poznać prawdę o Mike'u?

Delikatnie pogłaskał ją po policzku, uśmiechając się czule.

- Nie, kochanie, przysięgam. Jestem z tobą, bo zawsze tego chciałem. To było nam pisane i powinno się tak stać wiele lat temu. Dlatego, że jesteś niewiarygodnie piękna i seksowna, i dlatego, że od czasu naszego pierwszego spotkania nie przestałem o tobie marzyć. Kocham cię, Kit.

Odważyła się nieśmiało pogłodzić go po policzku. Po tylu latach nie było łatwo wypowiedzieć te magiczne słowa, lecz gdy w końcu jej się udało, zabrzmiały z nieprawdopodobną mocą, głębią i szczerością:

- Kocham cię, Justinie.

Przez chwilę milczał wpatrzony w nią z czułością, jakiej nie zaznała jeszcze nigdy od nikogo. Wreszcie przytulił ją mocno i poważnym głosem zapytał:

- Czy teraz rozumiesz, dlaczego chcę żebyś wyjechała?

Pokiwała głową.

- Kit, zgodnie z twoją teorią to ty jesteś tą, która powinna zginąć.
To ciebie dostał O'Niall. To ty dałaś tej ziemi jego syna.
- Ja jestem tą, która powinna zostać złożona w ofierze.

Scandalous

ROZDZIAŁ 8

Mamo! Mamo!

Rozgorączkowany głos Mike'a przebił się przez ponure myśli, które natrętnie krążyły Kit po głowie. Smażyła właśnie jajka i głos syna skutecznie wyrwał ją z melancholijnej zadumy. Pospiesznie odstawiła patelnię na blat i pełna złych przeczuców wybiegła na dwór. Chłopiec nie przestawał jej wołać; kuczał nachylony przed czymś na środku ścieżki prowadzącej do furtki.

- Mike?

Gdy już była koło chłopca, delikatnie odsunęła go na bok i schyliła się, by zobaczyć, co przyciągnęło jego uwagę.

Na środku skalistej dróżki leżał spory, płaski kamień, który kształtem przypominał miniaturowy ołtarz. Na nim leżała naga lalka. Była dość duża, miała jakieś trzydzieści centymetrów i długie, rozpuszczone włosy. Leżała na plecach, a na gardle miała namalowaną krwistoczerwoną szramę. Cały kamień był upstrzony jakąś lepka, czerwoną substancją.

- O Boże! - jęknęła.

Mike spojrzał na kredowobiałą, wstrząśniętą twarz matki.

- Wyrzucę to, mamo. Wyglądasz na przerażoną. Nie musisz już na to patrzeć.

- Nie! - wrzasnęła. - Nie dotykaj tego. Może zachowały się odciski palców albo jakiś inny ślad. Nie dotykaj.

- Odciski palców? Zadzwonimy na policję?

- Co? - Nagłe zainteresowanie syna wydało się Kit przerażające. Wstrząsnął nią dreszcz. Z jednej strony, chciała, żeby Mike zrozumiał, że to, co się wydarzyło, nie było żartem, z drugiej, pragnęła ukryć przed nim znaczenie makabrycznego odkrycia. - Tak, Mike. Zawiadomię posterunkowego.

- Barneya?

- Nie. Posterunkowym w Shallywae jest Liam O'Grady. - wyjaśniła. - Barney pracuje w Baitree. A ty... ty chodź do środka. - Ten, kto zostawił lalkę, mógł nadal być w pobliżu. - Chodź, młody człowieku.

- Douglas może przyjechać w każdej chwili...

- To zapuka do drzwi! Natychmiast do domu! Złapała syna za rękę i siłą zaciągnęła do środka.

W przedpokoju kątem oka zobaczyła własne odbicie: była blada jak ściana, a pod oczami wyraźnie rysowały się cienie. Trzy dni zamartwiania się zrobiły swoje.

Piątkowy wieczór był uroczy, przynajmniej do pewnego momentu. Potem nadeszła sobota i Mike wrócił, z wycieczki. Kit z każdą chwilą czuła się coraz bardziej zagubiona i niepewna. Justin wiedział o Mike'u. Musiał wynająć prywatnego detektywa, by dotrzeć do aktu urodzenia chłopca.

W piątek nie mogła i nie chciała o tym rozmawiać. Była zbyt wstrząśnięta i nawet mimo czułości, jaką Justin jej okazał, nie potrafiła się wyciszyć. Jej niepokój rósł z godziny na godzinę i nie umiała nad nim zapanować. W sobotę Justin i Mike poszli razem na

targ, a w drodze powrotnej zatrzymali się, by pograć w strzałki z Barneyem Canailem i Starym Dougiem. Kolację zjedli razem, ale pograżony w myślach Justin wyszedł wcześniej.

W niedzielę przeżywała emocjonalny kryzys. Po co wszystko wyznała? Wiedziała, że kocha Justina, a on przyznał, że ją kocha. Czy jednak wobec tego, co zaszło, mogła być czegokolwiek pewna? Miał w sobie coś niesamowitego, prymitywnego, pogańskiego i żywiołowego, coś, co czyniło go podobnym do ziemi, która doń należała i do której on sam należał. Przez osiem długich lat nie potrafiła o nim zapomnieć. Gdy go ponownie spotkała, mogła myśleć tylko o tym, jak bardzo potrzebowała jego bliskości. Czy na tym można budować trwałe związki?

Czuła, że ma spocone dłonie. Czy Justin powie Mike'owi prawdę? Nie zrobi tego. Tak samo jak nie odważy się wywierać jakiegokolwiek nacisku na nią, nie mówiąc o próbie odebrania jej syna. A gdyby się jednak myliła...?

- Mamo?

Odwróciła się. Mike stał tuż obok.

- Mamo, miałaś zadzwonić do posterunkowego.

- Ach, tak, rzeczywiście. - Na krótką chwilę ukryła twarz w dłoniach, by zaraz ochłonać i pobiec do telefonu.

Nie pokłócili się, a mimo to zawahała się. Nie była pewna, czy chce rozmawiać z Justinem. Nie trwało to jednak długo: zdecydowała, że najpierw do niego zadzwoni.

Wystukała numer i czekała. Spodziewała się, że Justin odbierze telefon, i zdziwiła się, gdy usłyszała w słuchawce głos Molly.

- Dzień dobry, tu Kit. Jest Justin?

- Dlaczego... Nie, dziecino, nie ma go, już wyszedł, jest w drodze do ciebie.

- Och... - Kit się zawahała. - Dawno wyszedł?

- Czekaj, niech pomyślę... Dość dawno. Powinien już u ciebie być. Nie mam pojęcia, co go mogło zatrzymać.

Kit pożegnała się, z trudem wydobywając głos ze ściśniętego gardła. Po chwili uprzytomniła sobie, że stoi tępo wpatrzona w słuchawkę. Czy Justin mógł zrobić coś podobnego? Przyznał przecież, że chce, by wyjechała. Jeśli jej teoria miała w sobie choć krztynę prawdy, to była następną ofiarą szalonego mordercy. Czy to możliwe, że Justin posunął się tak daleko tylko po to, by przełamać jej upór?

Jak mogła tak mocno kochać i jednocześnie być tak bardzo nieufna? Gdzie on się teraz podziewa... Poczowała, jak łyzy bezsilności napływają jej do oczu.

- Mamo! Przyjechał Justin! I pan Johnston! Opowiem im, co się wydarzyło!

- Nie, Mike, zaczekaj!

Nie zdążyła: usłyszała jedynie trzask drzwi i odgłos pospiesznych kroków syna.

Kit nerwowym ruchem podwinęła rękawy czerwonego sweterka i wybiegła za chłopcem, usiłując wyglądać na opanowaną.

Mike był już przy Justinie. Stali na drugim końcu ścieżki i Kit nie słyszała słów, kiedy chłopiec podniesionym z emocji głosem opowiadał Justinowi o makabrycznym odkryciu. Uważnie obserwowała Justina, który nachylał się lekko, by być bliżej dziecka. Zobaczyła, jak twarz mu tężeje, a na czole pojawia się głęboka bruzda. Przystanął nad ołtarzykiem i przykucnął, by lepiej przyjrzeć się lalce. Podniósł się, ale nie podszedł do Kit; zamiast tego jeszcze raz schylił się nad kamieniem, niczego nie dotykając.

Douglas Johnston przykucnął obok niego i to on pierwszy odezwał się do Kit.

- Wszystko w porządku, pani McHennessy? Przełknęła ślinę i skinęła głową. Zeszła ze schodów uśmiechając się

- Tak... To przecież tylko głupi kawał.

- Prawdopodobnie.

- Mimo to powinnaś zatelefonować do Liama.

- Wiem, zamierzałam to zrobić.

Ledwie skończyła, Justin zerwał się na równe nogi i zrobił groźną minę.

- Jeszcze do niego nie zadzwoniłaś?!

Nie podobał jej się ton jego głosu, ale nie dał jej czasu na odpowiedź. Minał ją szybkim krokiem i nie zatrzymując się, wpadł do domu. Na progu przystanął i nie odwracając się, rzucił:

- Niech nikt niczego nie dotyka!

Douglas Johnston odchrząknął i zaczął uspokajać:

- Nie przejmuj się, Kit, to nic nie znaczy. On... On po prostu się o ciebie martwi.

Zerknęła na niego. Nigdy nie ponowił zaproszenia na kolację, lecz dopiero teraz zrozumiała dlaczego: Douglas, podobnie jak wszyscy w okolicy, był posłuszny woli Justina O'Nialla. Poczowała się jak napiętnowana.

- Nie broń go, Doug. Nie powinien się tak zachowywać - powiedziała. - Ach, ciągle zapominam ci podziękować. Tyle dla nas robisz!

- Nie ma sprawy, Kit. Już ci mówiłem. - Przez dłuższą chwilę nie odrywał od niej wzroku, po czym pogłaskał Mike'a po głowie. - Powinniśmy już jechać.

- Wszystko będzie dobrze, mamó - szepnął Mike. - Justin O'Niall jest z tobą.

Pobiegł do samochodu Douglasa, a Kit powiodła za nim wzrokiem, zachodząc w głowę, skąd też siedmiolatkowi przyszły do głowy takie słowa.

Douglas posłał Kit smutny uśmiech.

- Nie przejmuj się, Kit! - powiedział, po czym zerknął na Mike'a i dodał znacznie ciszej: - Trochę ostrożności nie zawadzi. Zamykaj drzwi i nie spaceruj sama po urwisku.

- Będę uważała, Douglas. Dziękuję.

- Jestem pewien, że to tylko niesmaczny żart.

- Tak.

- Albo ostrzeżenie.

- Ostrzeżenie?

- Że ty... Że powinnaś wyjechać. - Patrzył na nią z całkowitą powagą. Po chwili odchrząknął. - No. cóż, do zobaczenia po południu.

- Tak. Do zobaczenia, Doug.

Justin pojawił się na progu w chwili, gdy Douglas machał Kit na pożegnanie.

- Liam O'Grady jest w drodze - powiedział, kiedy samochód Douglasa ruszył.

Kit skinęła głową, lecz gdy jej wzrok bezwiednie powędrował ku lalce, poczuła, jak jej ciałem wstrząsa dreszcz.

- Zadzwoń na lotnisko - ciągnął Justin.

- Co? - parsknęła niedowierzająco.

- Zarezerwowałem dla ciebie i Mike'a bilety na lot z Shannon na jutro na czwartą. Prosto do Nowego Jorku.

- Justinie, ja nigdzie nie...

- Owszem, pojedziesz.

- Nie! Zresztą, nawet gdybym stąd wyjechała, i tak nie udałabym się do domu. Wiem, że nie jesteś w stanie tego pojąć, ale ja mam książkę do napisania!

Zaklął i z całej siły klepnął się rękami po udach. Był wściekły i tego nie ukrywał.

Żałowała, że jest taki wysoki i silny; gdyby było inaczej, nie czułaby tak niepohamowanej potrzeby schronienia się w jego ramionach.

- Kit, czy książka warta jest twego życia? - zapytał.

- Nikt mi nie groził.

- Cóż, ciężko to porównywać do ciastka czy bukietu kwiatów - odparował, wskazując kamień na chodniku.

- Justinie, nie możesz mi rozkazywać. Muszę odkryć, co się stało osiem lat temu. Te wszystkie wydarzenia coś łączy, jestem tego pewna. I jestem to winna Michaelowi.

- Któremu Michaelowi? - przerwał raptownie. Kit poczuła ciarki przechodzące jej po plecach.

- Mojemu mężowi - odparła spokojnie, czując lodowate ukłucie w sercu. - Czy widzisz w tym coś złego?

- Nie. Miałem tylko nadzieję, że nie zamierzasz w dalszym ciągu mieć Mike'a wiecznie żywą legendą o jego świętej pamięci ojcu.

- Justinie, nie wolno ci pisać ani słowa! To go zniszczy. Jestem pewna, że ci nie uwierzy. Nigdy przedtem cię nie widział!

- A co, twoim zdaniem, powinienem zrobić? - spytał, zastępując Kit drogę. Nie dotknął jej i zrozumiała, że nie zamierza tego zrobić: był na nią zbyt wściekły. - Może mu powiesz, jak się będzie żenił, co? Jak robi dyplom? A może nigdy!

Próbowała się wycofać, bezradnie zaciskając pięści.

- Nie! Nie wiem! Ale na pewno nie teraz! Nie zastanawiałam się...

- Właśnie, i w tym tkwi problem: nie zastanawiałaś się nad tym, bo nie zamierzałaś mi nic powiedzieć! Dlaczego? Czy to jakaś gra? Przyjechać tu i sprawdzić byłego kochanka? Cóż, gdybym był mordercą, gdybym zwariował albo po prostu gdyby ci na mnie nie

zależało, może mogłabyś pominąć moją rolę w poczęciu Mike'a. Nie dam się oszukać.

- Co? Ja ciebie oszukałam? A jak myślisz, jak ja się czułam? Mogłeś mnie wcale nie pamiętać! Mogło ci na mnie nie zależeć. - Wiedziała, że wcześniej czy później muszą odbyć tę rozmowę, lecz nadal nie czuła się przygotowana. - Nie było cię tam! Nie masz pojęcia, co się ze mną działo! Ja prawie... - Urwała. Wiedziała, jak zareaguje na to, co zamierzała powiedzieć.

Podszedł do niej. Zrobiła krok do tyłu, lecz to nie wystarczyło. Chwytał ją za ramiona i poczuła jego stalowy uścisk.

- Ty prawie co, Kit? - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Do diabła, Justin! Miałam osiemnaście lat! Miałam koszmarne sny związane z tym miejscem. Nie wiedziałam, co myśleć ani czuć. Na początku nie poznawałam samej siebie! Nigdy nie zrozumiesz, jakie to było straszne. Nie potrafisz sobie tego wyobrazić.

- Próbuję.

- Wcale nie! Nic a nic nie rozumiesz z otaczającego cię świata!

- Cudowne uczucie być kochanym - powiedział gorzko.

- Gdybyś mnie kochał, nie groziłbyś Mike'owi!

- Ja mu nie grożę!

- Grozisz!

- To ty czujesz się zagrożona, bo nie możesz się pogodzić z myślą, że to, co zrobiłaś, nie musiało być złe! A może nadal czujesz się zakłopotana z powodu tego, co się stało osiem lat temu? A co ja mam powiedzieć? Nie mogę nawet podejść do własnego syna i go

przytulić! Muszę udawać obcego, jakiegoś tam dalekiego znajomego mamy, tak? Mam się uśmiechać i zachowywać dystans. Ja... - zamilkł tak niespodziewanie, że Kit odwróciła się, domyślając się, że ktoś nadchodzi.

Liam O'Grady i Barney Canail przywodzili na myśl Flipa i Flapa: Barney był wysoki i kościsty, a Liam niski i krępy. Miał ciemnobrązowe oczy, a głowę porastała płatanina siwiejących, niegdyś ogniście rudych włosów. Wiecznie czerwone policzki nadawały mu przyjazny wygląd Świętego Mikołaja.

Zresztą bez wątpienia był dobrym człowiekiem. Kit nie potrafiła zapomnieć, ile serca jej okazał po śmierci Michaela. W czasie przesłuchań zachowywał się niezwykle taktownie i delikatnie; jego uprzejmość wychodziła daleko poza ramy wyznaczone zwykłym poczuciem obowiązku. Nie naciskał, dawał jej tyle czasu, ile tylko sobie życzyła, spełniał wszystkie jej zachcianki. Podobnie jak wszyscy, był zdania, że powinna wrócić do domu, że nie powinna rozpamiętywać śmierci męża. Jednak nie nalegał, gdy nie usłuchała. Ograniczył się do odwiedzania jej i kontrolowania, czy wszystko w porządku, a wpadał niemal równie często jak Justin. Dobroduszny wygląd okazał się mylący pod jednym względem: jego małe, ciemne oczka były niezwykle przenikliwe, nic nie mogło umknąć ich uwagi.

- Pani McHennessy?

Widziała, że udaje, iż nie słyszał ani słowa. Liam podszedł bliżej z wyciągniętą w powitalnym geście dłonią i przyjaznym uśmiechem na twarzy.

- Gdy tylko się dowiedziałem, że pani tu przyjechała, zaraz sobie pomyślałem, że miło by było znów panią zobaczyć! Witam, witam! Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach.

Uściskał dłoń Kit, która musiała błyskawicznie wziąć się w garść i powstrzymać łzy cisnące się do oczu. Odwzajemniła serdeczność ciepłym pocałunkiem w policzek.

- W ogóle się nie zmieniłeś, Liamie! Wyglądasz świetnie!

- Potrzebuję jakiejś diety - stwierdził i spojrzał na stojącego za nią Justina.

Barney pojawił się chwilę później, z rękami w kieszeniach. Skinął głową Kit, dając jej do zrozumienia, że zna sprawę, a Liam zapytał o lalkę.

Kit poczuła się głupio: tyle zamieszania z powodu czyjegoś niesmacznego żartu. Przecież to nie mogło być nic innego jak tylko dowcip zrobiony Amerykance, która ośmieliła się spotykać z O'Niallem.

Wszyscy trzej mężczyźni przykucnęli nad kamieniem, rozmawiając tak cicho, że nie była w stanie odróżnić słów. Niespodziewanie Justin poderwał się, jakby sobie nagle przypomniał o jej istnieniu.

- Może byś nastawiła wodę na kawę, Katherine? - zaproponował.

Miała ochotę odparować, żeby sobie sam zrobił swoją cholerną kawę, ale Barney także podniósł głowę i uśmiechając się, poprosił:

- Wolałbym herbatę, Kit, jeżeli to nie jest problem. Nie chcąc zachowywać się niegrzecznie w stosunku do Barneya, ruszyła w

kierunku domku. Gdy po chwili odwróciła się, zobaczyła, że Barney trzyma w rękach plastikową torbę, do której Liam ostrożnie, ujmując przez chusteczkę, wkłada lalkę i kamień. Będą szukać jakichś śladów. Kit była przekonana, że nic nie znajdą; z drugiej strony, musiała przyznać, iż mają obowiązek wszystko sprawdzić. Na tym polega ich praca.

W kuchni wyrzuciła na wóół usmażone jajka dla Mike'a. Na jednym palniku postawiła czajnik, a na drugim maszynkę do kawy. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest spięta, dopóki nie podskoczyła na odgłos kroków za plecami.

- Spokojnie, dziewczyno, to ja! - Barney uśmiechnął się przepraszająco i oparł o framugę drzwi kuchennych. - Nieźle musiałaś się wystraszyć.

Pokręciła głową.

- Nie... niespecjalnie. Jestem pewna, że to tylko głupi żart.

Spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem.

- Nie, ani przez minutę w to nie wierzyłaś, mam rację, dziewczyno?

- To musi być... nie, nie wierzyłam. Och... Nie wiem, co mam o tym myśleć.

- No tak. - Barney wszedł do kuchni. Ściszył głos jakby w obawie, że pozostali mogą w każdej chwili nadejść i usłyszeć ich rozmowę. - Mam pewien pomysł. Nie zamierzałem słuchać, co ludzie mówią, ale czasami to wcale nie jest takie głupie. Bywa, że gadają od rzeczy, ale...

Musiała się zarumienić, bo Barney urwał i zaczął przeproszać.

- Proszę wybaczyć, wiem, że przyszliśmy nie w porę.

- Ależ nie... Ja... my... krzyczeliśmy. Przykro mi, że musieliście słuchać naszej kłótni.

Uśmiechnął się.

- Kto się czubi, ten się lubi, czyż nie? Jeśli ludziom na sobie nie zależy, to się nie kłóca, bo i po co? No cóż. Zastanówmy się chwilę.

Założmy, że osiem lat temu ktoś uwierzył, iż dziecko Mary Browne było Justina, i dlatego dziewczyna zginęła. Ta sama osoba z czasem

musiała zrozumieć, że zaszła pomyłka. No to co mogła zrobić?

Zacząła się rozglądać za następną ofiarą. Wtedy napatoczyła się Susan Accorn.

Kit westchnęła ciężko.

- Nie dalej jak dwa dni temu usiłowałam to wszystko wyłożyć Justinowi. A on na to, że Susan nie miała dzieci.

- I nie została odpowiednio zamordowana.

- Odpowiednio? Nie rozumiem.

- Susan Accorn została najzwyczajniej usunięta z drogi. Zgodnie z wymogami przyjętymi przez naszego mordercę nie pasowała do O'Nialla. Rozumiesz, o czym mówię?

Czajnik zaczął gwizdać. Wdzięczna za darowaną niespodziewanie chwilę przerwy, Kit zaczęła przygotowywać herbatę.

- Ktoś wie, Kit McHennessy. Ktoś jeszcze wie. Odwróciła się i bliska hysterii błagalnie rzuciła:

- Barney...?

Delikatnie, lecz zdecydowanie wyjął z jej rąk czajnik i odstawił z powrotem na kuchenkę.

- Nie wściekaj się na mnie, dziewczyno. Tych dwóch tam na dworze skreśliliby mi kark, gdyby wiedzieli, że mówię ci, co naprawdę myślę o tym wszystkim. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Nie chodzi o to, że nie masz racji. Oni po prostu są bardzo opiekuńczy, szczególnie Justin O'Niall. Taki już jest, ma to we krwi: nie sposób zmieniać dorosłego człowieka. Będzie taki do końca życia, dziewczyno, bez względu na to, jak bardzo zechcesz pozostać niezależna.

- Nie wiem, do czego zmierzasz, Barney - powiedziała Kit najdelikatniej, jak tylko umiała - ale...

- Ciii... Chcę, żebyś teraz sama pomyślała. Chcę, żebyś się skupiła i zastanowiła, kto jeszcze może wiedzieć o twoim chłopaku.

Kit gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nikt nie wie. - Spuściła głowę i wyszeptała: - Nawet Justin nie wiedział. Wyjechałam stąd i nigdy do nikogo się nie odezwałam. Mój Boże, osiem długich lat milczałam jak zaklęta.

- Może gdzieś coś ci się wymknęło, może coś zasugerowałaś...

- Nie, naprawdę nie.

- Przemyśl to jeszcze, dziewczyno. To może uratować ci życie.

Chciała odpowiedzieć, lecz zobaczyła Justina i Liama zbliżających się ścieżką do domku. Szybko skinęła głową i zapytała Barneya, z czym podać herbatę.

- Dwie łyżeczki cukru, jeśli można. Dziękuję. Barney wziął swój kubek. Liam poprosił o kawę i gdy brał z rąk Kit filiżankę, posłał jej uspokajający uśmiech.

- Głupi żart, co do tego nie ma dyskusji - zapewnił. - Nie pozwól, by ci to zepsuło humor.

- Myślę, że powinna wyjechać - wtrącił Justin. Kit uśmiechnęła się słodko.

- Ona nigdzie się nie wybiera - zakomunikowała Liamowi.

- No cóż, mogłabyś dla odmiany zwiedzić Dublin albo polecieć do Londynu.

- A jeszcze lepiej do Nowego Jorku - skwitował Justin, nalewając sobie kawę.

- No tak... - Liam szukał wzrokiem spojrzenia Barneya, lecz tamten jedynie wzruszył ramionami. - Kit McHennessy, to prawda, że kiedy tu byłaś poprzednim razem, działy się dziwne rzeczy. Także teraz... Przecież znowu mamy nie rozwikłaną sprawę morderstwa.

- Liamie, to miło, że się wszyscy tak o mnie troszczycie. Ale ja byłam w Nowym Jorku, kiedy Susan... kiedy Susan zginęła.

- Nie powinnaś zostawać sama - ostrzegł Liam.

Justin odwrócił się wreszcie, patrząc na Kit sponad brzegu filiżanki.

- Nie zostanie.

Otworzyła usta, by zaprotestować, ale zaraz je zamknęła.

Właściwie dlaczego najzwyczajniej w świecie nie wróci do domu, do Nowego Jorku? - zastanawiała się. Zyskałaby trochę czasu. Nie

wierzyła, że między nią a Justinem może jeszcze być jak dawniej; nie po ostatniej awanturze. Głupio zrobiła, przyjeżdżając w to miejsce.

Ale przyjechała. Od początku wiedziała, że wcześniej czy później będzie musiała wrócić. Nawet gdyby Susan Accorn żyła i wyszła za Justina. Mike miał prawo poznać prawdę.

Ale nie teraz...

- Powiniennem wracać do biura - powiedział Barney. Postawił kubek na blacie i mrugnął porozumiewawczo do Kit. - Dzwon do mnie śmiało, dziewczyno. Przekaż pozdrowienia chłopakowi.

- Dobrze, Barney.

- Musimy zdjąć odciski - wtrącił Liam, po czym wzruszył ramionami. - Nie należy za wiele się spodziewać.

- Dziękuję wam obu za przyjście. Doceniam to - odezwała się Kit.

- Szkoda, że zawsze się spotykamy w nieprzyjemnych okolicznościach. - Liam pokiwał głową. - Ale przecież - rozpromienił się - niedługo spotkamy się przy bardzo radosnej okazji. Zobaczymy się na obchodach naszego święta, jeżeli tylko będziesz nadal z nami, Katherine McHennessy.

Kit musiała wyglądać na zmieszaną, bo Justin, który nie spuszczał z niej oczu, rzucił chłodno:

- Halloween.

- Ach, racja.

- Barney gra na kobzie - wyjaśnił Liam, zanosząc się śmiechem.

- Ano gram, i to dobrze, ty stary capie! - odciął się Barney.

- Sama usłyszysz i ocenisz - dodał Liam i Kit musiała się roześmiać. Kiedy znikli za drzwiami, poczuła, jak zimny pot spływa jej po plecach. Halloween. Noc kozłogłowego boga...

Gdy Justin wrócił, nadal siedziała w kuchni.

- Twierdzisz, że nie wyjeżdżasz? - zapytał chłodno, po czym poszedł na górę, do sypialni.

- Justinie?

Usłyszała ruch na piętrze, lecz nie odpowiedział na wołanie.

- Justin!

- Co?

- Co tam robisz?

- Pakuję.

- Pakujesz? Moje rzeczy?

Rzuciła się pędem na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Niemal bez tchu wpadła do sypialni. Na łóżku leżała otwarta walizka, do której Justin wrzucał jej bieliznę.

- Justinie! Co ty wyprawiasz! Nie spojrzaj w jej kierunku.

- Nie możesz zostać tu sama.

Instynktownie chciała mu się przeciwstawić, wyciągnąć ubrania z walizki i ostentacyjnie odwiesić je z powrotem na miejsce.

- Justinie, nie wyjadę stąd! Muszę zostać. Nie rozumiesz? Nie wiem, co się przydarzyło Michaelowi, i nie mogę pojąć, co się stało... z nami. Muszę znaleźć odpowiedzi. Nie mógłbyś choć raz spróbować mnie zrozumieć? - Chwyciła go za ramię, zmuszając, by zwrócił na nią uwagę.

- Rozumiem - odparł krótko i na powrót zajął się pakowaniem.

- Justinie, przestań! Ja zostaję.

- W porządku.

- Więc co...

- Kit, jedziesz ze mną na zamek. Cofnęła się o krok.

- Nie mogę!

- Musisz.

- Co ludzie...

- Co ludzie powiedzą? Czy o to cały czas ci chodziło? Co też ludzie powiedzą, jak się dowiedzą, że niewinna Katherine McHennessy ma dziecko z O'Niallem?

- Chodziło mi wyłącznie o twoje dobro, ty cholerny idioto!

Popatrzył na nią zaskoczony.

- Kit! Nie zabiłem jej i nie obchodzi mnie, co ludzie gadają. Tylko ja jeden wiem, że jestem niewinny!

Kit pokręciła głową.

- Nie chcę z tobą jechać, Justinie.

- Powiedziałaś, że mnie kochasz, Kit.

- Bo tak jest.

- A więc...?

- Najpierw mi nie wierzysz, a chwilę później ciągniesz mnie za sobą, przekonany, że od ciebie zależy moje życie.

- Na Boga, dziewczyno, martwię się o ciebie! Spuściła głowę. Pragnęła go dotknąć, lecz czuła się zbyt nieszczęśliwa, by podejmować jakikolwiek wysiłek. Boję się! - chciała krzyknąć. Boję

się tego, czego nie rozumiem. Boję się, że odbierzesz mi syna, że mu powiesz, iż jego matka kłamała. Boję się, że zbyt mocno cię Kocham, że nasza namiętność jest zbyt silna, że nie uda nam się pokonać tego, co nas dzieli.

- Kit, co się z tobą dzieje? Na litość boską, Kit...

Nie mogła mówić, a kiedy wreszcie udało jej się wyciągnąć rękę w jego kierunku, Justina już nie było.

Scandalous

ROZDZIAŁ 9

W pubie przy kontuarze tłoczyli się amatorzy ciemnego irlandzkiego piwa, którym najwyraźniej nie przeszkadzał dym papierosowy wiszący w powietrzu. W kącie sali rozbawiona grupka grała w strzałki, a przy jednym ze stolików siedziało dwóch starszych mężczyzn, z uwagą pochylonych nad rozstawionymi szachami.

Przyglądając się otaczającym go ludziom, Justin uświadomił sobie po raz kolejny, jak silne więzi łączą go z tą krainą. Tu było jego rodzinne gniazdo, tą ziemią opiekowali się jego przodkowie od stuleci, kultywując tradycję i roztaczając pieczę nad jej mieszkańcami. To byli dobrzy, uczciwi ludzie; szanowali swoich ojców i dziadów, pielęgnowali dawne obyczaje. I oto w cichym, spokojnym Shallywae ponownie została uśmiercona młoda kobieta i ponownie nie znaleziono sprawcy. I znowu podejrzenia padły na niego, na O'Nialla, pana tej krainy.

- Dobrze się zastanów, stary - powiedział Barney, nawiązując do niedawnych wydarzeń.

Justin oparł się wygodnie i sięgnął po kufel piwa.

- Nikt o niczym nie wie - podkreślił stanowczo. Barney westchnął.

- Nie mogę się mylić.

Justin przysunął się do stołu; kosmyk włosów opadł mu na czoło.

- Może i nie, ale zastanów się, Barney, jakie to przerażające! Jeżeli rzeczywiście masz rację, to znaczy, że przez tyle lat, dzień w dzień, żyjemy z... z szaleńcem. Z kimś, kto zachowuje się jak przyjaciel: rozmawia, uśmiecha się, a jest na tyle obłąkany, iż morduje niewinne kobiety. A my nadal nie wiemy, kto to może być! - powiedział Justin podniesionym głosem. Własna bezradność doprowadzała go do szału.

Barney wskazał głową drzwi wejściowe, w których stanęli farmerzy Matthew O'Hara i Timothy Dalton, uprzymiając swemu towarzyszowi, że znajdują się w miejscu publicznym. Na widok Justina przybyli z szacunkiem zdjęli kapelusze, na co on odpowiedział uśmiechem i przyjaznym skinieniem dłoni.

Barney podniósł pusty kufel i zawołał do barmanki:

- Meg, słodczy życia mego, przyniesiesz nam jeszcze po jednym?

Pięćdziesięcioletnia Meg Flaherty zarumieniła się i pospieszyła napełnić kufle. Gdy odeszła, Barney ściszył głos.

- Gzy Liam kontroluje sytuację?

- Tak.

- Kit nie byłaby zadowolona, gdyby się dowiedziała, że jest obserwowana dzień i noc.

- Trudno. Najważniejsze jest jej bezpieczeństwo. Nie wolno ryzykować.

- Masz rację. Gdybyśmy tylko mogli poznać prawdę... Kto wtedy przebywał w pobliżu?

Justin zmarszczył czoło.

- Wszyscy. Ja, Liam, Conar, Młody Doug, Molly... - zawahał się.

-I Stary Doug, ale on...

- ...to staruszek - dokończył Barney ze zrozumieniem. - A Molly pracuje u ciebie od zawsze. A...

- Douglas Johnston - mruknął Justin, czując, że robi mu się słabo. - Mike jeździ z nim codziennie do szkoły.

- Justinie! - Barney wyciągnął rękę, by poklepać przyjaciela po ramieniu. - Chłopcu nic się może przydarzyć. Przecież jest twoim następcą. Nawiasem mówiąc, ułatwilibyście życie wielu ludziom, gdybyś sam mógł pilnować swojej uroczej pani - dodał Barney z uśmiechem.

Justin zgromił go wzrokiem.

- Mówiłem ci...

- No cóż, udowodniłeś, że potrafisz projektować budynki, które sięgają nieba. Nie mógłbyś obmyślić sposobu, jak z powrotem wkraść się w jej łaski?

- Czy jestem aż takim potworem, Barney? Powiedz mi, czy to grzech troszczyć się o życie ukochanej osoby?

- Na które pytanie mam najpierw odpowiedzieć? W porządku, Justinie O'Niallu. Rzeczywiście jesteś pewny siebie, władczy i uparty... Poza tym nie, nie jest grzechem troszczyć się o ukochaną. Brakuje ci jedynie odrobiny taktu. Powinieneś jej wysłuchać i udawać, że się z nią zgadzasz. Potem i tak możesz zrobić to, co uznasz za stosowne.

- Czyżby?

Barney zauważył, że kufel Justina znów jest prawie pusty. Skinął dłonią na Meg, pytając jednocześnie:

- Jeszcze jedno?

- Tak. Właśnie „obmyślam” - odparł Justin. Łyknął resztę piwa. - Będę się uczył pokory - obiecał uroczyście.

Kit, zamyślona, wpatrywała się nie widzącym spojrzeniem w ogień buzujący w kominku. Roztańczone płomienie rzucały cienie na pozostający w mroku pokój. Noc była wyjątkowo wietrzna. Silne podmuchy wiatru uderzały w ściany domku, jakby chciały go zmieść z powierzchni ziemi. Kit otuliła się szczelniej ciepłym, welurowym szlafrokiem, zadowolona, że Mike'owi nie przeszkadza zawrodożenie wicheru - spał na górze jak suseł.

Justin nie pokazał się od czasu ostatniej wizyty. Bardzo za nim tęskniła, mimo że narzuciła sobie ostre tempo w pracy nad książką. Przystudiowała publikacje, które kupiła w księgarni Julie McNamary. Okazały się bardzo interesujące i pomocne. Znalazła w nich mnóstwo informacji i ciekawostek. Sporządziła listę fotografii, które bezwzględnie musiały zostać wykonane do jej własnej książki. Przygotowała również dość szczegółowe szkice poszczególnych rozdziałów, zawierające wiadomości faktograficzne, opowieści ludowe i praktyczne wskazówki dla turystów, które powinny się w nich znaleźć.

Nie miała już siły pracować tego wieczora. Praca działała kojąco na jej skołatane nerwy, lecz kiedy marzenia zaczynały odbierać jej

zdolność koncentracji, wiedziała, że musi się poddać. Kit wstała i podeszła do kominka, bezwiednie wyciągając ręce w kierunku ognia, spragniona ciepła.

Wiele razy w ciągu tego tygodnia chciała rzucić wszystko i pójść na zamek, do Justina, nie bacząc na konsekwencje. Dlaczego więc wciąż tego nie zrobiła? Tak łatwo byłoby po prostu przeprosić. Tak łatwo!

Tylko że... po co? Przeprosiny niczego nie zmieniają, nie rozwiążą żadnego z ich problemów. Czy cokolwiek jest jeszcze w stanie uratować ich związek? Była zrozpaczona. Gdyby mogła go zobaczyć, gdyby w tej chwili stanął przed nią, zapomniałaby o wszystkich dzielących ich różnicach, o tym, że pochodzą z dwóch różnych światów. O tym, że czas gra na ich niekorzyść - jeżeli on rzeczywiście szuka kobiety, którą mógłby kierować i która zrezygnowałaby dlań z własnej niezależności. Wiedziała, że jej miłość do niego zgaśnie, jeżeli zechce w jakikolwiek sposób skrzywdzić Mike'a.

Nie umiała zapanować nad drżeniem rąk. Wyprostowała się, usiłując zdecydować, czy kubek kawy z brandy przyniesie trochę ukojenia skołatanym nerwom. Przynajmniej tyle, by zasnąć. By przetrwać kolejną noc.

A jednak nie dotarła do kuchni. Kładący się na trawniku blask księżyca przyciągnął jej uwagę i podeszła do okna. Halloween już za tydzień, pomyślała ze strachem. Jeszcze nie jest za późno. Dlaczego więc nie wyjedzie? Wiedziała dlaczego. Musiała zostać, aby się

wszystkiego dowiedzieć, żeby odkryć prawdę i tym samym wreszcie uwolnić się od przeszłości.

Kit rozejrzała się po pokoju, z zalem kręcąc głową. Wszystko wokoło powinno przypominać jej Michaela, tymczasem z trudnością przywoływała w pamięci jego twarz. To prawda, nie dane im było siedzieć razem w tym pokoju. Michael znikł zaraz po przyjeździe.

Słodki, tęskny uśmiech zagościł na jej ustach na wspomnienie tych kilku chwil, które spędzili razem w sypialni. Uśmiech zbladł, gdy uświadomiła sobie, że najlepiej pamięta to, co mówił: opowieść o dziewicy ofiarowanej kapłanowi, kozłogłowemu bogowi.

Później Molly wtajemniczyła ją w historię rodu O'Nial-lów, z którego przed wiekami wywodzili się władcy tej ziemi, a jeszcze wcześniej kapłani.

Kit zdecydowanym krokiem ruszyła do kuchni. Nalała pełny kubek kawy, dodała brandy i wróciła do salonu. Kawa była gorąca, lecz Kit wypila ją niemal jednym haustem. Potrzebowała pocieszenia.

Napój nie spełnił oczekiwań Kit. Potrzebowała Justina. Tylko on mógł jej pomóc.

Ruch za oknem przykuł jej uwagę. Spięta, pospiesznie odstawiła kubek i podbiegła do okna.

W ciemności nie dojrzała jednak nic nadzwyczajnego. Wiatr, wszechwładny i odwieczny, płasko kładł trawy i paprocie.

Kit uświadomiła sobie, że nadal drży. Owinęła się ciasniej szlafrokiem, zasunęła zasłony i zmarszczyła czoło. Powróciło wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Zresztą już kilka razy w ciągu

ostatniego tygodnia zdawało się jej, że ktoś śledzi każdy jej krok. Nie wychodziła z domu po zmroku, lecz we wtorek, gdy jechała do Corku, mogłaby przysiąc, że miała towarzystwo. Ze wszystkich sił pragnęła uwierzyć, że to niemożliwe: przecież nawet Justin wyśmiał ją, gdy zwierzyła się ze swoich obaw.

Tak się o nią troszczy, gdzie więc się teraz podziewa? Myślała, że wróci, ale on nie dał znaku życia.

Westchnęła, kładąc się na kanapie ze wzrokiem utkwionym w ogień. Czowała, że powieki zaczynają jej coraz bardziej ciążyć, aż wreszcie opadły, odgradzając ją od przepełnionego troskami świata. Zasnęła. I powrócił sen.

Otaczała ją mlecznobiała mgła, tak gęsta, że Kit nie widziała dalej niż na parę metrów. Wiatr szalał. Głośnie, piekielne zawodzenie zagłuszało prawie wszystko wokół. Prawie, gdyż nagle uświadomiła sobie, że z oddali dobiega ledwie słyszalny odgłos kroków. Ktoś się zbliżał.

Nie mogła się poruszyć. Pierwszą myślą, jaka przyszła jej do głowy, było, że jest sparaliżowana. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że została związana. Nadgarstki i kostki miała przymocowane do płaskiego kamienia...

Tak jak lalka... Podobnie jak lalka, Kit była naga i przykuta do kamiennego ołtarza. Słyszała kroki, jeszcze chwila i z mgły wyłoni się czyjaś postać.

Otworzyła usta, gotowa do krzyku, lecz głos zamarł jej w gardle. Rozpoznała Justina. On też był nagi. Zbliżał się do niej przez okalającą mgłę. Widziała jego oczy i fascynujący, szatański uśmiech.

Był coraz bliżej i szedł prosto ku niej. Już nie chciała wzywać pomocy. Pragnęła jedynie uwolnić spętane ręce i go dotknąć.

Niespodziewanie rozdzielił ich gęsty tuman mgły, a gdy wiatr ją rozwiał, Justin już zniknął. Jego miejsce zajął on: kozłogłowy bóg, kapłan w kapturze i kozłej masce, z rogami i złowrogim błyskiem w oczach.

Wiatr zamarł i do uszu Kit dotarł monotony śpiew. Uświadomiła sobie, że wszyscy stoją naokoło niej: Liam i Barney, Molly, Douglas i Stary Doug, Meg z pubu, a nawet Julie McNamara. Przyglądali się jej i uśmiechali, rozmawiając w języku, którego nie rozumiała, powtarzając w kółko te same słowa.

Bóg zatrzymał się nad nią. Stał chwilę nieruchomy jak posąg, by zaraz sięgnąć pod płaszcz. Nagle wznosił rękę i gwałtownym ruchem przeciął powietrze. Gdy podniosła wzrok, zobaczyła, że blask księżycy odbija się... w ostrzu noża. Kozłogłowy dzierzył w dłoni wielki sztylet o srebrnym ostrzu, sztylet ociekający krwią.

Och!

Obudziła się zлана potem i roztrzęsiona usiadła na brzegu kanapy. Ukryła twarz w dłoniach. Nie zdążyła jeszcze ochłonąć z przerażenia, gdy jej uwagę przykuł odgłos, dochodzący zza okna. Ktoś szedł ścieżką w kierunku domu.

Blada jak ściana Kit poderwała się na nogi. Poczula silny zawrót głowy i pożałowała, że nie potrafiła sobie odmówić kawy z brandy. Zerknęła na zegar nad kominkiem: dobiegła północ. O tej porze trudno się spodziewać gości...

W miarę jak odgłos kroków się zbliżał, Kit ogarniało coraz większe przerażenie. Zaciśnęła pięści tak, że zbieleły jej kostki i gorączkowo rozglądała się po pokoju. Jediną rzeczą, jaką mogła użyć jako broni, był oparty o kominek pogrzebacz. Chwyliła go pospiesznie i zamarła bez ruchu. Z zapartym tchem czekała, przygotowana na najgorsze.

Rozległo się ciche pukanie.

Sztywnym krokiem ruszyła w kierunku drzwi, kurczowo ściskając w dłoniach pogrzebacz.

Pukanie powtórzyło się: głośniejsze, bardziej zdecydowane.

Wstrzymując oddech, najciszej jak umiała, podeszła pod same drzwi. Nikt, kto przychodzi w uczciwej sprawie, nie wystaje pod domem, jeśli gospodarz nie otwiera. A zatem...

A jeżeli całe miasteczko jest zamieszane w tę sprawę? - pomyślała, ulegając panice. A jeżeli Justin naprawdę jest kozłogłowym bogiem, któremu gorliwie służą, gotowi zrzucić ją ze skał do morza?

- Kit! Otwórz te cholerne drzwi! Wpuść mnie!

- Och! - W jednej chwili opuściły ją strach i napięcie, ustępując miejsca uczuciu niewysłowionej ulgi. Przecież wcale nie myślała, że on.

- Kit..., - nie poddawał się.

Zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi, zapominając, że nadal trzyma w ręku pogrzebacz. Poczowała silny zapach tytoniu i ciemnego piwa podawanego w pubie Meg. Justin miał zmierzwiłone włosy: jeden kosmyk zawadiacko opadał mu na lewe oko. Jego uśmiech - odrobinę smutny, nieco zadziorny - sprawił, że zadrżała. Stał w progu, lekko chwiejąc się na nogach.

- Justin...

Uklonił się szarmancko.

- Proszę mi wybaczyć to najście. Przepraszam, pani McHennessy, mogę wejść?

- Justinie, czy ty...

Zauważył pogrzebacz i zmarszczył brwi.

- Słucham? - Sięgnął po metalowe narzędzie. - Chyba nie zachowałem się aż tak źle?

Z uśmiechem na ustach przemaszerował lub raczej przetoczył się przez pokój, aż do kominka. Odstawił pogrzebacz na miejsce i odwrócił się do Kit.

Stała wpatrzona w niego szeroko otwartymi oczami.

- Justinie...

Nie pozwolił jej dokończyć. Z zaskakującą sprawnością podbiegł, by paść Kit do stóp i chwycić jej dłoń.

- Justinie...

- Ach, pani McHennessy, błagam o przebaczenie.

- Justinie, jesteś pijany!

Podniósł głowę i mogła zobaczyć szatański błysk w jego oczach.

- Jestem, moja ty najpiękniejsza, jestem pijany. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, poderwał się na nogi równie szybko, jak przedtem padł na kolana. Zaskoczona, obserwowała, jak zmierza ku kanapie, którą dopiero co zwolniła, posyła jej szeroki uśmiech i wyciąga się jak długi. Leżał na plecach, z zamkniętymi oczami, nieruchomy.

- Justinie? - Rozdarta między uczuciami gniewu i zakłopotania Kit na palcach podeszła do kanapy, przyglądając mu się z góry.

Ten idiota upił się, przyszedł zadrwić z niej i jak gdyby nigdy nic zasnął na kanapie. Miał przeszło metr osiemdziesiąt wzrostu i musiał ważyć jakieś dziewięćdziesiąt kilo. Wiedziała, że nie da rady go ruszyć.

Westchnęła i pobiegła na górę po koc. Zajrzała do sypialni i odetchnęła z ulgą: Mike smacznie spał...

Spał równie głęboko, jak jego ojciec piętro niżej.

Kit znalazła koc i pogrążona w myślach zeszła na dół.

Westchnęła lekko, a gdy nachyliła się nad Justinem, by staranniej obetkać koc, niechcący musnęła piersiami jego tors. Nagle poczuła, jak obejmuje ją ramieniem. Uniosła głowę, by zobaczyć, że przygląda się jej szeroko otwartymi oczami.

- Kit...

- Justinie, nie... - zaczęła.

Na próżno: przyciągnął ją ku sobie i zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, leżała na nim, a jego usta zawładnęły jej wargami w namiętym pocałunku.

Albo nie był aż tak pijany, albo posiadał zadziwiającą umiejętność rozumowania nawet w stanie upojenia. Rozwiązał pasek szlafroka Kit i podciągnął jej nocną koszulę wysoko na uda: uwielbiała czuć jego ciepłe ręce na swoim nagim ciele.

- Oszukałeś mnie - szepnęła.

- Potrzebuję ciebie - odparł i zamknął jej usta kolejnym, gorącym pocałunkiem.

- Śniłeś mi się - wyznała, gdy oderwali się od siebie. - Byłeś kozłogłowym bogiem.

- To takie masz sny? - zirytował się, lecz nie przestał jej pieścić.

- Nie jestem potworem, Kit. Jestem mężczyzną, który cię kocha.

- Mike jest na górze.

- Śpi.

- A jeżeli...

- Nie obudzi się.

- Ale my nie możemy...

- Owszem, możemy.

Poczuła go w sobie: połączyła ich wspianiała, intymna więź. Cudowne uczucie zespolenia, świadomość, że należą do siebie, były niewyobrażalnie erotyczne. -Ja...

- Pocałuj mnie - ponaglił miękko.

Kit zapomniała o koszmarnych snach i poddała się fali rozkoszy aż do ostatecznego, cudownego spełnienia.

Później, gdy ogień dogasał, a wiatr za oknem przycichł, złożyła głowę na torsie Justina.

- Muszę się ruszyć. Michael w każdej chwili może zejść na dół.

- Jasne. - Justin pocałował Kit w policzek, lecz nie zwolnił uścisku.

Kit zmarszczyła brwi.

- Justinie... W ten sposób niczego nie załatwimy.

- Na pewno nie znajdziemy mordercy.

- Nie o to mi chodzi.

- Nie - szepnął. - Wiem, ale ja czuję się wprost wspaniale - wyznał. - Wszystko dzięki tym paru chwilom spędzonym z tobą.

Kit czuła się zbyt rozleniwiona, by się sprzeczać. Zaraz wstane, obiecała sobie i zasnęła.

- Mamo?

Głos Mike'a docierał do jej świadomości jak przez mgłę. Była zbyt senna, zbyt wygodnie otulona ciepłym kocem. Potem przypomniała sobie noc.

Przerażona, otworzyła oczy. Mike stał obok kanapy: tej samej, na której zasnęła po tym, jak się kochała z Justinem.

- Mike! - Spłoszona rozejrzała się wkoło, lecz Justin znikł. Leżała na kanapie całkiem sama. Miała zawiązany szlafrok i była starannie opatulona kocem.

Odetchnęła z ulgą. Z drugiej strony, ciekawe, dokąd mógł pójść?

Mike był już ubrany i uśmiechał się do matki, dumny, że sam potrafi przygotować się do szkoły.

- Mamo, mogę zjeść płatki kukurydziane? Douglas pewnie zaraz przyjedzie.

- Tak. Tak, oczywiście - odpowiedziała szybko. Justin nie jest typem mężczyzny, który by się chował po szafach, pomyślała. Musiał po prostu wyjść: po cichu, dyskretnie.

Uśmiechnęła się szeroko, wyciągnęła rękę i mocno przytuliła Mike'a do piersi. Chłopiec skrzywił się odrobinę i spojrzał na matkę ze zdziwieniem.

- Za co to? - zapytał.

- Za nic. Po prostu cię kocham. Chodź, dostaniesz na śniadanie, co tylko zechcesz.

Miał ochotę na płatki i tost. Ledwie zdążył zjeść, gdy przed dom zajechał Douglas, klaksonem dając znać o swoim przybyciu. Kit odprowadziła syna do drzwi, ucałowała go na pożegnanie w czubek głowy i pomachała Douglasowi.

Gdy odjechali, przygotowała sobie tosty i kawę. Nie mogła się nadziwić własnemu radosnemu samopoczuciu. Miała nadzieję, że może Justin wkrótce się pojawi, lecz gdy nie przychodził, zaryglowała drzwi i poszła na górę wziąć długą, gorącą kąpiel. Zobaczyła swoje odbicie w lustrze i pojaśniała, widząc własne, rozmarzone spojrzenie. Roześmiała się na głos.

Zanim zdążyła się wykapać i ubrać, zrobiła się jedenasta. Nie miała ochoty pracować. Po chwili wahania zdecydowała, że

przespaceruje się do zamku. Justin zjawił się u niej zeszłej nocy, teraz przysłała jej kolej.

W połowie drogi pożałowała, że wybrała ścieżkę przez las. Wątle światło słoneczne nie przebijało się przez gęstwą listowia. Mgła spowijała całą okolicę i Kit musiała wyteżać wzrok, by nie zboczyć z wąskiej drożyny. Wiatr milczał i panująca wokół głucha cisza robiła przerażające wrażenie.

To tylko dziesięć minut, pocieszała się w duchu, lecz przyspieszyła kroku. Nawet pięciominutowy spacer wydawał jej się zbyt długi.

Pot spływał jej po czole, a serce waliło jak młotem. Gdy wreszcie zobaczyła zamkowe mury, poczuła się głupio.

Drzwi otworzyła Molly, serdecznie zapraszając do środka.

- Justina nie ma, dziecino, ale chodź, napij się herbaty - nalegała.

Kit musiała zamaskować rozczarowanie i zapewniła, że właśnie marzyła o gorącej herbacie. Molly ruszyła w kierunku kuchni, ale Kit została na progu, niezdecydowana: na blacie leżały ziemniaki z wydrążonymi makabrycznymi gębami.

Molly mrugnęła znacząco.

- Halloween już w tym tygodniu. Dzieciaki uwielbiają moje ziemniaczane gęby.

Kit uśmiechnęła się, usiłując wykrzesać z siebie odrobinę podziwu dla pracy Molly. Później rozmowa zboczyła na znacznie przyjemniejsze tematy: rozprawiły o Mike'u, o tym, jak bardzo lubi szkołę.

- No cóż, Stary Doug jest dobrym człowiekiem, ale przez całe życie zarabiał kopaniem grobów. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że syn został nauczycielem.

Kit dodała, że Mike podziwia Douglasa i że oboje są mu niezwykle wdzięczni za okazywaną serdeczność i gotowość pomocy.

- Jest dla nas taki miły.

- To dobry człowiek. I lubi chłopca. Zresztą, jak można go nie lubić? To dobrze wychowany, przystojny młodzieniec.

Kit podziękowała za komplement i herbatę. Justin nie wrócił, postanowiła, że nie ma sensu dłużej czekać.

- Powiem mu, że byłeś - obiecała Molly, odprowadzając Kit do drzwi.

Gdy się pożegnały, Kit ze zniecierpliwieniem zauważyła, że mgła jeszcze się nie podniosła. Rozważyła możliwość pójścia dłuższą drogą, wzdłuż szosy, ale wtedy powrót zająłby jej przynajmniej pół godziny. Ponura niczym gradowa chmura ruszyła w kierunku lasu.

Odetchnęła z ulgą, gdy poczuła na policzkach pierwsze powiewy wiatru. Nie wyobrażała sobie kolejnego spaceru w grobowej ciszy. Niestety, mgła nadal gęstym płaszczem otulała okolicę. Kit zgubiła się, a gdy po chwili udało jej się odnaleźć ścieżkę, musiała zatrzymać się, by otrzepać liście ze swetra. Właśnie wtedy kątem oka zobaczyła jakiś ruch - i krzyknęła.

Na wprost niej stała postać z koźlą maską na twarzy. Okryta czarnym płaszczem, wysoka i złowroga. Miała długie rogi i błyszczące oczy, na tle nieba była czarna jak śmierć.

- Nie! - krzyknęła Kit rozpaczliwie. Kozłogłowy zbliżał się nieubłaganie i nie miała dokąd uciekać.

Scandalous

ROZDZIAŁ 10

Las zdawał się drżeć od jej powtarzanych przez echo krzyków. Niespodziewanie kozłogłowy zniknął: szedł prosto na nią, gdy nagle pochłonęła go mgła, wtopił się w drzewa i wysokie paprocie.

Kit biegła, zupełnie nieświadoma, że cały czas krzyczy. Chciała jedynie wydostać się z lasu, z mgły, uciec od istoty, którą przed chwilą widziała.

- Kit!

Głos należał do Justina. Szarpnął nią paroksyzm strachu. Czy zrzucił płaszcz i maskę, aby przyjść jej z pomocą?

- Pani McHennessy!

Dotarła do drogi i biegła teraz wzdłuż lasu z taką prędkością, że nie zdążyła się zatrzymać i rozpędzona wpadła na Starego Douga. Rozpostarł ramiona, aby ją zatrzymać, ale Kit się wymknęła. Nagle przypomniała sobie, co powiedział, gdy tylko ją zobaczył: zapytał o Mike'a! Pytał o jej syna, mimo że nie mógł wiedzieć...

Nie. Może i ona zaczynała tracić zdrowe zmysły? Nie był ani spocony, ani zadyszany, jak więc mógł dopiero co zrzucić płaszcz i maskę i dobiec tu przed nią?

- Nic ci nie jest, panienko? - zapytał z troską. - Wyglądasz, jakby cię zmora goniła, dziecko.

- Czy byłeś przed chwilą w lesie? Podrapał się po głowie.

- Owszem. Przyszedłem do Molly na obiad. Zrobiła krok w tył i z napięciem spytała:

- Widziałeś... to?

- Kit!

Podskoczyła, gdy męskie ramię objęło ją w talii. To był Justin; miał pociemniałe oczy, na czole perlił mu się pot.

- Kit! Co się stało? Czy nic ci nie jest? - Objął ją mocno i przytulił do piersi.

Jej oczy wypełniły się łzami. Tak mocno go kochała, a zarazem - czuła przed nim lęk.

Lekko odsunął ją od siebie z zatroskanym wyrazem twarzy.

- Co się stało?

- Tam... - zaczęła, ale wtedy stary Barney Canail wyłonił się z lasu. Spojrzał na Kit, zobaczył, że nie doznała żadnego uszczerbku, i ciężko usiadł na ziemi.

- Jestem już za stary na takie gonitwy. Gdzie byłaś, dziewczyno? Słyszałem, jak krzyczysz.

Barneyowi przerwał Liam O'Grady, który wyszedł z lasu ostatni. Tusza nie pozwalała mu ruszać się szybciej. Kit oparła się o Justina, patrząc nieufnie na zebranych mężczyzn. Czy to możliwe, żeby jeden z nich żywił wobec niej złe zamiary?

- W lesie był kozłogłowy - wyznała z wahaniem.

- Co?

To pytanie padło z trzech ust. Stary Doug milczał.

- Kozłogłowy...

- Kit, on nie istnieje!

- Był tam ktoś w płaszczu i rogatej masce. Szłam przez las... i po prostu tam był. Zbliżał się do mnie.

Zapanowała cisza. Kit zauważyła, że mężczyźni wymieniają sceptyczne spojrzenia.

- Mówię tylko, co widziałam - dodała chłodno.

- Czy jest pani pewna, pani McHennessy? - zapytał Barney. - Rano wisiała taka mgła, a pani tyle myślała o tym stworze. Mógł się pani przywidzieć.

- Niczego sobie nie wyobraziłam. Był tam.

- Zauważyłeś coś dziwnego w lesie, Douglas? - zapytał starca Barney.

- Ach, las - powiedział, uśmiechając się Stary Doug - to prawdziwy raj dla wszelkich bogów i duchów!

Było jasne, że nie można na niego liczyć.

- Nic mi się nie przywidziało! - upierała się Kit.

- Pani McHennessy... - zaczął Liam. Justin objął ją mocniej.

- Jeżeli twierdzi, że widziała, to widziała - stwierdził stanowczo.

- Rozejrzyjmy się - zaproponował.

- Dobrze, zobaczmy, czy coś znajdziemy - zgodził się Liam, przejmując dowodzenie. - Barney, sprawdź sektor północny. Justin, ty i Kit pójdziecie ścieżką. Ja poszukam na południu.

- Znam las jak własną kieszeń, mogę wam pomóc - zaoferował się Stary Doug. - Tylko czego mam szukać?

Kit uśmiechnęła się.

- Płaszcz lub maski, Doug.

Kiwnął głową i ruszył z hałasem przez zarośla. Kit i Justin poszli ścieżką. Mgła była tak gęsta, że jego postać ledwo majaczyła przed oczami Kit.

- Justin? - szepnęła. - Gdzie byłeś dziś rano? Co robiłeś w lesie?

Zatrzymał się na chwilę, znieruchomiał, a potem powoli odwrócił.

- Czy byłem w lesie w płaszczu i masce? O to pytasz?

- Wcale nie! - zaprzeczyła, lecz głos jej się załamał. - Nie zastałam cię w domu i po wypiciu herbaty właśnie wracałam do siebie. Zastanawiam się, czy to zbieg okoliczności, że wszyscy trzej...

- Rozumiem - wpadł jej w słowo i przygarnął do siebie, by pocałować ją w czoło. - Kit, od prawie dwóch tygodni nigdy nie byłaś sama.

- Jak to?

- Trzymaliśmy przy tobie straż, Barney, Liam i ja. Pilnowaliśmy, żeby nic ci się nie stało.

- Dziś rano byłam sama - zauważyła z pretensją w głosie.

Delikatnie pogładził ją po policzku.

- Sądziłem, że tak będzie lepiej.

- Ale nie było.

- Wymknąłem się, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Barney ukrył się w zaroślach koło domku i szedł za tobą do zamku, ale stracił cię z oczu, gdy wracając, weszłaś do lasu.

- A gdzie ty byłeś?

- Szedłem z powrotem do ciebie.

- Ach tak.

Pocałował ją delikatnie w usta wraz z tym pocałunkiem do serca Kit napłynęła nowa wiara.

- Ten etap mamy już na sobą? - zapytał.

Ruszył przed siebie, zanim zdążyła odpowiedzieć. Potknęła się o korzeń, upadłaby, gdyby Justin jej nie podtrzymał.

- W porządku?

- Tak. - Otoczona wilgotną mgłą, niepewnie wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć twarzy Justina. Wodziła palcem po zarysie jego kości policzkowych, po łuku szczęk. - Nic nie znajdziemy, prawda?

- Nie wiem.

Patrzyli na siebie przez kilka sekund, aż nagle przerwał im niespodziewany, triumfalny okrzyk Barneya.

- No proszę, to prawda. Trafiłem na płaszcz schowany pod kamieniem.

- Gdzie jesteś?! - krzyknął do niego Justin. - Mów coś!

Barney mówił bez przerwy, dopóki go nie znaleźli. Stał na małej polance, ukrytej pośród gęstych zarośli. Liam dotarł tam równo z nimi i ukląkł koło Barneya.

- Rzeczywiście, to czarny płaszcz.

- Czy jest też maska? - spytała nerwowo Kit.

- Nie, tylko czarny płaszcz - odparł Liam. - Cóż, można by jeszcze sprawdzić odciski palców.

- Znaleźliście coś na lalce? - zapytała Kit z nadzieją.

- Nie - odpowiedział zde gustowany Barney. - Wytarto ją do czysta, tak jak i kamień.

Kit poczuła nagle mdłości i przełknęła ślinę. Była pewna, że i tu nic nie znajdują.

- Nie denerwuj się, Kit - wtrącił Justin. - Może natrafimy na jakiś ślad.

- Muszę już wracać - oznajmił Barney. Patrzył przez chwilę na Justina, potem zwrócił się do Kit: - Już w porządku?

Kiwnęła głową. Znaleźli płaszcz - dowód, że ktoś rzeczywiście próbował ją nastraszyć.

- Poczekaj! - powiedziała nagle. - Chyba nie jest stary? Liam, podnosząc powoli materiał długim kijem, popatrzył na nią z ciekawością. Pokiwał głową.

- Wygląda na nowy. Prosto spod igły.

- Dlaczego pytasz? - zainteresował się Barney.

- Sama nie wiem.

- Chyba nie myślisz, że naprawdę jakiś dawny bóg powrócił? Pokręciła głową.

- Myślałam tylko, że...

- Ktoś jednak wierzy w tę legendę - uzupełnił Justin.

- Zabieram płaszcz - zdecydował Liam i powiódł wzrokiem od Justina do Kit. - Już dobrze?

- Tak. Tylko jestem zła. Nie lubię, gdy się mnie straszy. Barney i Liam zniknęli pośród drzew. Kit rozejrzała się i zadrżała. Las był taki

gęsty. Nigdy tu już nie przyjdzie sama. Nagle ugięły się pod nią kolana i usiadła na kamieniu, pod którym Barney znalazł płaszcz.

- Kit?

- Tak?

- Nie chciałbym cię zdenerwować - powiedział miękko Justin - ale jeżeli upierasz się przy pozostaniu w tych stronach, myślę, że najwyższa pora, abyś zamieszkała w zamku. Jeżeli ja będę musiał wyjechać, Molly będzie ci towarzyszyć.

- Ja tu naprawdę przyjechałam pracować.

- Możesz pracować w zamku.

- Ale...

- Ale co, Katherine McHennessy?

- Nie zapominaj, gdzie mieszkasz. To katolicki kraj i ludzie w miasteczku.

- Ludzie są tu tacy sami jak wszędzie. Niektórzy będą plotkować, inni okażą rozsądek i pomyślą, że jesteś mądrą, młodą damą, która potrzebuje opieki.

- Justin...

- Martwisz się o mnie czy o siebie?

- O nas oboje. I o Mike'a. Zawahał się.

Myślę o Mike'u. Zaskoczona, spojrzała Justinowi w oczy.

- Przecież jemu nic nie grozi! On jest...

- Kim jest?

Znowu spuściła wzrok.

- Jest O'Niallem.

- To mały chłopiec, a mali chłopcy lubią pakować się w kłopoty, szczególnie gdy uważają, że powinni chronić swoje mamy.

- Posłuchaj, Justin...

- To ty posłuchaj. Sieć wokół ciebie się zacieśnia. Najpierw lalka, teraz to.

- Ktoś próbuje mnie nastraszyć.

- A jeżeli posunie się dalej?

- Zamykam drzwi na klucz...

- I kręcisz się sama po lesie, a to najgłupsza rzecz, jaką mogłaś zrobić.

- Dlatego chcesz, żebym się do ciebie wprowadziła?

- To jedyne rozsądne wyjście.

- Ja... nie mogę.

Patrzył na nią przez chwilę, potem odwrócił się do niej plecami i stał tak, sztywny z wściekłości.

- Justin! - powiedziała Kit błagalnie.

Odwrócił się szybko, wyciągając do niej rękę. Podniosła się, spojrzała mu w oczy i ruszyli dalej razem. Nie wiedziała, dokąd zmierzają, ale po kilku minutach dotarli do drogi prowadzącej do domku. Nie była zaskoczona, gdy Justin wsunął do zamka własny klucz, otworzył drzwi i przepuścił ją przodem. Poszła prosto do salonu i usiadła. Kominek zgasł, więc zamiast usiąść koło niej, Justin zabrał się do wymiatania popiołu i układania drew. Pracował szybko i z wprawą; kilka chwil później ogień ogrzewał chłodne wnętrze.

Justin usiadł naprzeciw Kit i przyglądał się jej tak długo, że poczuła się nieswojo. W końcu nie wytrzymała.

- Przestań!

- Co mam przestać?

- Przestań się tak we mnie wpatrywać. Po tym, co zrobiłeś zeszłej nocy...

- Nie wyrzuciłaś mnie - przypomniał.

- Było mi cię żal. Miałam wrażenie, że ledwo trzymasz się na nogach. A ty po prostu udawałeś.

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, naprawdę wypilem z Barneyem parę kufli w pubie.

- Hm.

Rozparł się wygodnie w fotelu, wpatrując się w Kit tak intensywnie, że wstała i podeszła do okna.

- Na pewno masz coś do zrobienia - rzekła z irytacją.

- Owszem, mam coś do załatwienia.

- A więc?

- Nie ruszę się stąd, zanim nie przekonam cię do przeprowadzki do zamku.

- Justin...

- Mam już dosyć tej zabawy w chowanego. Skradamy się we trzech po krzakach, chodząc za tobą krok w krok. A nie mogę zostawić cię samej.

- A ja nie mogę...

- Mogłabyś za mnie wyjść.

Nie wiedziała, co powiedzieć na to nieoczekiwane stwierdzenie. Przecież go kochała. Przez osiem lat udawała, że po prostu nie spotkała właściwej osoby, ale to wszystko były tylko wymówki. On jest mężczyzną jej życia.

Justin jednak nie uznaje kompromisu. Zażądałby, żeby powiedzieć Mike'owi prawdę. Chciałby, żeby chłopiec zmienił nazwisko, żeby się przenieśli na stałe do Irlandii,

- Nie myśl tak intensywnie, tylko się zgódź. Ze smutkiem pokręciła głową.

- Nie mogę...

- A co możesz, Kit? - zapytał chłodno.

- Potrzebuję czasu.

Uniósł ręce, gestem tym wyrażając zniecierpliwienie.

- Czasu na co?

- Ty tego nie rozumiesz. Kocham to miejsce mimo wszystko, co się zdarzyło. Ludzie są tu mili, życzliwi i pomocni, ale... To nie jest mój dom. Przynajmniej jeszcze nie.

- Bóg raczy wiedzieć dlaczego, ale nie mogę wywierać presji. Kocham cię i sądzę, że ty, wbrew sobie, też mnie kochasz. Co dziwniejsze... - uśmiechnął się - co dziwniejsze ty chyba mi ufasz. Wierzysz w moją niewinność.

- Tak - szepnęła.

Podszedł do niej i choć teraz miał na sobie ubranie, bardzo przypominał tego, o którym śniła. Jego krok był taki sam: pewny i powolny. Wiedział, dokąd zmierza; nie musiał się spieszyć.

Spoglądała na niego, myśląc, że może mogłaby uciec albo go odepchnąć, gdyby chciał jej dotknąć. Nie potrafiła. Czuła jego czysty, uderzający do głowy zapach, gdy patrzył na nią z lekkim uśmiechem.

- Szkoda, że nie masz więcej wiary we mnie jako mężczyznę.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Wiesz, ale dam ci chwilę do zastanowienia. Pomyślała, że zaraz ją pocałuje, i była pewna, iż ma to być tylko pocałunek, nic więcej. Wraz z dotykiem jego warg poczuła słony smak swoich łez, których do tej pory nawet sobie nie uświadamiała. Przywarła do niego, nie wiedząc, jak inaczej wyrazić głębię swego uczucia. Całą miłość, jaką czuła do Justina, włożyła w pocałunek. Po jakimś czasie Justin uśmiechnął się i powiedział:

- Faktycznie miałem coś do zrobienia, ale to może poczekać.

Nie rozumiała; przecież właśnie odrzuciła jego oświadczenia. Ale odpowiedziała uśmiechem na uśmiech.

- Ja... chciałam ci pomóc - szepnęła. - Przyjechałam tu, bo chciałam ci pomóc.

Nie wiedziała nawet, kiedy znalazła się w jego ramionach, gdy niósł ją na górę po schodach.

Potem leżała już naga na łóżku, a on kładł się przy niej w półmroku. Wyciągnęła ku niemu ramiona, nie mając innego wyboru; kochała się z nim, bo była pewna, że tak chciało jej przeznaczenie.

Później leżała w jego objęciach. Chciała, żeby nic nie mówił, lecz wiedziała, że się odezwie.

- Powiedz mi, Kit, co mam, według ciebie, zrobić?

- Nie wiem.

- Naprawdę sądzisz, że mógłbym dać ci buzi na do widzenia i patrzeć, jak zabierasz Mike'a?

Poczuła dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

- On nie ma nawet ośmiu lat.

- Czy wiesz, jak jest mi ciężko? Umiesz to sobie wyobrazić?

Widzę swojego syna dzień po dniu i muszę się trzymać na dystans, jak obcy. Ostrzegam cię: nie będę czekał wiecznie. O co ci chodzi, Kit? Jesteś Amerykanką, a ja Irlandczykiem, ale to nie znaczy, że wywodzimy się z różnych planet.

- Tak, ale...

- Mam tego dosyć, Kit. Kocham cię. Chcę się z tobą ożenić.

Chcę swojego syna.

- Justin...

- Ostrzegam cię. Są różne środki, środki prawne. Oburzona, oderwała się od niego.

- Nic nie możesz zrobić! Jestem jego matką. Nie waz się mi grozić!

- To ty mi grozisz - odparował bez zastanowienia, co jeszcze bardziej ją zirytowało.

Czego się po nim spodziewała? Wiedział, że Mike jest jego synem. Kiedyś Mike też będzie musiał się o tym dowiedzieć. Czy popełniała błąd, walcząc z Justinem? Nie chodziło o to, że nie chciała, aby Mike się dowiedział; po prostu nie wiedziała, kiedy to powinno

nastąpić. Chłopca należało przygotować, aby nie przeżył szoku. Tymczasem Justin przywykł mówić prosto z mostu, bez zastanowienia.

- Wiesz, że mam rację-powiedział.
- Nie mogę...
- Dzięki Bogu, w tym jednym nie kłamiesz.
- O czym mówisz?
- O nas.

Pocałował ją. Z westchnieniem poddała się wszechogarniającemu pożądaniu. To uczucie nie wymagało uzasadnień. Jego piękno czekało tylko, aby je obudzić, aby z niego czerpać. Gdy niewysłowiona rozkosz wyniosła ich na szczyt, a potem pozwoliła zapaść w błogostan, Justin szepnął:

- Kocham cię. Dziękuję. - Musnął jej wargi w delikatnym pocałunku.

Kit spojrzała na niego, zdziwiona.

- Za co?
- Cóż, potrzebowałem ostatniego... intymnego zbliżenia.
- Ostatniego?
- Myślę, że już niedługo nie tylko nie będziesz chciała się ze mną kochać, ale przestaniesz się do mnie odzywać.
- Dlaczego?
- Znowu będę ci groził.
- Justin, nie możesz...

- Nie możesz, nie możesz. Znowu zaczynasz. Ja widzę to na odwrót. Mogę.

- Mów dalej - powiedziała zrezygnowana. Dlaczego nie ma na tyle zdrowego rozsądku, żeby sprzeczać się z nim w ubraniu? Leżeli spleceni w czułym uścisku.

- To całkiem proste. Możesz teraz wstać i pomóc mi przenieść swoje rzeczy do zamku albo...

- Albo?

- Albo odbędę długą rozmowę z Mike'em.

- Nie zrobiłbyś tego!

- Nie zrobiłbym?

- Nie, nie zrobiłbyś. Nie wierzę ani trochę.

- Więc? - zapytał.

Westchnęła cicho, czując, jak znika gdzieś jej niezależność.

- Dobrze. Wygrałeś.

Patrzył na nią przez długą chwilę.

- Nie, wcale nie wygrałem, prawda, Kit?

- Kocham cię, Justin.

- Ale nie chcesz dać tej miłości szansy.

- Potrzebuję czasu.

- Spróbuję dać ci czas, Kit. Spróbuję.

Potem wstał i poszedł wziąć prysznic. Kit zwinęła się w kłębek, zastanawiając się, czy przypadkiem całkiem nie zwariowała. Wyciągał do niej rękę, a ona nie pozwalała sobie jej przyjąć. Odgłos prysznic

ucichł, ale Kit nadal leżała w łóżku, rozmyślając nad najbliższą przyszłością, dopóki nie usłyszała:

- Wstawaj, kochanie. Przeprowadzka czeka. Zeskoczyła z łóżka i żwawo zasalutowała.

- Tak jest.

- To mi się podoba.

Poszła wziąć prysznic. Nie zamierzała się spieszyć.

- Jeśli zostaniesz tam chwilę dłużej, przyłączę się do ciebie - usłyszała po jakimś czasie zza drzwi.

Przez chwilę rozważała tę możliwość, w końcu zakręciła kran. Wyszła zawinięta w ręcznik i zatrzymała się zaskoczona, widząc, że Justin jest już kompletnie ubrany, a jej rzeczy - spakowane.

- Nie pamiętam, żebym cię o to prosiła.

- Nie lubię siedzieć bezczynnie.

- Popeliłeś jeden błąd.

- Jaki?

- Chciałabym się teraz ubrać, a to, co miałam na sobie, jest całe w liściach.

Uśmiechnął się do niej promiennie i położył walizkę na łóżku.

- Dziękuję - powiedziała słodko. Przyglądał się jej, wtem odwrócił się.

- Pospiesz się. Wydaje mi się, że Douglas Johnston przywiózł Mike'a.

Kiwnęła głową, szybko wciągnęła miękka, beżowa, skórzana spódnica i jedwabną bluzkę. Właśnie wzięła buty, gdy usłyszała głos

Mike'a biegnącego po schodach. Próbowwała poprawić łóżko, ale on i tak niczego nie zauważył.

- Mamo, mammo! - Rzucił się na nią i mocno ją objął.

- Co takiego? - zapytała ze śmiechem i przygarnęła go do siebie.

- Potrzebne mi jest przebranie! Za kilka dni będzie Halloween.

Tutaj nazywają to Zaduszki. Wszystkie dzieci idą na przyjęcie i tam jest wielkie ognisko i dobre jedzenie, i słodycze. My też pójdziemy, prawda?

Zmierzyła mu czuprynę.

- Oczywiście, że pójdziemy.

W końcu Mike przestał mówić o przyjęciu, przynajmniej na tyle, że mógł spytać o walizkę. Zgodnie z przewidywaniami, na fakt, że będą mieszkać w zamku, zareagował entuzjastycznie.

Kit podniosła walizkę i podeszła do drzwi. Chciała ją znieść na dół, żeby Justin włożył ją do samochodu. Potem wróci po rzeczy Mike'a i uporządkuje pokój. Na szczycie schodów zatrzymała się, ponieważ z dołu dobiegły ją gniewne głosy. Douglas i Justin się kłócili, ale nie mogła rozróżnić słów.

- Zostań tu, Mike - poleciła chłopcu i sama zbiegła po schodach.

- Justin?! Douglas?! - zawołała, zdziwiona, że nie zastała ich na dole.

Stali na zewnątrz, przed domkiem.

Milczeli. W końcu Douglas podniósł rękę na powitanie.

- Dzień dobry, pani McHennessy.

- O co chodzi? - spytała.

Spojrzeni po sobie, wzruszyli ramionami, potem uśmiechnęli się do niej.

- O nic, Kit - odparł Douglas.

- Ale słyszałam, jak...

- Mówiliśmy tak głośno? - zdziwił się Justin, kładąc rękę na ramieniu Douglasa. - Rozmawialiśmy o meczu.

- Właśnie - potwierdził Douglas. - Ja kibicowałem Włochom, a Justin był za Baskami. Muszę już iść. Do zobaczenia rano, Mike.

Kit odwróciła się. Mike przyszedł za nią i teraz uśmiechał się radośnie.

- W zamku! - powiedział podekscytowany do Douglasa, dodając spóźnione: - Proszę pana.

- W zamku, Mike. Justin już mi powiedział, gdzie was znajdzie. - Dotknął daszka czapki i poszedł do samochodu.

- Wezmę torbę, mamó - zaoferował się Mike, gdy Douglas odjechał.

Kiedy chłopiec zniknął w drzwiach, Kit skorzystała z okazji, by zapytać Justina.

- O co wam poszło?

- Przecież słyszałaś. O piłkę. - Wydawał się roztargniony.

- Kłamiesz, Justin.

- Moje sprawy nie zawsze są twoimi i nawet nie chcesz, żeby się nimi stały, Kit.

Odwróciła się na pięcie i poszła do domku. Mike wciąż był na górze, więc gdy Justin wszedł do środka, znowu zażądała wyjaśnień.

- Wiesz, że gdy tu przyjechałam, Douglas zaprosił mnie na kolację. Potem spotkałam się z tobą i już nie ponowił zaproszenia.

Podparł się pod boki, wytrzymując jej spojrzenie.

- To nie dlatego, że jestem „tym O'Niallem” ani nic z tych rzeczy
- powiedział spokojnie.

- Więc?

Zaśmiał się, głaszcząc ją po policzku.

- Katherine McHennessy, piękna z ciebie kobieta, ale wierz mi, nie chodziło o ciebie. Być może Douglas zrezygnował, bo zauważył, że łączy nas zażyłość.

ROZDZIAŁ 11

Molly była zachwycona gośćmi, którzy zawitali do zamku.

- Zastanawiałam się, ile to potrwa, zanim pójdziesz po rozum do głowy! - zwróciła się do Kit z wyrzutem.

Kit zerknęła na Justina, ciekawa, czy powiedział Molly o lalce albo o tych przeżyciach w lesie. Pokręcił głową, dając do zrozumienia, że domyślił się, o co jej chodzi.

Molly zazwyczaj wracała do domu zaraz po kolacji, ale tym razem została, żeby przygotować dla nich pokoje. Mike dostał stary pokój Justina, gdzie w kącie wciąż stał wspaniały koń na biegunach. Kit zamieszkała tuż obok -w tym samym pokoju, w którym obudziła się po śmierci Michaela i gdzie zemdląła w ramionach Justina.

Zaraz po kolacji Justin zaszył się w gabinecie. Mike odrabiał pracę domową, więc Kit pomyślała, że i ona mogłaby teraz popracować. Z wahaniem przeszkodziła Justinowi, pytając, czy może pożyczyć maszynę do pisania. Justin szybko urządził dla niej pracownię w jednym z pustych pokoi. Gdy mu podziękowała, chłodno odparł, że nie ma za co, z czego wywnioskowała, że rozpoczęła się między nimi zimna wojna. Cóż, czego mogła oczekiwać?

Przeprowadziła się tu wbrew własnej woli, chociaż musiała przyznać, że istotnie czuła się bezpieczniej.

O wpół do dziewiątej Kit poszła na górę przypomnieć Mike'owi, że czas już spać. Tak jak mogła się spodziewać, siedział na wielkim bujanym koniu.

- Justin powiedział, że Diabeł ma prawie dwieście lat - oznajmił z dumą.

Dotknęła przerzedzonej, włóczkowej grzywy. Diabeł. Jakże mogłoby być inaczej? Uśmiechnęła się do Mike'a.

- Nowy Jork też ma kilkaset lat. Nazwano go na cześć Jamesa II, który był wtedy księciem Yorku.

Mike patrzył na nią uprzejmie, ale nie okazywał zbytniego zainteresowania opowieścią.

- Podoba mi się tutaj - zakomunikował matce. - Czy możemy tu zostać na zawsze?

- „Nic nie trwa wiecznie, poza ziemią i niebem” - zacytowała, poklepując syna delikatnie po policzku.

- Czy możemy tu zostać na długo?

- Będę musiała pojechać do innych miast. Piszę książkę, pamiętasz?

- Tak, wiem, ale wciąż będziemy w Irlandii, więc będziemy mogli tu wrócić.

Uniosła bezsilnie ręce.

- Nie tęsknisz za kolegami?

- Jasne, ale tu też mam kolegów. Peteya McGoverna, Harry'ego Adaira, Timothy'ego.

- Dobrze już, dobrze! Masz nowych przyjaciół, ale czy nie tęsknisz za domem?

- Czasami-przyznał Mike. Uśmiechnął się i zeskakując z konia, zarzucił Kit ręce na szyję.

- Chcę być tam gdzie ty, mamó, ale tutaj naprawdę mi się podoba.

- Mnie też się tu podoba, Mike - przyznała Kit. -A teraz pora spać.

- Oj, mamó...

- Do łóżka. Chcesz przecież iść rano do szkoły? Mike ruszył do łazienki, by umyć zęby. Kit przeglądała jego rzeczy - dzięki Bogu poukładał je już w szufladach - dopóki nie znalazła piżamy. Kiedy wrócił, wyszczerzył się, żeby pokazać miejsce po brakującym mleczaku i znowu ją ucałował. Usiadła na łóżku, przyciągnęła syna i posadziła go sobie na kolanach.

- Cieszę się, że tu przyjechaliśmy, mamó.

- Jeżeli ty się cieszysz, to i ja się cieszę.

Kit zauważyła nagle w otwartych drzwiach cień. Podniosła wzrok i ujrzała zadumanego Justina. Uśmiechnął się do Mike'a i wszedł do pokoju, żeby pogłaskać chłopca po głowie.

- Masz wszystko, co trzeba, Michael? - spytał.

Chłopiec nagle rzucił się na szyję Justinowi, który, zaskoczony, stracił równowagę. Obaj wylądowali na Kit i w zamieszaniu ciała całej trójki splątały się ze sobą. Kit zaczęła protestować, ale Mike i Justin zaśmiewali się na cały głos. Gdy Mike poprosił o bajkę na dobranoc, wszyscy usiedli i Justin opowiedział mu legendę o złośliwych skrzatach, które według ludowych wierzeń zamieszkiwały okolicę. Historia bardzo się Kit podobała; wspaniale opowiadał.

Poczuła, jak wbrew samej sobie ogarnia ją wzruszenie na widok dwóch mężczyzn jej życia.

W końcu Justin wstał, pocałował Mike'a w czoło i przyglądał się, jak Kit opatula go kołdrą. Potem lekko dotknął wierzchem dłoni jej podbródka.

- Dobranoc - powiedział miękko.

Kiedy wyszedł, Kit zawahała się przez chwilę, w końcu poszła do swojego pokoju. Wzięła długi prysznic i położyła się do łóżka, lecz wiele czasu minęło, nim zapadła w sen.

Następnego ranka okazało się, że Mike wstał, zanim Kit przyszła go obudzić. Pospiesznie wróciła do siebie, żeby się ubrać, po czym zbiegła na dół kamiennymi schodami. Już z daleka słyszała, jak Mike wyrzuca z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego. Zastała go przy kuchennym stole, zajadającego płatki owsiane i zachwycającego się najnowszymi wytworami Molly. Głowy zrobione z ziemniaków, tykwy, a nawet smętnie wyglądające dynie zapełniały blat.

- Następne? - spytała Kit.

- Halloween już za dwa dni - odparła Molly.

Kit nalala sobie filiżankę kawy i usiadła przy stole.

- Opowiedz mi dokładnie, co będzie się działo?

- Zabawa zaczyna się o ósmej; Justin musi dać sygnał, bo jest O'Niallem, rozumiesz. Rozpala ognisko. Potem grają muzykanci, są zawody, tańce, śpiewy, no i, oczywiście, słodkości dla wszystkich. - Mrugnęła do Mike'a, potem znów uśmiechnęła się do Kit. - Będzie

wspaniale, kochanie, spodoba ci się. Tańce to prawdziwe widowisko. Część z nich jest bardzo, bardzo stara. Może ci się to przydać do twojej książki.

- Na pewno mi się spodoba.

Rozległ się klakson. To Douglas Johnston dał znak, że przyjechał. Mike zerwał się od stołu, w przelocie dał Kit buziaka i wybiegł.

- Douglas jest taki miły - powiedziała Kit, a Molly pokraśniała z dumy.

- To prawda. Co chcesz na śniadanie, dziecino?

Kit rzadko zdarzał się ten luksus, żeby ktoś szykował dla niej śniadanie. Z początku protestowała dla zasady, ale Molly nalegała, poprosiła więc o jajka na bekonie. Skończyła jeść, lecz Justin wciąż się nie pojawiał.

- A gdzie „ten O’Niall”? - spytała jakby mimochodem. - Wciąż śpi?

- Broń Boże! To nie śpioch. Nie potrzebuje więcej niż cztery, pięć godzin snu na dobę. Jest w swojej „jaskini”. Pracuje.

Kit kiwnęła głową i podziękowała. Sama też powinna wracać do pracy. Jak na poważną pisarkę, wydawała się mało zainteresowana tym, co robi.

Jednak nie poszła na górę, tylko podeszła do rzeźbionych drzwi gabinetu i zapukała. Usłyszała krótkie „proszę” i weszła do środka. Justin spoglądał na nią pytająco, gdy niepewnie się uśmiechając,

podeszła do jego biurka. Na blacie leżał projekt, nad którym Justin właśnie pracował.

- Budujesz to?

Spojrzał na nią z uśmiechem i zaprzeczył ruchem głowy.

- To stara katedra w Dublinie. Potrzebna jest jej renowacja, inaczej się rozpadnie. Poproszono mnie, żebym ją porządnie wzmocnił.

- Potrafisz to zrobić?

- Sądzę, że tak. - Skończył rysować linię i spojrzał na nią znowu.

- Chciałabyś pójść dziś wieczorem na kolację? A może do teatru?

- Ja...

- Nie mów, że nie możesz.

- A co z Mike'em?

- Poprosiłem już Molly, żeby z nim została. - Poszukał wzroku Kit. - Podwójna randka, że tak powiem. Z Julie McNamara i jej mężem, Williamem. Słyszałem, że poznałaś Julie?

- Nic się przed tobą nie ukryje.

- Nie trzeba być Jamesem Bondem, żeby się tego dowiedzieć. W tej okolicy jest tylko jedna dobra księgarnia, księgarnia Julie. A gdy z nią rozmawiałem, Wspominała, że bardzo cię polubiła.

Kit wahała się tylko przez chwilę.

- Dobrze, jeśli jesteś pewien, że Molly się zgodzi.

- Molly uwielbia Mike'a. Kit...

- Tak?

- Wkrótce muszę wyjechać do Dublina. Planuję wyjazd na Wszystkich Świętych i chcę, żebyś pojechała ze mną. Nie mogę cię tu zostawić samej...

- Będę z Molly.

- Jednak wolałbym, żebyś była ze mną. Powinnaś zwiedzić Dublin. To duże miasto, założyli je wikingowie, gdy najechali nasz kraj, no i przebywał tam Cromwell, nie wspominając o wyprawie w obronie zdetronizowanego Jakuba i...

- Pojadę.

- Tak po prostu?

Kiwnęła głową, spuszczać wzrok.

- Masz rację, muszę pojechać do Dublina. Po pierwsze, mam parę nazwisk i zdjęć do sprawdzenia. Po drugie.

- Słucham.

- Podoba mi się, że się ze mną umawiasz... Kocham cię, Justin, tylko boję się przyszłości.

Patrzył na nią przez chwilę, po czym wrócił do pracy.

- Musimy wyjść koło siódmej. Mamy rezerwację we włoskiej restauracji...

- Włoska restauracja w Shallywae?

- W Cork. Włoskie restauracje są na całym świecie. Nie jesteśmy zacofani, kochanie. O siódmej?

- O siódmej.

Opuścił głowę i natychmiast w skupieniu pogrążył się w pracy. Kit zawahała się, lecz spytała:

- Justin?

- Tak?

- O co pokłóciłeś się wczoraj z Douglasem Johnstonem?

- Mówiłem ci, o mecz.

- Kłamiesz.

- Jestem zajęty, Kit.

- Będę ci zatruwać życie, dopóki nie powiesz mi prawdy - obiecała i wyszła z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Restaurację rzeczywiście urządzono we włoskim stylu. Kit była nią oczarowana. Justin zamówił wino z dobrego rocznika. Jeszcze zanim wypili, Kit poczuła błogie rozleniwienie i spokój.

William, zaprzyjaźniony z Justinem, okazał się sympatyczny i bezpośredni. Zdeklarował pomoc przy zbieraniu materiałów do książki. Z radością powitała Julie, z którą nawiązała dobry kontakt już przy pierwszym spotkaniu. Justin miał na sobie trzyczęściowy garnitur. Nosił go z niedbałym wdziękiem, przyprawiającym Kit o żywsze bicie serca. Był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziała i kochała ją...

I tak nie zdobył się na to, by go zostawić, więc co ją powstrzymuje? Na chwilę zamknęła oczy, czując zawrót głowy. Ani razu nie wspomniał, że mogliby spędzić jakiś czas w Stanach. Nie, był O'Niallem i jego domem była Irlandia. Nigdy nie zasugerował, że powinni delikatnie rozwiązać sprawę Mike'a, że może najpierw mógłby go adoptować, a dopiero potem wyjawić szczegóły.

-Wszystko w porządku, Kit? - Justin przyglądał się jej z uwagą.

- Tak... wszystko dobrze - wymamrotała, nie chcąc się przyznać, że zupełnie ich nie słuchała.

Mimo to wieczór płynął uroczo. Justin zamówił dla niej tak wiele potraw, że nie zdołała ich wszystkich zjeść, ale każdej spróbowała; okazały się pyszne. Po kolacji poszli do teatru. Sztukę Szekspira wystawiono w znakomitej obsadzie.

Kiedy rozstali się wieczorem, z McNamarami, obiecując sobie spotkać się wkrótce, Kit była zupełnie rozluźniona. W samochodzie umościła się wygodnie w fotelu pasażera i zamknęła oczy. Czuła na sobie wzrok Justina.

Ujął jej dłoń i delikatnie przeniósł na swoje kolano. Centymetr po centymetrze zaczęła przesuwając ją w górę jego uda, aż wydał z siebie ciche westchnienie - i przesunął jej rękę z powrotem na kolano.

- Seks, seks. Interesuje cię tylko moje ciało, nie chcesz mnie poślubić - odezwał się przekornie.

- Justin...

- Nieważne, nie zaczynajmy, nie dziś, nie teraz. - Odwrócił się, żeby się do niej uśmiechnąć. - Mam pomysł. Pojedźmy do domku.

- Nie możemy wrócić tak późno.

- Molly zostaje na noc.

- Gdzie się prześpi? Ja zajęłam pokój gościnny.

- Kit, tam są pokoje, w których ja sam nie byłem od miesiący, może od lat. Jak na zamek, jest nieduży, ale i tak jest mnóstwo miejsca.

Oparła głowę na jego ramieniu.

- Justin, powiedz, proszę. O co kłóciliście się z Douglasem?

- Próbujesz mnie przekupić?

- Nie, po prostu chcę wiedzieć.

Zawahał się i wciąż patrząc na drogę, powiedział:

- Oskarżyłem go o położenie tej lalki.

Kit zaniemówiła z wrażenia i tak gwałtownie odwróciła się do niego, że omal przez to nie zjechał z drogi.

- Kit, na Boga....

- Właśnie, na Boga, Justin! Myślisz, że mógł to zrobić, ale nic mi nie powiedziałaś, a ja pozwoliłam synowi...

- Przestań, Kit. To także mój syn. Gdybym sądził, że coś mu grozi...

- Grozi! Mówisz mi, że Douglas Johnston to morderca, ale...

- Tego nie powiedziałem. To nawet niemożliwe. Johnstona nie było w mieście, gdy zabito Susan. Myślałem tylko, że mógł położyć tę lalkę, żeby cię przestraszyć i w efekcie stąd wykurzyć. Tak jak Liam O'Grady, który biegał po okolicy w płaszczu i masce.

- O Boże. Myślisz, że Liam.

- Nie, nic podobnego. Myślę, że zrobił to w tym samym celu: żebyś wyjechała, zanim przytrafi ci się coś złego.

Kit wpatrywała się w niego przez kilka sekund, zanim wybuchła.

- Nie miałaś prawa ukrywać przede mną takich rzeczy! Nie rozumiesz? O to właśnie chodzi! Nie masz szacunku dla mojej inteligencji!

- Powiedziałem, że nie mam dowodów, tylko podejrzenia, ale ty nie chcesz słuchać głosu rozsądku.

Samochód zatrzymał się. Przez chwilę Kit myślała, że po prostu stanęli na poboczu, żeby swobodniej rozmawiać, ale okazało się, że dojechali już do domku.

Justin zgasił silnik. Przez chwilę patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Chyba żartujesz! - wybuchła.

- Nie. Namiętność rozładowuje gniew lepiej niż wszystko inne.

Kit wysiadła, trzasnęła drzwiami i ruszyła w stronę zamku. Była prawie pełnia i księżyc oświetlał jej drogę tak, że mogłaby trafić bez trudu.

- Kit!

Justin złapał ją za ramię i gwałtownie odwrócił. Zdarzyły się wtedy dwie rzeczy. Po pierwsze, zrozumiała, że nie będzie w stanie pokonać tej drogi, ponieważ zbyt świeżo miała w pamięci niedawne wydarzenia. Po drugie, ujrzała w oczach Justina tak wielką troskę, że bez namysłu się do niego przytuliła. Poczowała jego cudowny, czysty zapach.

W milczeniu weszli do domku, a potem na górę, do sypialni. Było jej tak dobrze. Czuła jego silne ramiona; była kochana. Dawało jej to poczucie bezpieczeństwa. Gdyby odważyła się przyznać, że boi się porzucić to, co stanowiło dotąd jej życie... Nie potrafiła jednak zmusić się do mówienia, więc wszystko stało się w ciszy: ich

rozpaczliwe kochanie; potem wspólne leżenie, ubieranie się, porządkowanie pokoju.

Justin odezwał się dopiero wtedy, gdy dojechali do zamku.

- Proszę, żebyś zaufała moim sądom, Kit. Proszę. Nie wiem dlaczego, ale jestem pewien, że Douglas Johnston nie skrzywdziłby Michaela i że nie zabił Susan.

- Nie wiem - odparła. - Po prostu nie wiem.

- Gdy będziemy w Dublinie, nabierzemy dystansu i wówczas łatwiej zrozumiemy różne sprawy.

Nieprzekonana, wysiadła z samochodu. Miała własny klucz i teraz go użyła, bez oglądania się za siebie. Weszła po schodach, nie odzywając się do Justina i szybko zajrzała do Mike'a. Wszystko było w porządku, spał smacznie owinięty ciepłym kocem. Molly pewnie też gdzieś spała. Kit pocałowała syna w czoło i poszła do swojego pokoju, gdzie zrzuciła płaszcz i jedwabną, niebieską suknię, włożyła koszulę nocną i wślizgnęła się pod koldrę.

Kilka sekund później usłyszała ciche pukanie do drzwi.

- Kit?

- Tak?

- Nic. Chciałem tylko sprawdzić, czy u ciebie w porządku.

Słyszała jego kroki cichnące na korytarzu.

Gdy następnego ranka przyjechał Douglas, Kit wyszła do niego i zapytała, czy może się z nim zabrać. Pewnie się zdziwił, ale wesoło odpowiedział, że może popatrzeć, jak on prowadzi lekcje.

Gdy Justin zorientował się, co Kit robi, równie uprzejmie stwierdził, że też pojedzie i wspólnie przesiedzieli w milczeniu wszystkie lekcje.

Po szkole Kit przypomniała sobie, że Mike wciąż nie ma przebrania, a Halloween przypadało już nazajutrz. Jeden z jego kolegów, Petey, powiedział Kit, że nie przebierają się. tu tak jak dzieci w Ameryce, tylko w stroje historyczne.

Justin zawiózł ich do Cork, gdzie Mike znalazł sobie kostium wikinga, a potem zatrzymali się na rybę z frytkami. Ani Kit, ani Justin nie mieli wiele do powiedzenia. Na szczęście Mike podtrzymywał rozmowę, nie zauważając, że dorośli odpowiadają mu, ale ze sobą nie rozmawiają.

Gdy wrócili do domu, było już dosyć późno. Molly zostawiła im kartkę z informacją, że na kuchni czeka gorąca czekolada. Kit uśmiechnęła się do Mike'a i powiedziała, że właściwie nie ma na nią ochoty, i poszła do swojego pokoju, zostawiając syna z Justinem, który stwierdził, że nie odmówi sobie czegoś tak pysznego jak filiżanka czekolady.

Chłopiec zdążył zaprzyjaźnić się z Justinem. Nie mogła na to nic poradzić; miała wrażenie, że traci syna. Nękana różnymi refleksjami nie mogła zasnąć; wiedziała, że Mike ma prawo poznać Justina, tak jak Justin ma prawo znać Mike'a. Nie powinna czuć się zazdrosna o czas, który spędzają razem. Przeciwnie, powinna się z tego cieszyć. I w gruncie rzeczy tak było, przecież tak bardzo obu

kochała. Gdyby tylko Justin był zwyczajnym mężczyzną - brokerem na Wall Street, kierowcą ciężarówki, kimkolwiek...

Ale czy kochałaby go tak samo, gdyby nie był tym, kim jest? Gdyby tylko pozbyła się tchórzostwa i miała więcej wiary - nie w niego - w siebie!

- Mamo! Pospiesz się! Justin nie może się spóźnić! Kit odwróciła się od lustra, gdy Mike jak bomba wpadł do pokoju. Nie mogła się nie uśmiechnąć. Był taki podekscytowany i niesamowicie dumny ze stroju wikinga.

- Już idę. Już zaraz, obiecuję.

Kit szybko umalowała usta i wrzuciła szminkę do torebki. Spojrzała na zegarek; niestety, jest już spóźniona. To trochę śmieszne, musiała to przyznać, skoro miała cały dzień, żeby się przygotować. Justin przypomniał jej, że nazajutrz chce się wybrać do Dublina. Początkowo zamierzała mu powiedzieć, żeby jechał sam, w końcu jednak doszła do wniosku, że zmiana otoczenia dobrze jej zrobi. Spędziła więc dzień na pakowaniu i przeróbkach kostiumu Mike'a. Potem zbyt długo brała prysznic.

- Gotowa? - zapytał Mike.

- Gotowa - zapewniła go Kit. Wzięła syna za rękę i wyprowadziła z pokoju.

Na szczycie schodów zatrzymała się. Przez jedną krótką chwilę lękała się spotkania z Justinem. Co będzie, jeśli ujrzy go w płaszczu i masce?

- Kit! Mike!

Pojawił się. Był ubrany w wygodne dżinsy i sweter, podobnie jak ona.

Justin puścił Mike'a przodem i złapał Kit za rękę, zatrzymując ją.

- Nie odchodź ode mnie, Kit, ani na sekundę. Nie dziś.

Potulnie skinęła głową. Zaduszki - noc pełna mrocznych tajemnic, szczególnie tutaj. Nie miała zamiaru oddalać się od niego nawet na krok. Justin pojechał w inną niż zwykle stronę, nie w kierunku domku nad morzem, lecz na południowy wschód. Kit próbowała zorientować się w okolicy. Jechali za las, który leżał na południe od klifów. Bardzo blisko. Właściwie od domku nad morzem dzielił ich tylko krótki spacer.

- Ziemia jest tam oczyszczona - powiedział Justin do Mike'a, uśmiechając się do niego we wstecznym lusterku.

- Więc można bezpiecznie rozpalić ognisko?

- Tak.

Kit zauważyła, że mieli identyczne dołeczki w policzkach. Obaj uśmiechali się w ten sam cudowny sposób, z łobuzerskimi błyskami w oczach.

- Czy twoja mama była blondynką? - usłyszała, zadawane przez siebie pytanie i zawstydziała się; była jednak ciekawa.

- Niemal platynową - odparł Justin z przewrotnym uśmiechem.

Łagodne stoki wzgórz, usiane zaparkowanymi samochodami prowadziły ku rozległej równinie, gdzie zebrał się rozbawiony tłum. Kit słyszała już dudy i czuła apetyczne zapachy potraw. Na scenie w głębi występowali tancerze w zielonych strojach, przed Mike'em zaś

zatrzymał się na chwilę zongler ubrany w strój kłowna, popisując się swoimi sztuczkami.

Kit z zażenowaniem pomyślała, że kiedyś mogła zastanawiać się, czy to święto nie jest czymś w rodzaju pogańskiego rytuału, w którym bierze udział cała wieś.

- Chodź, musimy się dostać do ogniska - przypomniał jej Justin.

Spotkali burmistrza, który stał koło Liama O'Grady'ego. Kit nie mogła mu zapomnieć, że chciał ją nastraszyć. Rozpoczęła się ceremonia. Najpierw burmistrz, a potem Justin wygłosili krótkie mowy. Potem Justin wziął pochodnię i zapalił ogromne ognisko. Kit wiwatowała razem z innymi, ale Mike pociągnął ją za rękę. Chciał poznać gry specjalnie przygotowane dla dzieci.

- Dobrze, dobrze, momencik...

Justin wciąż rozmawiał z burmistrzem. Kit próbowała dać mu znać, gdzie idą, ale niecierpliwy Mike puścił jej rękę i zniknął w tłumie. Kit zapomniała o Justinie i danej mu obietnicy i pobiegła za synem. Dotarła do pierwszej budki, gdzie dzieci łowiły na wędkę zabawki, ale go tam nie znalazła, więc natychmiast ogarnęła ją panika. Odwróciła się i wpadła prosto na Molly.

- No i jak się bawisz, Kit?

- Jest wspaniale, ale zgubiłam gdzieś Mike'a. Muszę go znaleźć.

- Przed chwilą go widziałam, więc się nie denerwuj. Napij się tymczasem naszego irlandzkiego miodu, a ja zaraz cię do niego zaprowadzę.

Kit zaczęła mówić, że nic nie chce, dopóki nie znajdzie Mike'a, ale Molly już wetknęła jej do ręki kubek, więc uśmiechnęła się i wypiała.

- Smaczny - przyznała ze zdziwieniem. Był słodki, ale pozostawiał w gardle lekką goryczkę.

- Robi się go z najlepszego miodu.

- Molly, proszę, chcę znaleźć Mike'a.

- Tędy, Kit McHennessy. Tędy.

Podążyła za Molly poprzez tłum. Zachmurzyła się, gdy zauważyła, że zdążają w kierunku lasu rosnącego na klifie, za domkiem.

- Molly, jesteś pewna, że poszedł tędy?

Ściana lasu zamknęła się za nią i gdy Kit obejrzała się za siebie, zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Wtedy ugięły się pod nią nogi. Upadła, starając się wesprzeć na Molly. Otoczyła ją mgła, a powietrze stawało się z każdą chwilą gęściejsze. Justin ostrzegwał ją, żeby się od niego nie oddalała. Podejrzewała Starego Douga i Młodego Douga, Barneya i Liama, a nawet Justina, ale nigdy nie podejrzewała tej starej kobiety. A teraz nie mogła mówić ani się poruszyć. Łagodny uśmiech Molly majaczył przed oczami Kit jak przez mgłę.

- Dziecino!- Pogładziła Kit po włosach.-Tak się cieszę, że wypijaś miód. To musi się stać dzisiaj, rzecz jasna. W Zaduszki. To dla bogów bardzo ważne.

Twarz Molly rozplynęła się we mgle i Kit upadła na ziemię.

W pobliżu wciąż rozbrzmiewały odgłosy hucznej zabawy.

ROZDZIAŁ 12

Kit z wolna przychodziła do siebie, napływały niewyraźne wspomnienia: nosze z plecionki... ciągnięto ją po kamieniach i patykach... prawie nie czuła bólu. Teraz znalazła się w morzu mgły. Nie wiedziała, czy jest prawdziwa, czy to halucynacja jej zamroczonego umysłu.

Nagle poczuła Wiatr. Owionął ją zimny podmuch. Słyszała jego złowieszcze, potępieńcze zawroźwienie. Instynktownie chciała objąć się ramionami, ale nie mogła. Poczuła, że jest przywiązana do kamiennej płyty. I że tak zmarzła, bo leży naga. Jak lalka...

Z jej gardła wydobył się krzyk, wreszcie bowiem odzyskała głos. Wszystko działo się dokładnie tak jak w jej snach. Była zagubiona pośród mglistej polaci, skrepowana i bezsilna. A z mgły wynurzał się kozłogłowy i podchodził coraz bliżej.

Powtarzała sobie: to nie kozłogłowy. Myśl trzeźwo. Rozmawiaj. Graj na zwłokę.

Postać padła tuż przy niej na kolana i wzniosła rękę. Kit krzyknęła przerażona, myśląc, że oto wzniosł się nóż, od którego zginie. Ale to nie był nóż. To był pędzelek, którym

Molly, nucąc, zaczęła malować drobniutkie symbole na jej brzuchu.

Kit jeszcze raz krzyknęła, głośno, rozpaczliwie, ale stara kobieta nie przestawała nucić.

- Przykro mi, słonko, że zioła już przestały działać - powiedziała zza koźlej maski. - Krzycz sobie, jeśli ci to pomaga. Chyba wiesz, że spotyka cię zaszczyt?

Kit nie chciała umierać. Rozpaczliwie chciała żyć. Miała wszystko, czego kiedykolwiek pragnęła: Justina, jego miłość, rodzinę. Wystarczyło tylko porozmawiać z nim, wytłumaczyć, że czasem musi odwiedzić swój dom, że powinien z nią uzgodnić, że... Ale było za późno.

- Ten symbol to znak ziemi - powiedziała wolno Molly. - To jest znak płodności. A ten oznacza krew.

Oczy zapiekły ją od łez. Chcę zostać twoją żoną, Justinie, przysięgała w myślach. Chcę wyjść za ciebie, choćby jutro. Pragnę spać przy twoim boku każdej nocy mojego życia.

Ale jej życie dobiegało końca. Tutaj, na wierzchołku omiatanego wiatrem wzgórza szalona kobieta chce je jej ukraść. Musi rozmawiać, grać na zwłokę, musi się modlić.

- Czy pomalowałaś też Mary Browne? - Kit starała się, aby jej głos brzmiał spokojnie, cicho, naturalnie, ale i tak pobrzmiwała w nim nuta hysterii.

- Mary! Biedna, zarozumiała dziwka! Gdybym tylko poczekała... Powinnam się poznać na tym O'Niallu. Biedna Mary. Tak, miała na sobie znaki. Zmyły je fale. Nie musiała umierać; takie marnotrawstwo nadziei i czasu!

- A Michael McHennessy?

Molly zatrzymała się i zdjęła maskę. Uśmiechnęła się do Kit, marszcząc lekko czoło.

- Widział mnie, rozumiesz? Musiałam więc udawać, że chcę się rzucić do morza. Próbował mnie powstrzymać - zachichotała z zadowoleniem. - Tak łatwo z nim poszło. To było konieczne.

Wszystko przez tę Mary Browne! Gdyby nie kłamała, nie musiałabym skrzywdzić tego chłopca, ale wtedy nie miałabym ciebie, Katherine.

Nowy dreszcz szarpnął ciałem Kit.

- O czym ty mówisz, Molly?

Molly kreśliła znak słońca wokół jej pępka.

- Byłaś idealna, dziecino! Świeża, czysta i piękna, z tą aurą niewinności. Wiedziałaś, że jesteś wybranką. I jego do ciebie ciągnęło. Ale on ze swoimi zasadami i ty z twoim bólem byliście na przeciwległych biegunach, nawet po tak długim czasie. Musiałam was do siebie zbliżyć.

- Herbata - wyszeptała Kit.

- Tak. Justin wiedział, ale wiedział też, że bardzo mi na tobie zależy.

- Sądził, że to dla mojego dobra, że chcesz, żebym wreszcie odpoczęła.

- O'Niall to wspaniały mężczyzna. Jego syn też taki będzie. A teraz, gdy ofiara zostanie spełniona do końca, życie stanie się dobre! Plony znowu będą obfite, mężczyźni znajdą pracę.

- A Susan?

Molly zaczęła kołysać się na piętach.

- Susan Accorn! Ta ladacznicą! Nie była godna śmierci, która została jej dana. Justin jej nie chciał. Ty nie wracałaś, więc próbowałam go pchnąć w jej objęcia, ale potem trzeba go było chronić przed jej żądaniami. Potrzebowaliśmy dziedzica i panny młodej, aby nakarmić ziemię.

- Molly, musisz mnie uwolnić. Mylisz się - skłamała Kit. - Mike jest synem Michaela McHennessy. Znowu tracisz czas.

Molly pokiwała głową z tajemniczym uśmiechem.

- A niech cię, dziecino. Przecież to wykapany ojciec.

Wiedziałam, gdy tylko go zobaczyłam.

- Nie, Molly. Naprawdę.

- Ciii! - Molly przyłożyła palec do ust i rozrzuciła włosy Kit na powierzchni kamienia. - Musimy zacząć rytuał, Katherine, zanim nas znajdą.

Kocham cię, Justin, przysięgła milcząco Kit. Gdybym tylko mogła wrócić, garściami czerpałabym szczęście. Nic nie stanęłoby mi na drodze. Byłabym silna. Zrozumiałbyś.

Molly z powrotem nałożyła maskę. Wstała i zaczęła kołysać się w mrokach nocy. Jej głos wzniósł się, przenikliwy jak wiatr, gdy zaintonowała:

- Kayla, kayla, kayla...

- Co?! - wrzasnęła Kit.

Molly urwała, z irytacją zdzierając znowu maskę.

- Katherine McHennessy, ostrzyłam swój nóż na kamieniu, by nie trwało to długo. Teraz musisz ucichnąć.

Łzy napłynęły Kit do oczu. To słowo prześladowało ją od ośmiu lat. Słowo, które Michael wyszeptał przed śmiercią. I teraz, gdy miała się z nim połączyć w zaświatach, to samo słowo rozbrzmiewa w jej głowie.

- Kayla! Molly, co to znaczy? To nie jest gaelicki. Molly zachichotała.

- Nie, to nie gaelicki. To jest jeszcze starsze. To język starożytnych. Kayla to znaczy hosanna, hosanna dla wielkiego boga, kozłogłowego Bala. Boga, który daje nam plony, który nas karmi i żywi i którego my musimy żywić w zamian.

- Molly! Nie możesz tego zrobić! A jeżeli Douglas się dowie? On chyba już cię podejrzewa.

Usta Molly zadrżały.

- Muszę to zrobić właśnie dla Douglasa. Nie rozumiesz? Dla nich wszystkich!

Maska wróciła na miejsce, zakrywając jej twarz. Wiatr i mgła wirowały wokół nich, a w oddali Kit słyszała fale ciężko bijące o klif. W tym dźwięku był gniew, jakby i one czekały na jej śmierć.

Już za chwilę Molly rozpląta jej gardło, a gdy jej krew wsiąknie w ziemię, szalona starucha zrzuci ją z klifu, w objęcia fal.

Kit zaczęła krzyczeć, kiedy Molly podjęła na nowo śpiewy i kołysanie. Molly odrzuciła na bok pędzelek i sięgnęła pod płaszcz. Wzniosła rękę i tym razem trzymała w niej nóż. Ogromny, z szerokim ostrzem, które błyszczało w blasku księżyca.

Kiedy Justin się zorientował, że Kit zniknęła, wpadł w gniew. Natomiast gdy znalazł Mike'a bawiącego się w szopie Douglasa Johnstona i przekonał się, że nie ma z nim Kit, ogarnęła go panika. Złapał chłopca znienacka za ramiona, czym go przestraszył, ale nie dbał o to, bo sam był przerażony.

- Mike, gdzie mama?

- Z... z tobą.

- Ze mną jej nie ma. Zbliżył się do nich Douglas.

- Justin...?

- Zniknęła.

- Kit?

- Tak cholera, Kit!

- Czekaj, bez paniki! Pewnie ogląda tańce albo słucha muzyki, albo próbuje...

- Nie! Nigdzie jej nie ma!

- Co się stało?- dopytywał się Mike, bliski łez. Justin zawstydził się, że wystraszył chłopca.

- Nic, nic. Chcę tylko znaleźć twoją mamę. Mike, zostań tu z Douglasem. Nie oddalaj się od niego. Rozumiesz?

Poblady Mike skinął głową, gdy Douglas położył ręce na szczupłych ramionach chłopca.

Justin prędko przebiegł wzrokiem tłum. Zauważył Liama i Barneya pijących piwo przy jednym ze straganów. Spozrzegł Starego Douga śmiejącego się wesoło, gdy siedząca mu na barana dziewczynka chichotała z radości. Widział większość swoich

sąsiadów; burmistrza, a nawet Julię i Williama McNamarów, rozdających gulasz jagnięcy. Dobiegały go wybuchy śmiechu i czuł ciepło bijące od ogniska. Płomienie tańczyły, strzelając w górę, wiatr wzmagał się, zaczynał zawodzić.

Nie spostrzegł Kit. Nigdzie jej nie było. Nagle zdał sobie sprawę, że nie widzi też Molly. Z furją zwrócił się do Douglasa i łapiąc go za ramiona, pchnął na ścianę szopy.

- Twoja matka! Gdzie jest twoja matka?

Douglas zbladł.

- Nie, Justin, nie zrobiłaby...

- To dlatego podłożyłeś lalkę. Wiedziałeś! Cholera, wiedziałeś!

Douglas pokręcił głową.

- Dobrze, położyłem lalkę. Chciałem, żeby wyjechała. Bałem się o nią, ale dlatego, że się z tobą spotykała!

- Zostań z Mike'em - powiedział Justin szorstko. Biegł już przez tłum, roztrącając ludzi. Wiedział, dokąd zmierza. Mogły być tylko w jednym miejscu: na klifie.

Justin przedzierał się przez porośniętą drzewami równinę, wymyślając sobie z furją. Powinien przyprowadzić ją tu w kajdanach, przykutą do siebie. Nie, nie powinien jej w ogóle pozwolić tu przyjść. Powinien coś zrobić - cokolwiek - żeby wyjechała. Zamiast tego zakochał się na nowo, wiedząc, że niebezpieczeństwo wciąż się czai... Boże drogi! W jego własnym domu.

Nie pamiętał, że las jest tak gęsty i rozległy. Księżyc oświetlał mu drogę, lecz gałęzie zdawały się sięgać ku niemu, by go szarpać i

spowalniać jego bieg. Nareszcie przedarł się na otwartą przestrzeń, przylegającą do klifów. Ujrzał tam okrytą czarnym płaszczem postać, noszącą rogatą maskę kozła. Coś zabłysło wśród nocy. Nóż, którego brzeszczot odbijał blask miesiąca.

Tam też, na kamiennej płycie prymitywnego ołtarza leżała Kit. Była naga, a jej cudowna, blada skóra jaśniała pośród nocy; jej włosy rozlewały się miękką falą na kamieniu, jej ciało pokrywały dziwne znaki.

Nóż zaczął się wznosić.

Kit nie mogła oderwać oczu od noża, od jego lśniącego ostrza. Otworzyła usta, ale łzy zdławiły krzyk.

Molly zamierzyła się i nóż, migocząc, ruszył w dół.

Ale Kit wciąż żyła. Zauważyła, że z ciemności wyłonił się niewyraźny cień, a krzyk, który przeszył powietrze, wydobył się z piersi Molly. Później doszedł ją miękki dźwięk padających na ziemię ciał.

- Puść nóż, Molly!

Kit nie wiedziała, co się właściwie stało. Powietrze było gęste od mgły, a w dodatku oczy miała pełne łez. Rozpoznała jednak głos. Należał do Justina.

- Kit, Kit... - Był przy niej, gorączkowo tuląc jej głowę do swego torsu, badając wzrokiem jej twarz. Chciała go dotknąć, ale nie mogła poruszyć rękami, więc przeciął krepującą ją rzemienie. Przesunął się do jej stóp i przeciął więzy na kostkach, po czym szybko zdjął sweter i

wsunął jej przez głowę. Wreszcie przytulił ją do siebie, drżącą... -
Kit...

- Och, Justinie! - Oderwała się od niego, pragnąc dotknąć jego twarzy, aby przekonać się, że to rzeczywiście on. Przeciągnęła dłońmi po policzkach i znowu do niego przyłgnęła. - Chcę za ciebie wyjść, dzisiaj, jutro. Zaraz. Jeżeli byłam bliska odrzucenia tego wszystkiego, to tylko dlatego, że nie zdawałam sobie sprawy, jak rozpaczliwie tego pragnę, aż prawie straciłam... - Urwała zaniepokojona ponowną aktywnością Molly, która gramoliła się, dysząc.

- Siedź spokojnie Molly - ostrzegł Justin. - Nie ruszaj się i czekaj.

- Justin, Justin, mój wspaniały O'Niall - mruknęła Molly z ubolewaniem. - Wszystko zniszczyłeś. Wszystko.

- Molly...

Nagle poderwała się i równie niespodziewanie popędziła przed siebie - w kierunku klifów.

- Molly, nie!

Justin ruszył za nią, ale okazała się zbyt szybka, gnana zbyt wielką determinacją, żeby ziemia i morze dostały należną im ofiarę z ludzkiej krwi.

Justin stał na skraju przepaści, trzymając czarny płaszcz - i nic więcej. Molly krzyknęła, ale jej rozpacz zagłuszył ryk fal, rozbijających się o skały.

Kit próbowała wstać, jednak było to ponad jej siły. Bezwładnie opadła z powrotem na ziemię.

Gdy się ocknęła, była w ramionach Justina. Niósł ją, a wokół gromadzili się ludzie, tworząc szpaler. Liam i Barney, Douglas i Stary Doug, doktor Conar, Meg z pubu. Byli tacy przestraszeni, tacy zatroskani.

- Potrzebne mi będą jej zeznania - powiedział Liam.

- Jutro - odparł Justin.

Kit zdała sobie sprawę, że są w samochodzie. Nie widziała nigdzie Mike'a i w panice zawołała:

- Mike! Gdzie jest Mike?

- Jest w domu. Są z nim Julie i William.

Gdy Justin usadowił ją na miejscu pasażera, uświadomiła sobie, że jak zawinięta w czarny płaszcz, zarzucony na sweter. Zamknął drzwi i wsiadł z drugiej strony.

- Dasz radę wytrwać jazdę do domu? - spytał. Kiwnęła głową.

Pozostali cofnęli się, machając do Kit na pożegnanie; oniemiała, ale też pełni wdzięczności za jej cudem ocalone życie, mimo że stracili jedną spośród swoich.

Tak dobrze jest żyć i czuć się wolną i bezpieczną, pomyślała Kit.

Gdy samochód wjechał na drogę, spojrzała na Justina. Miał boleśnie napięte rysy twarzy. Przysunęła się bliżej, dotknęła jego dłoni, pieszczotliwie gładząc ją palcami...

Szybko zerknął w jej stronę.

- Boże, Kit... - Rozdzierający ton w jego głosie sięgnął w głąb jej duszy.

- Justin...

- Ja to na ciebie sprowadziłem. Mogłaś zginąć. Powinienem zmusić cię do wyjazdu.

- Nie udałoby ci się.

- Powinienem...

- Justinie, nie zmusiłbyś mnie. Proszę, zatrzymaj się. Wciąż drżysz. - Sama czuła się dziwnie spokojna. Spokojna - i silna.

Zatrzymał samochód na skraju szosy, a Kit przysunęła się do Justina jak najbliżej mogła i wzięła jego twarz w dłonie.

- Kocham cię, Justinie. Kocham cię bardzo mocno. Wróciłam tutaj, bo musiałam. I żyję, Justin. Ja żyję!

- Kit, nie musisz tego mówić. Nie skrzywdziłbym Mike'a. Sądziłem, iż mogę cię chronić, jeśli cię zmuszę, żebyś przy mnie została.

Uśmiechnęła się.

- I ochroniłeś. Uratowałeś mnie, Justinie. Spójrz, ja żyję! A byłam tak bliska utraty ciebie i Mike'a! Justinie, proszę, przytul mnie.

Zrobił to. Jego pocałunki pokryły jej czoło i włosy, padały na policzki i dłonie. Głębia jego uczucia objawiała się w dotyku, napełniając Kit radością życia - oraz pięknem miłości.

Odchylił się lekko i dotykając jej policzka, spytał:

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak.

- Chcesz wziąć ślub?

- Tak.

- Jutro znowu cię spytam.

- Moja odpowiedź się nie zmieni.
- Gdzie?
- Słucham?
- Gdzie chcesz wziąć ślub? Tutaj czy w Stanach?
- Kiedyś wydawało się to istotne, ale teraz... Gdziekolwiek jesteś ty, tam i ja jestem. Może być tutaj, może być w Nowym Jorku. Nie, tutaj, bo chcę wziąć ślub najszybciej jak tylko można. Powiemy mu...

- W swoim czasie. Kiedy mnie zaakceptuje.
- Och, Justin.
- Gdzie będziemy mieszkać?
- Tak bardzo cię kocham, wszystko mi jedno!
- Później pomyślimy o przyszłości. W tej chwili zabiorę cię do domu. Zmyję tę okropną farbę z twojego ciała, położę cię do łóżka i dam ci coś ciepłego do picia, żebyś poczuła się lepiej na ciele i na duszy.

Skierował samochód w stronę zamku, a Kit umościła się w fotelu. Oboje coś tracili, ale zyskiwali nieporównanie więcej.

- Ciało i dusza - powtórzyła w zamyśleniu.
- Owszem.
- Czy możemy zacząć od ciała?

Uśmiechnął się, przygarnął ją do siebie i wybuchnął serdecznym śmiechem. Jechali do domu.

EPILOG

Powietrze, zamglone i świetliste, miało w sobie cudowną magię. Wynurzał się powoli z mgły i zbliżał ku niej. Tak jak zawsze czynił to w jej snach.

Sny w tych dniach miała słodkie i dobre. Nie nawiedzały ich koszmarne bestie, gdyż i życie - pożywka snów - było słodkie i dobre.

Uśmiechnęła się, gdy kroczył poprzez mgłę, nagi i piękny... Uśmiechał się leciutko, a z jego oczu biło pożądanie.

Mgła rozviała się. Pochodziła jedynie z gorącego prysznicza, którym rozkoszowała się po wycieczce do wodospadów Dunns.

Nauczyli się, że kompromis nadaje smak życiu. Dlatego ślub wzięli w Paryżu, jedynie w obecności rodziców Kit.

Jej matka, oczywiście, płakała.

Teraz byli w podróży poślubnej - na Jamajce. Rodzice Kit zaopiekowali się Mike'em. Jeszcze nie znał prawdy o swoim pochodzeniu, ale czas po temu już się zbliżał.

Justin zamknął Kit w swoich ramionach. Ich usta się spotkały i poczuła, jak ich ciała jednoczą się w jego mocnym uścisku.

Wziął ją na ręce i wyniósł z parującego prysznicza. Z łobuzerskim uśmiechem patrzył w oczy żony.

- Bestia, tak?

- Nigdy - zapewniła - tylko Irlandczyk z temperamentem.

- Z temperamentem?

Położył ją na łóżku, a ona wyciągnęła ku niemu ramiona z uśmiechem pełnym zadowolenia i żaru, z oczami zamglonymi miłością i pożądaniem.

Bestia zniknęła z jej świata. Pozostało samo piękno, tym cenniejsze, że niemal je straciła.

- Kochaj mnie, Irlandczyku - zaprosiła miękko.

- Jak rozkażesz.

KONIEC

Scandalous